

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 6 (321) • ROK XXVIII • CZERWIEC 2022



CZERWCOWE
NADZIEJE

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. arch.



To nie jest western. To śląscy powstańcy na zdjęciu odnalezionym we francuskich archiwach. Przypomina ono o ważnym, a jednocześnie mało znanym epizodzie Powstań Śląskich, tzw. cernowaniu Gliwic.

Szczegóły str. 4

fot. Tomasz Bieniek



Czerwiec w miejscowościach naszego regionu upływa pod znakiem setnej rocznicy przyłączenia do Polski części Górnego Śląska, wywalczonej przez powstańców i zajętej w 1922 przez oddziały regularnego Wojska Polskiego. Oddając hołd Powstańcom Śląskim przybliżamy fakty związane z tamtymi wydarzeniami. Na zdjęciu powstańczy pomnik w Katowicach Ligocie.

Szczegóły str. 8, str. 31

fot. Zbigniew Lubowski



W wysłużonym XIX-wiecznym budynku dworca kolejowego w Ustroniu utworzono unikatowe muzeum misiów. Obiekt w uzdrowisku usytuowanym u stóp Beskidu Śląskiego przybrał atrakcyjną postać DWORCA DOBRYCH MYŚLI. Zgromadzono w nim imponującą kolekcję ponad 3 tysięcy misiów pluszowych, drewnianych, porcelanowych i innych. Jej właścicielem jest Bruno Zielonka, wywodzący się z Chorzowa zapaleniec, jakich mało we wspólnym świecie.

Szczegóły str. 34

fot. Paweł Wojciechowski



7 maja odbyła się nowa premiera Teatru Zagłębia, a mianowicie Król Edyp wyreżyserowany przez Radosława Rychcika. Spektakl otwiera bardzo rozbudowana scena, w której niespokojni ludzie biegają nerwowo z jednej strony sceny na drugą na tle zdjęcia półek supermarketu. Czym tłumaczyć ich stres, panikę, brak pewności? Czyżby mieszkańcy Teb, podczas ataku zarazy, chcieli zabezpieczyć podstawowe potrzeby? A jeśli tak, trzeba przyznać, że jest to zbyt oczywiste odwołanie do niedawnych doświadczeń z naszych prywatnych historii.

Szczegóły str. 56

Nr 6 (321). Rok XXVIII. CZERWIEC 2022

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaStali współpracownicy:
EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIEŚŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WARONSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskglt.pl
Nakład: 1500 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 *Damian Reclaw* CERNOWANIE GLIWIC. NIEZNANE ASPEKTY III POWSTANIA ŚLĄSKIEGO
8 *Malwina Wojtala* SAMOCHÓD PANCERNY „KORFANTY”
10 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* ŻAŁOBA PO WOJEWÓDZTWIE
13 *Alina Szymkowiak* ROŚLINY I LUDZIE O POEZJI TADEUSZA KIJONKI
18 *Ks. Henryk Pyka* PRAWDZIWE ŹRÓDŁO FASCYNACJI
20 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* SPOTKANIA Z KSIĘDZEM KONRADEM SZWEDĄ
22 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (4) Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*
27 *Stefan Zabierowski* PROBLEMY UKRAIŃSKIE I CONRAD-KORZENIOWSKI
30 POD TWÓJ PŁASZCZ SIĘ UCIEKAMY! Homilia *Ks. Arcybiskupa Katowickiego Wiktora Skworca* na uroczystość NMP Królowej Polski
31 *Tadeusz Loster* POMNIK POWSTAŃCA W CHORZOWIE
34 *Zbigniew Lubowski* KUSTOSZ W ROLI... ZAWIADOWCY. ROZMOWA Z BRUNONEM ZIELONKĄ
40 *Piotr Skowronek* BIBLIOTEKA JAK DAWNE TOLEDO. ROZMOWA Z PROF. ZBIGNIEWEM KADŁUBKIEM – DYREKTOREM BIBLIOTEKI ŚLĄSKIEJ W KATOWICACH
41 *Grzegorz Sztoler* DWIE KOSY DZIENNIKA CZ. 4. NASTĘPCA
44 *Agnieszka Zielińska* SŁUŻYŁ BOGU I POLSCE
46 *Magdalena Smyczek* 54. ROCZNICA ŚMIERCI ZOFII KOSSAK-SZATKOWSKIEJ
50 *Antoni Wilgusiewicz* ULICZNA EPOPEJA. ZMIANY NAZW ULIC LWOWA NA PRZESTRZENI DZIEJÓW
54 *Alojzy Czech* IN MEMORIAM CZESŁAW GŁOMBIK (1935–2022)
56 *Wojciech Lipowski* POTRZEBA PRZEMIANY
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* SERIA „A TO POLSKA WŁAŚNIE”
68 *Paulina Bobak* UOBECNIĆ NIEOBECNEGO
74 *Janusz Plewniak* PROMIENIE NIEPRZYWOITE

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: PAULINA BOBAK - MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Ks. Bartłomiej Kuźnik* ŁZA
16 *Ks. Bartłomiej Kuźnik* WIERSZE
48 *Tomasz Hrynac* WIERSZE

FELIETONY

- 37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* DUBIELEC I DĘBINKA W JASTRZĘBIU-ZDROJU
38 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* „KULTURA LUDOWA” BYSTRONIA
39 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* POUFNY MEMORIAŁ ŚLĄSKICH PRZEMYSŁOWCÓW
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* PSP (POLAK STANOWCZO POTRAFI)

KSIĄŻKI

- 60 *Adam Lizakowski* BIOGRAFIA RÓŻEWICZA
62 *Ewa Bartos* MGNIEŃ I WIECZNOŚĆ
63 *Andrzej Juchniewicz* ROZMAITOŚCI LITERATUROZNAWCZE
64 *Paweł Majcherczyk* ZAPACH BUŁEK
65 *Piotr Skowronek* RZECZYWISTOŚĆ SKONDENSOWANA
66 *Jacek Okoń* OD „GÓRNIKA POLSKIEGO” DO „GÓRNICZEJ «SOLIDARNOŚCI»”
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

76 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

Pomnik ku czci Powstańców Śląskich na skwerze ks. Franciszka Macherskiego przy ul. Dębowej w Katowicach. Fot. Tomasz Bienek

Tylna strona okładki:

Mural upamiętniający powstańca śląskiego, porucznika Henryka Kalembę, przy ul. Dębowej w Katowicach. Fot. Tomasz Bienek





**WOJCIECH
KORFANTY**
1873-1939
POLITYK
CHRZEŚCIJAŃSKI
DEMOKRATA



łza

płynie sobie
po policzku łza

nie ta z wiatru
nie ta z mięty

tu coś widziano
coś napotkano
coś zrozumiano

pozwolić jej dotrzeć
choć do
skrzydełek nosa

zatracać się
w porach
policzków

zbyt łatwo
ją grzecznie
strzepujemy
serdecznym

jakby piękno
nie miało prawa
być widoczne
dla innych

czy to aby
nie dlatego
że poprawniej
w ten wiersz
nie wierzyć?

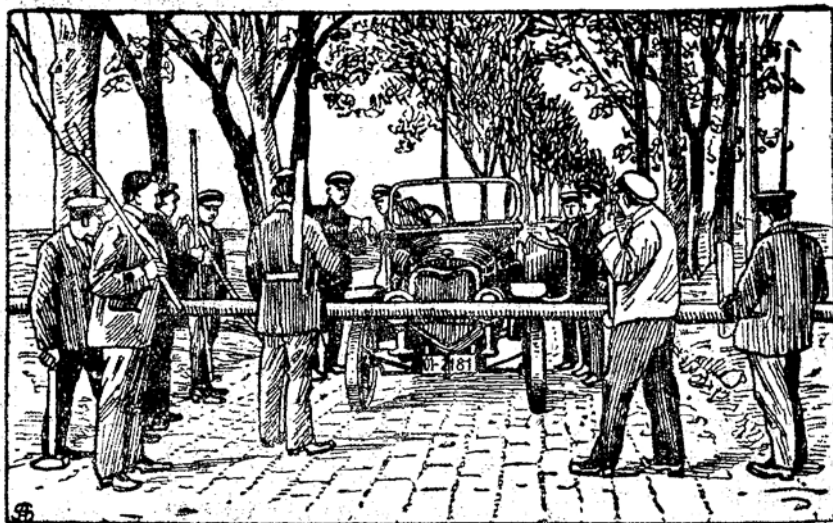
W latach 2019–2021 w województwie śląskim hucznie obchodzono rocznice trzech kolejnych powstań śląskich i plebiscytu. I trudno się temu dziwić, skoro ich rezultatem było przyłączenie wschodniej części dawnej niemieckiej Rejencji Opolskiej do Polski. Jedną z okolicznościowych wystaw pt. „100-lecie Plebiscytu i Trzeciego Powstania Śląskiego” przygotowało też Muzeum w Gliwicach. Była to wystawa czasowa, licząca 16 plasz, prezentowana na gliwickim Rynku.

Poniżej przedstawiam skróconą wersję opisu przebiegu III Powstania Śląskiego w Gliwicach i powiecie. Opis przygotowano do katalogu towarzyszącego tej wystawie. Ukazał się on w druku pt. „100-lecie Plebiscytu i Trzeciego Powstania Śląskiego” w czerwcu 2022 nakładem Muzeum w Gliwicach.

Okres zwycięstw polskich (do 20.05.1921)

Kluczowe działania militarne na śródkowym odcinku walk prowadziła Grupa Operacyjna „Wschód”, która dokonała zajęcia centralnej części Okręgu Przemysłowego. W skład tej grupy wchodził też pułk gliwicki pod dowództwem Stanisława Mastalerza. W związku z ostrzeżeniami aliantów zrezygnowano z atakowania większych miast, w tym Gliwic. Sztab pułku gliwickiego znajdował się w nieistniejącym już pałacu hrabięgo Welczka w Łabędach.

Po otrzymaniu rozkazu o wszczęciu powstania, Mastalerz zwołał 2 maja około południa zebranie z podległymi sobie dowódcami. Natychmiast po jego zakończeniu przystąpiono do wydawania broni z ukrytych magazynów. O godz. 22.00 grupa Teodora Franika odcięła Gliwice od łączności ze światem, a grupa kolejowa Edmunda Wąsika zablokowała linie kolejowe do miasta. W trakcie sprawnie przeprowadzonej mobilizacji szybko osiągnięto pełny skład osobowy oddziałów powstańczych (choć nie dla



Powstańcy kontrolują samochód na jednej z dróg w rejonie Gliwic, maj 1921. Rysunek z gazety „Der oberschlesische Wanderer”

Nieznane aspekty III Powstania Śląskiego Cernowanie Gliwic

DAMIAN RECLAW

wszystkich starczyło broni). Korzystając z zaskoczenia, w nocy z 2 na 3 maja powstańcy opanowali wszystkie ważniejsze miejscowości powiatu.

Zajęto wówczas Wójtową Wieś (oddział Józefa Powieckiego) oraz większość miejscowości na północ i wschód od Gliwic: oddział Feliksa Sojki zajął Łabędy, a oddział Karola Wypchoła – Stare Gliwice oraz inne obecne dzielnice miasta: Ostropę (Alfons Majnusz) i Czechowice (Wawrzyniec Benz). W wyniku tych działań stworzono północno-zachodnią część pierścienia blokady, okalającego Gliwice od Ostropy przez Stare Gliwice do Łabęd. Od strony północno-wschodniej taki pas powstał poprzez zajęcie przez

powstańców Żernik, Czekanowa i Ziemieć, czego dokonały kompanie należące do baonu pyskowskiego Pawła Depcika.

Działająca na południu grupa powstańcza Feliksa Konopki zajęła Ligotę Zaborską, Żernicę i Smolnicę. Dzięki temu powstańcy zdołali okrążyć Gliwice od południowego zachodu na linii od Ligoty Zaborskiej, poprzez Szywałd (Bojków) po Wójtową Wieś. Znajdujący się po drodze Trynek nie był atakowany, bo na tutejszym lotnisku znajdował się posterunek francuski. Opanowano także szereg miejscowości na terenie powiatu. Zaskoczeni skalą powstania Niemcy nie stawiali większego oporu, stąd takie „zajęcia” przez powstańców miejscowości polegały na opanowaniu przez nich kluczowych punktów: szkoły, posterunku policji, poczty, a przede wszystkim ważniejszych węzłów komunikacyjnych.

Do większych walk z bojowcami niemieckimi doszło m.in. w Ligocie Zaborskiej, Szywałdzie (obecnie Bojków), Łanach Wielkich i Sierakowicach. Strategiczne znaczenie w tym rejonie miał zwłaszcza Szywałd, przez który przebiegała linia kolejki wąskotorowej z Gliwic do Raciborza, na której powstańcy uruchomili potem pociąg pancerny „Kabcich”. Natomiast znajdującą się od strony wschodniej Sośnicę zajęli powstańcy zabrscy.

Na terenie samych Gliwic działania powstańcze toczyły się w dwóch miejscach: w Szobiszowicach oraz w Dzielnicy Leśnej (Stadtwald) na obecnym Zatorzu. W Szobiszowicach powstańcy

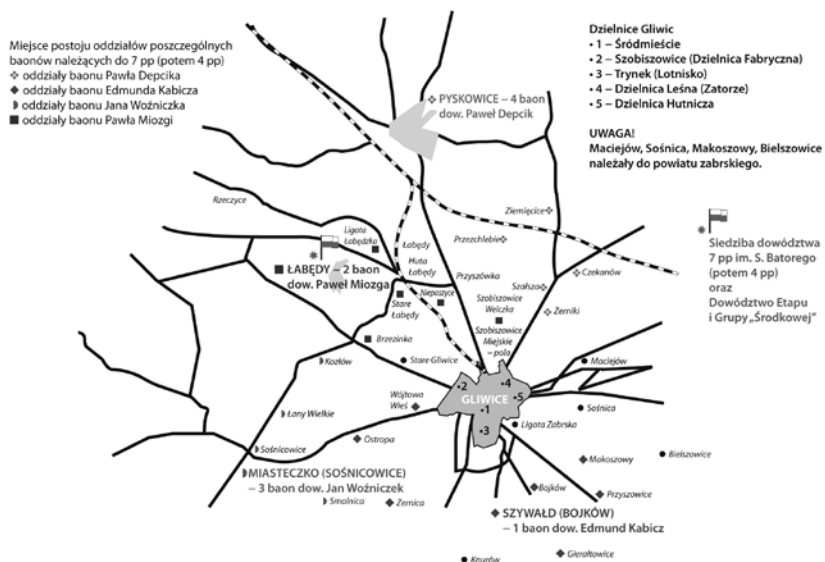


Wywieszenie polskiego sztandaru w Łabędach, 3.05.1921 r. Zbiory Muzeum w Gliwicach

z baonu łabędzkiego (F. Sojki) czasowo opanowali część wsi od strony Łabęd, ale ich dalszy marsz powstrzymał rozkaz naczelnego dowództwa, zabraniający atakowania Gliwic. Natomiast w Dzielnicy Leśnej doszło do walk w koszarach artylerii przy Lesie Miejskim. Doszło do nich, kiedy polska część policji plebiscytowej (Apo) chciała w noc wybuchu walk przejść na stronę powstańców, a temu przeciwstawili się ich niemieccy koledzy. W takich okolicznościach polscy funkcjonariusze zostali uwięzieni w koszarach i opuścili je dopiero 5 maja dzięki wsparciu oddziału powstańczego z Maciejowa.

Z pewnym oporem niemieckim powstańcy spotkali się także w Pyskowicach (baon Pawła Depcika), Sośnicowicach (oddziały Jana Woźniczki) i Toszku (baon Wincentego Mięsołka). Ostatecznie jednak powstańcy pod naciskiem aliantów musieli opuścić Toszek i Pyskowice, ale za cichą zgodą Francuzów kontrolowali znajdujące się w nich stacje kolejowe. Dzięki temu mogli transportować (choć okrężnymi liniami) wojsko i materiały wojenne z głębi Okręgu Przemysłowego na front opolski. Ważnym przystankiem na tej linii był dworzec kolejowy w Łabędach, także kontrolowany przez powstańców. Natomiast od południowo-wschodniej strony ważnym punktem transportu powstańczego, tyle że samochodowego i pieszego, były Sośnicowice.

Naczelne dowództwo polskie zrezygnowało z planu ataku na miasta, przez co odstąpiono też od planowanego uderzenia na Gliwice w dniu 4 lub 5 maja. Po opanowaniu powiatu i przyległych do Gliwic gmin przeprowadzono natomiast reorganizację zgromadzonych w rejonie miasta sił polskich. Pułki: katowicki (Walentego Fojkisa) i rybnicki (kpt. Franciszka Rataja) niezwłocznie wysłano na front opolski w celu jak



Mapa przedstawiająca rozlokowanie baonów 7 pp (potem 4 pp) im. S. Batorego cernujących (blokujących) miasto Gliwice w dniu 31 V 1921 r.
Opracowanie naukowe: D. Reclaw, rysunek wykonał L. Węglorz

najszybszego dojścia do tzw. linii Korfantego, proponowanej jako nowa granica polsko-niemiecka.

Na front opolski wysłano też dwa bataliony (baony) z gliwickiej części powiatu: Feliksa Konopki i Feliksa Sojki. Ich składy osobowe uzupełniono o wybranych z innych batalionów najbardziej chętnych do walki młodych powstańców. Z kolei z batalionów toszeckich (W. Mięsołka i F. Jędrzyka) utworzono tzw. Baon Śmiały – od nazwiska jego nowego dowódcy Ludwika Romanowskiego ps. „Śmiały”. Wszedł on w skład większej całości bojowej pod nazwą Podgrupy „Harden”, a potem w skład Podgrupy „Bogdan”. 11 maja Baon Śmiały liczył 700 osób i także został skierowany na front opolski, tyle że na jego północnym odcinku.

Powstańców nienadających się do walki frontowej przeniesiono do baonów przewidzianych do blokady (cernowania) Gliwic, a także wzmocnio-

no je oddziałami zabrskimi. Cały teren wokół miasta podzielony został na odcinki nadzorowane przez powstańców, stacjonujących w następujących miejscowościach.

Baon I z siedzibą w Szywałdzie pod dowództwem Edmunda Kabcza kontrolował obszar od Makoszów do Ostropy, baon II z siedzibą w Łabędach pod dowództwem Pawła Miozgi kontrolował obszar od huty „Hermina” na Kanale Kłodnickim aż po skraj lasu na północ od Szobiszowic, baon III z siedzibą w Sośnicowicach pod dowództwem Jana Woźniczki nadzorował obszar od Ostropy do Starych Gliwic, a baon IV z siedzibą w Pyskowicach pod dowództwem Pawła Depcika kontrolował tereny wokół tego miasta i obszar na linii do Maciejowa.

W sumie oddziały cernujące Gliwice liczyły ok. 2 tys. ludzi, czyli każdy z baonów liczył po ok. 500 osób, a faktycznie mniej, bo w tej liczbie był też sztab i kompania sztabowa. W większości byli to cywili o ochotnicy bez większego doświadczenia bojowego i jedynie w połowie posiadający uzbrojenie. Utrzymywanie tych sił było konieczne, bo Gliwice leżały na szlaku wszystkich niemieckich planów kontrataku z rejonu Opolszczyzny do centrum Okręgu Przemysłowego.

W praktyce blokada miasta wyglądała tak, że posterunki powstańcze złożone z ok. 10–15 osób uzbrojonych w karabiny, a często także w karabin maszynowy, stałe istniały przy wszystkich głównych drogach i liniach kolejowych przechodzących przez miasto.

Formalne przekształcenie pułku gliwickiego w 7 pułk piechoty (7 pp) im. S. Batorego nastąpiło 10 maja. Zgodnie z zaleceniem pułk ten składał się odtąd z 3 baonów piechoty, baonu CKM, miotaczy min i grantów, a także oddziałów pomocniczych, w tym sztabowego. Dowódcą 7 pp został mianowany Stanisław



Dowództwo 4 pp gliwickiego im. S. Batorego. W środku (w rogatywce) siedzi Stanisław Mastalerz, czerwiec 1921. Zbiory Muzeum w Gliwicach

Mastalerz, co było dowodem uznania dla jego dotychczasowej działalności, ale też wynikało z potrzeb politycznych (pozostawienie na stanowiskach dowódczych polskich Górnoślązaków).

W Łąbędach znajdował się także oddział sanitarny pułku. 4 czerwca 1921 dokonano reorganizacji i 7 pp przemianowano na 4 pp. W okresie powstania faktyczną władzę administracyjną na obszarze powiatu toszecko-gliwickiego sprawowała Komenda Etapu, której siedziba także znajdowała się w Łąbędach. Jej szefem był kpt. (Józef?) Potyka. Pilnowaniem porządku na tym obszarze zajmowała się żandarmeria polowa dowodzona przez dra Leona Potykę. Z kolei szefem ekspozytury sądu polowego w Łąbędach był mjr dr Władysław Borth.

Z dniem 13 maja 1921 Dowództwo Grupy „Wschód” utworzyło nowy związek taktyczny pod nazwą I Dywizji Operacyjnej (I Dywizja Wojsk Powstańczych) pod dowództwem kpt. Jana Ludygi-Laskowskiego. Stworzono ją z następujących jednostek: 1pp Pawła Cymśa, 2pp Walentego Fojkisa i 8 pp (m.in. strzeleckiego i toszeckiego) kpt. Teodora Kulika. Od razu po utworzeniu została ona wysłana na front opolski. Było to konieczne, bo im dalej powstańcy posuwali się na zachód, na tym większy natrafiali opór. Już w tej fazie powstania doszło do ciężkich walk w rejonie Kędzierzyna (6–10 maja). To tam skierowano pułk kpt. P. Cymśa, w skład którego wchodziły też oddziały gliwickie.

Generalnie III powstanie śląskie w Gliwicach i powiecie miało spokojny przebieg i nie przyniosło większych strat osobowych i materialnych. Tym niemniej przez całe dwa miesiące jego trwania w rejonie Gliwic dochodziło do drobnych incydentów, w wyniku których często byli ranni, a niekiedy nawet zabici. Niektóre z nich, zwłaszcza te w końcowej fazie powstania, mogły mieć poważne skutki dla jego ogólnego przebiegu. W pierwszej fazie powstania przeważnie dochodziło do nocnych wypadów bojówek niemieckich na obrzeżach miasta lub też ich utarczek z patrolami powstańczymi we wsiach okalających miasto.

Najpoważniejszym incydentem z okresu blokady w maju była próba wtargnięcia powstańców do centrum Gliwic od strony ul. Nowowiejskiej (obecnie Bohaterów Getta Warszawskiego) w dniu 7 maja. Drugim najpoważniejszym zakłóceniem spokoju w mieście były demonstracje niemieckie w centrum Gliwic w dniach 26–28 maja. Zorganizowano je jako protest przeciwko zabiciu w dniu 22 maja przez „zbląkanego pocisk” młodego niemieckiego uchodźcy, niejakiego Dehnelta z Nysy, a także przeciwko tendencyjności wojsk francuskich. Zostały one jednak bezwzględnie spacyfikowane przez wojska francuskie. W odwiecie 31 maja niemiecka bojówka napa-

dła m.in. na polskiego radnego i działacza ZZZP Józefa Spyrkę.

Kontrofensywa niemiecka, rokowania i koniec powstania (od 21 maja do 5 lipca)

Polskie sukcesy w powstaniu zakończyły się wraz z powstaniem niemieckiej „Samoobrony” (Selbstschutz Oberschlesien, SSOS), reorganizacją niemieckich sił i przybyciem w rejon walk z głębi Niemiec ortodoksyjnie pravicowych freikorpsów, w tym m.in. bawarskiego „Oberland”. W połowie maja naczelnym dowódcą wszystkich tych sił został gen. Karl Hofer. Podległe mu wojska liczyły łącznie ok. 8470 żołnierzy, w tym 170 oficerów (Polacy obliczali je na 30 tys.).

Były to oddziały zaprawione w bojach, dobrze uzbrojone, ale też nie w pełni karne i w części fanatyczne. Po wybuchu powstania Gliwice stały się miejscem schronienia dla ponad 4600 niemieckich uciekinierów z terenu walk. W większości byli to aktywiści niemieccy, a zarazem ludzie, którzy czuli się zagrożeni aresztowaniem przez Polaków. W mieście też szybko odrodziła się niemiecka konspiracja wojskowa, praktycznie zlikwidowana wraz z zagładą KOOS. Organizację tę wiązano ściśle ze strukturami Orzeschu, bo najpewniej jej oficerami byli ludzie powiązani z tą formacją. Według danych polskiego wywiadu, w połowie czerwca 1921 dowódcą Selbstschutzu w Gliwicach był niejaki Langer lub Lange, a szefem jego sztabu był niejaki Polanski. Ten pierwszy przebywał stale w hotelu „Golden Gans” („Pod Złotą Gęsią”, potem „Bagatela”) przy Tarnowitzerstrasse (obecnie ul. Matejki). Gliwice podzielone były na siedem okręgów (Bezirk) Selbstschutzu obejmujących poszczególne części miasta. Organizacja posiadała posterunki przy wszystkich ważniej-

szych drogach prowadzących do Gliwic, które w dużej części dublowały się z posterunkami polskimi.

Po przegrupowaniu sił Niemcy przeprowadzili dwie ofensywy w celu dotarcia do Gliwic i innych miast na odcinku centralnym, uwolnienia uwięzionych w nich własnych sił paramilitarnych, a następnie opanowania całego Okręgu Przemysłowego. Pierwszy plan przewidywał uderzenie z kierunku północnego i doprowadził do ciężkich walk w rejonie Góry św. Anny (21–26 maja). Drugi plan polegał na ofensywie z kierunku południowego i doprowadził do nowych walk w rejonie Kędzierzyna (31 maja–26 czerwca).

W walkach w rejonie Góry św. Anny udział wzięły dwa baony toszeckie. Od 16 do 22 maja walczyły one m.in. na linii od Gogolina przez Mały Kamień do Otmic, następnie broniły pozycji na linii Rozmierz-Daniec-Izbicko. Baon Wincentego Mięśoka odpierał też główne kontrnatarcie niemieckie w rejonie Kamienia Śląskiego i Kamionki, gdzie został zdziesiątkowany. Batalion Feliksa Konopki walczył na linii Izbicko-Szymiszów, stawiając przez prawie pięć tygodni skuteczny opór wyborowym kompaniom freikorpsu hr. Strachwitza. Z kolei walczący na południu batalion Feliksa Sojki skutecznie odpierał ataki niemieckie na odcinku frontu od Januskowic po Port Koziełski.

Po buncie dowództwa Grupy „Wschód”, w celu jego osłabienia podzielono ją na dwie części: Grupę Operacyjną „Wschód” i Grupę Operacyjną „Środek” („Środkową”). Dowódcą Grupy „Środkowej” został mjr Kwak-Krzewiński, ale przez pewien czas był nim też Stanisław Mastalerz. Począwszy od 26 czerwca 1921 jej szefem był kpt. Maksymilian Żyła.

Siedzibą sztabu Grupy „Środek” były Łąbędy. Wojsko tej grupy tworzone było



Jedna z kompanii pułku gliwickiego na obecnej ul. Toszeckiej w Pacyzynie w pow. gliwickim, czerwiec 1921. Zbiory Francuskiej Biblioteki Narodowej

przez trzy pułki piechoty: 3 pp Rudolfa Niemczyka (katowicki), 7 pp Stanisława Mastalerza (gliwicki) i 10 pp Karola Gajdzika. Ponadto w jej skład wchodziły: grupa wypadowa kpt. Józefa Potyki, szwadron żandarmerii polowej, dywizjon pociągów pancernych (m.in. „Górnik” i „Bajonczyk”) i inne oddziały. Na dzień 11 czerwca 1921 grupa ta liczyła 6734 żołnierzy i 102 oficerów. To właśnie w ramach tej reorganizacji dokonano z dniem 4 czerwca przenie- numerowania pułku gliwickiego z 7 na 4 pp.



Powstańcy z 4 pp (gliwickiego), 3 baon, 1 kompania, w środku w jasnym płaszczu Feliks Sojka (?), Łąbędy, czerwiec 1921. Zbiory Muzeum w Gliwicach

Na początku czerwca alianci zażądali od rządu w Berlinie wstrzymania dalszej ofensywy wojsk niemieckich pod groźbą wycofania się z miast okręgu przemysłowego. W efekcie 5 czerwca gen. Hoefler wstrzymał dalszy pochód swych oddziałów, a obie strony przystąpiły do rozmów pokojowych w Błotnicy Strzeleckiej. Jednak wbrew woli gen. Hoefera, część jego dowódców postanowiła nadal prowadzić działania zbrojne. Na kierunku północnym nowe ofensywne działania zbrojne rozpoczęły w nocy z 30/31 maja Freikorps Oberland pod dowództwem majora Horadama. Walki toczyły się najpierw w pobliżu Łąk Kozielskich i Lichyni, a potem objęły rejon Kalinowa i Szymiszowa.

Na kierunku południowym operacje zaczepne rozpoczął kpt. Anton hrabia von Magnis rozpoczynając marsz swych oddziałów w kierunku Gliwic wzdłuż Kłodnicy i Kanału Kłodnickiego. Niemiecka

ofensywa rozpoczęła się od strony Koźła 4 czerwca, kiedy to do boju ruszyły podporowocze oddziały niemieckie, w tym bataliony szturmowe Bawarczyków. Natarcie to obejmowało pas ziemi pomiędzy Olszową a Januszkowicami. Ten odcinek frontu był broniący przez oddziały 1 Dywizji, a dokładniej przez jej pułki: 2 zabrzański (pod dow. kpt. Pawła Cymasa), 4 królewskohucki (pod dow. ppor. Karola Gajdzika) i 5 bytomski (pod dow. Czesława Paula). Walki w tym rejonie były równie zacięte, jak wcześniej podczas bitwy pod Górą św. Anny. Aby utrudnić Niemcom dalszy marsz Grupa Destrukcyjna Wawelberga wysadziła wtedy w powietrze cztery mosty, dwa w rejonie Sławieć i dwa w rejonie Ujazdu.

Dowództwo polskie, przygotowując się do obrony, dokonało przegrupowania sił. Dotyczyło to też pułku gliwickiego, który został kolejny raz zreorganizowany i przesunięty w kierunku północnym. 19 czerwca 1921 roku 4 pp im. S. Batorego przygotowywał się do obrony w nowych miejscach postoju: Paczynie – baon I (dow. Feliks Konopka); Brzezince i Koźłowie – baon II (dow. Edmund Kabczy); Dzierżnie – baon III (dow. Feliks Sojka). W Łąbędach pozostał tylko baon IV sztabowy (dow. Paweł Miozga). Na szczęście niemiecki marsz został spowolniony, a naciski aliantów sprawiły, że od 24 czerwca obie strony rozpoczęły planową ewakuację swoich oddziałów z obszaru walk. Droga przemarszu wycofywanego 4 pp przebiegała przez: Czekań, Szalszę, Żerniki, Maciejów, Przeszowice, Paniówki do Mikołowa, skąd przewieziono ich pociągiem do Oświęcimia, a ostatecznie do Zamościa (bo nie chciano ich kwaterować w skomunizowanym Zagłębiu Dąbrowskim).

Więści o sukcesach niemieckiej ofensywy na froncie opolskim wpłynęły na ożywienie w czerwcu 1921 niemieckich działań w Gliwicach przeciwko powstańcom i wojskom alianckim. To właśnie wtedy dowództwo Selbstschutzu obsadziło

swoimi posterunkami wszystkie drogi wychodzące z miasta w kierunku: Łąbęd, Żernik, Szywałdu i Sośnicy. Z każdym dniem nasilały się też napady bojówek niemieckich na ludność polską. Najbardziej znanym mordem tego rodzaju było zabójstwo w dniu 14 czerwca w Szobiszowicach polskiego radnego Józefa Uszczyka.

Z typowo wojskowego punktu widzenia najważniejszymi wydarzeniami czerwca były jednak próby opanowania przez po-

wstańców dworca kolejowego w Gliwicach. W sumie podjęto wówczas trzy takie próby. Miały one miejsce w dniach: 15, 19 i 26 czerwca. Zawsze atak następował nocą i brały w nim udział grupy polskich powstańców (faktycznych lub rzekomych kolejarzy) oraz składy pociągów, w jednym wypadku były to pociągi pancerne. Dwukrotnie (15 i 26 czerwca) pociągi z powstańcami dojechały na dworzec w Gliwicach, ale szczególnie czujny w tym rejonie Selbstschutz zdołał ich za każdym razem zneutralizować. W jednym wypadku (19 czerwca) nastąpiło to jeszcze wcześniej, bo na przedpolu miasta – w Szobiszowicach. Tego dnia w godzinach nocnych wysłano z Łąbęd na rekonesans w kierunku Gliwic dwa powstańcze pociągi pancerne, ale z powodu niemieckiego oporu oba musiały się wycofać.

Szczególnie niebezpieczna sytuacja powstała w dniu 26 czerwca, kiedy to na dworzec w Gliwicach o godz. 9.00 wjechał od strony Sośnicy pociąg, w którym ukryta była grupa ok. 150 powstańców bytomskich. Po ich wykryciu przez Niemców część z nich została zabita, część pojmana (69), ale większość uciekła. Główne natarcie szło od strony Sośnicy, gdzie podążał batalion zabrzański Dionizego Trocera. Maszerował on dwiema grupami: jedna szła od strony Maciejowa przez Las Miejski, a druga podążała polami od strony Sośnicy.

Niemcy stawili im opór w rejonie Warsztatów Kolejowych. Powstańcy weszli wówczas do dzielnicy Hutniczej, gdzie splądrowali niektóre domostwa. Dowództwo francuskie przymuszone przez manifestację ludności niemieckiej wymsiło wówczas na powstańców zaprzestanie walk. Przyczynił się do tego w decydujący sposób polski przywódca narodowy w mieście, dr Feliks Orlicki, bo wiedział, że grozi to zerwaniem kruchego rozejmu polsko-niemieckiego na Górnym Śląsku. Rozejm kończący powstanie podpisano 5 lipca 1921.



Bojowcy z niemieckiego Selbstschutzu przy pracy w tajnym magazynie broni, Gliwice 1921. Zbiory Archiwum Państwowego w Katowicach Oddział w Gliwicach

Samochód pancerny „Korfanty” Na piechotę walczyć nie będę

MALWINA WOJTALA

Maj roku 1921, na Śląsku trwa III powstanie śląskie. Były porucznik marynarki Robert Oszek postanowił zebrać 67-osobowy oddział złożony z byłych marynarzy, służących wcześniej we flocie kajzerowskiej i własnoręcznie wybiera najlepszych kandydatów spośród tłumu chętnych Polaków. W ten sposób powstaje „szturmowa kompania zmotoryzowana” pod dowództwem Roberta Oszeka. W Hucie „Baildon”, która przed I wojną światową była jednym z najważniejszych na rynku producentów stali na Górnym Śląsku, zarekwiro-

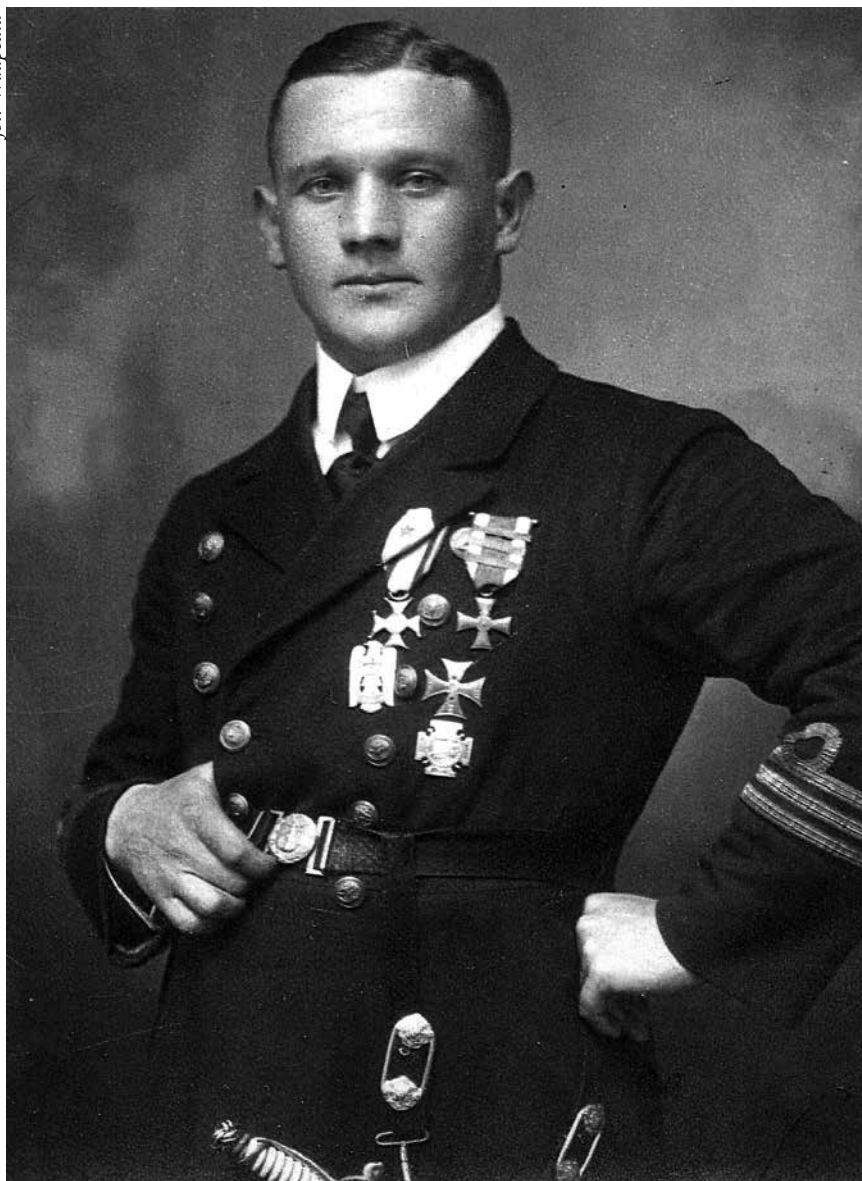
wano samochody ciężarowe na potrzeby nowo powstałej kompanii. Jednakże ciężarówka to nie okręt wojenny, a oficer marynarki nie godzi się zdegradować do roli zwykłego piechura. Jak to określił sam Robert Oszek „ja na piechotę nie będę walczył”. Postanowiono zatem wyposażyc marynarzy w nietypowy okręt na czterech kołach. W ten sposób inż. Woźniak przy pomocy porucznika Oszeka zbudował pierwszy samochód pancerny w Sosnowcu. Do jego produkcji wykorzystano stal przywiezioną z huty „Baildon”, którą zamienio-

no w blachy pancerne dzięki wykorzystaniu walcowni w sosnowieckiej hucie „Katarzyna”. Tak przygotowane arkusze przyspawano do zamontowanego na pojeździe stelaża, przez co ciężarówka zyskała opancerzenie, którego grubość szacuje się na od 5 do 10 mm. Modyfikacje sprawiły, że samochód osiągnął masę około 6,5 tony, wysokość około 240 cm oraz długość około 595 cm. Wewnątrz mieściło się od 7 do 9 członków załogi, którzy obsługiwali 4 lub 5 karabinów maszynowych MG 08/15 kal. 7,92 mm. Ponadto marynarze mogli wykorzystywać broń ręczną, do prowadzenia ognia przez specjalne otwory i szczeliny strzeleckie. Budowa samego samochodu pancernego zajęła od 3 do 5 dni. Pojazd ochrzczono mianem „Korfanty” na cześć przywódcy III powstania śląskiego Wojciecha Korfante-
go, pisząc imię na boku pojazdu. Z racji faktu, że samochód miał zastąpić marynarzom statek, na samym przodzie namalowano trupa czaszkę z puszczelami. Ten symbol nosiła również załoga na swoich czapkach.

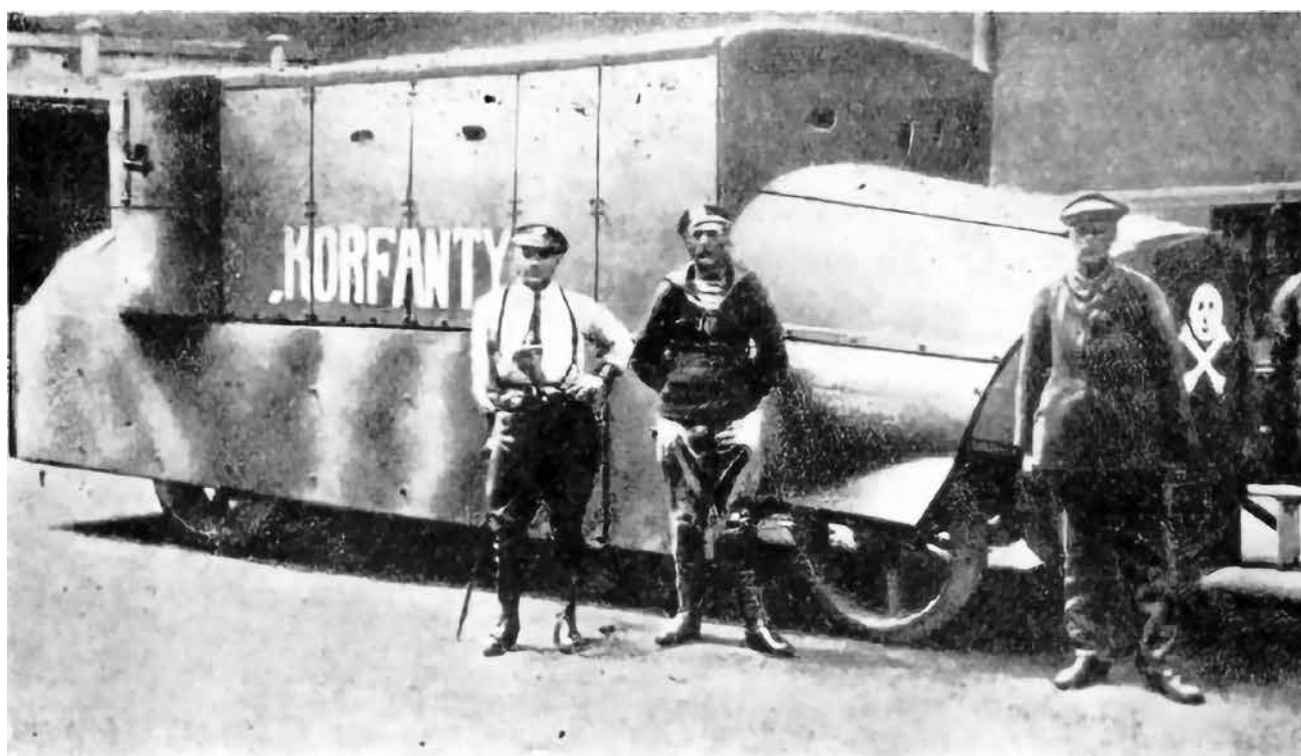
Warto tutaj dodać, że czaszka z puszczelami mogła nawiązywać do kilku motywów. Pierwszą z nich jest piracka symbolika zrodzona w XVIII wieku. Bandery morskich rozbójników – choć nie zawsze zawierające kości oraz czaszki – były znane pod nazwą „Old Roger” albo bardziej znanego określenia „Jolly Roger”. Czasami ich widok wystarczał, aby atakowany statek poddał się bez walki. Później tę symbolikę wykorzystywały angielskie łodzie podwodne, których załogi w ten sposób oznaczały zatopione jednostki wroga. „Jolly Rogera” do dziś można zobaczyć na amerykańskich okrętach wojennych, powracających do portu po udanej misji.

Innego wytłumaczenia symboliki czaszki oraz puszczeli można upatrywać w armii Cesarstwa Niemieckiego, która kontynuowała tradycję zapoczątkowaną jeszcze przez Fryderyka Wielkiego. Czaszki na mundurach nosili pruscy huzarzy von Ruescha, brunszwicy żołnierze Czarnego Korpusu, a także członkowie niektórych oddziałów szturmowych. Totenkopf został zaadaptowany przez rodzące się pod koniec Wielkiej Wojny niemieckie wojska pancerne, a pierwsze czołgi spod znaku czarnego krzyża nosiły na

foto. Wikipedia



Robert Oszek już jako kapitan Marynarki Wojennej, zdjęcie z roku 1922



Samochód pancerny „Korfanty”

kadłubach właśnie ten znak, natomiast ich załogi przypinały do czapek podobny symbol. Czaszka również znalazła się na pamiątkowej odznace dla czołgistów (Kampfwagenabzeichen) z roku 1921, którą przyznawano członkom załóg pancernych po wojnie.

Nie jest pewne, gdzie Robert Oszek podchwycił pomysł namalowania trupiej czaszki na panczeru „Korfantego”, jednakże porucznik z pewnością nie zapomniał o czasie spędzonym na morzu, bo nad pojazdem powiewała piracka flaga. Wóz pancerny nazywano nieoficjalnie „krążownikiem szos”, być może nawiązując do okrętów SMS Bremen i Blücher, na których Oszek służył jako marynarz we flocie cesarskiej. Nie bez znaczenia mógł być również wiersz śląskiego poety Benno Nehler-ta, który napisał wiersz poświęcony zatopieniu niemieckiego krążownika SMS Emden w pierwszych miesiącach I wojny światowej, chociaż taka nazwa samochodu pancernego mogła być po prostu pieszczotliwym przewżwiskiem nadanym przez marynarzy.

Niezależnie od genetyzacji nazwy oraz symboliki, „Korfanty” był pierwszym tego typu pojazdem w służbie śląskich powstańców, dlatego dość szybko wprowadzono go do działań bojowych w maju 1921 roku. Samochód pancerny dołączono do wojsk Grupy „Północ”, a następnie znalazł się pod rozkazami majora Jana Józefa Ludyga-Laskowskiego w składzie 1 dywizji wojsk powstańczych. Szlak bojowy załogi „Korfantego” wiódł przez Kędzierzyn, Raszową, Rolicze, Leśnicę, Lichynię, Zalesie i Sławicice. W samym rejonie Kędzie-

rzyna załoga samochodu pancernego wykonywała nocne patrole na drogach przy wsparciu drugiego pojazdu tego samego typu o nazwie „Woźniak-Walerus” – ochrzczonego nazwiskiem dowodzącego nim bosmana Karola Walerusa. 9 maja oba pojazdy wzięły udział w szturmie na Kędzierzyn, zakończonym zdobyciem miasta. „Korfanty” brał też udział w walce o Górę św. Anny pomiędzy 21 a 27 maja. Został między innymi wysłany do miejscowości Rozwady i Krępny 21 maja, gdzie dostał się pod ogień krzyżowy karabinów niemieckich. Samochód wycofał się, ale jeszcze tego samego dnia wrócił do natarcia, wspierany przez kilka powstańczych oddziałów. Tym razem udało się przerwać linię wroga, oczyszczając szereg budynków z oddziałów niemieckich. Co ciekawe, w tym samym sektorze walk pojawił się również pociąg pancerny o nazwie „Korfanty”, dowodzony przez porucznika Abłamowicza.

Podczas zaciętych walk z Niemcami powstańcy chętnie korzystali ze wsparcia swojego samochodu pancernego. Nierzadko odgrywał on rolę przynęty, mającej ściągać na siebie ogień wroga, podczas gdy oddziały powstańców niepostrzeżenie zmieniały pozycje. Nie oznacza to, że załoga była całkowicie bezpieczna, czego dowiodły walki o Lichynię. Podczas jednej z bitew „Korfanty” ugrzązł w rowie, będąc pod ostrzałem wroga. Załoga musiała opuścić samochód i zająć pozycje obronne wokół niego. Wysłano także jednego z załogantów po pomoc. Po trwającej pół godziny zażartej obronie nadeszły posiłki. Wóz udało się wycią-

gnąć z rowu i przywrócić do sprawności bojowej. Podporucznik rezerwy Józef Termin był jednym z członków oddziału porucznika Oszeka i tak wspominał tamten okres:

[...] mówili, że gdzie przeszedł Oszek ze swoimi, to trawa nie rosła. [...] Wyślali nasz oddział pod osłoną »Korfantego« we wszystkie luki frontowe. Ruszaliśmy się szybko z miejsca na miejsce. Duża siła rażenia. To były duże zalety. I ten marynarski duch bojowy, który przechodził na innych. Nazywali powstańcy »Korfantego« – »Krażownikiem szos«. [...] Nie było dla niego złych dróg, kiedy się tylko pojawił – Niemcy natychmiast zaczynali odwrót.

Samochód pancerny „Korfanty” brał udział także w tłumieniu buntu oficerów ze sztabu Grupy „Wschód”, którzy postanowili zastąpić Wojciecha Korfantego kapitanem Karolem Grzesikiem. Do buntowników przyłączyła się część osób ze sztabu Grupy „Południe” i „Północ”. Wojciech Korfanty pojawił się osobiście w sztabie Grupy „Wschód” w towarzystwie samochodu pancernego. Marynarze porucznika Oszeka aresztowali buntowników, tym samym kończąc rozłam w powstańczym sztabie. Była to ostatnia akcja bojowa samochodu pancernego „Korfanty”. Po tych wydarzeniach cały oddział został przeniesiony do Siemianowic Śląskich, ostatecznie kończąc swój szlak bojowy 5 lipca w Oświęcimiu. Samochód pancerny „Korfanty” został po demobilizacji przekazany – zgodnie z relacją podporucznika rezerwy Józefa Termina – do muzeum w Krakowie, po czym ślad po nim zaginął.

Żałoba po województwie

JAROSŁAW KAPSA

Pisząc listy z Częstochowy o ziemi częstochowskiej, chcąc nie chcąc, muszę dotknąć tematu dla nas trudnego: idei województwa częstochowskiego. Idei, nie tworzącej administracyjnej, bo rzecz leży w sferze niematerialnej, wymykającej się logicznej analizie. Utrata poczucia wojewódzkiej stołeczności była traumą, może nie dla ogółu częstochowiaków, lecz dla grupy inteligencji opiniotwórczej. Stała się paliwem politycznym skutecznie mobilizującym wyborców; jej zawdzięczamy fakt, że moim miastem rządzi od 11 lat lewica, a w gminach byłego województwa dominuje poparcie dla PiS. Oba ugrupowania świadomie grały na wojewódzkiej nostalgii, składając deklaracje powrotu do „starych, dobrych czasów”.

Używa się czasem określeń „ziemia częstochowska”, „region częstochowski” próbując dostosować rozpoznaną formę do pewnych administracyjnych realiów. Jedno i drugie określenie sugeruje istnienie obszaru, w którym w wyniku biegu historii ukształtowała się pewna spójność kulturowa. Naszym problemem było, że istniał regionalizm, a nie było regionu. Powstało w 1934 r. Towarzystwo Popierania Kultury Regionalnej, wydające rocznik „Ziemia Częstochowska” i inicjujące tworzenie muzeum regionalnego. Ale już w wstępie do I tomu zasłużonego rocznika inicjator ruchu regionalnego, starosta częstochowski Kazimierz Kühn, pisał:

Ziemi Częstochowskiej wśród dawnych ziem Rzeczypospolitej niema. Częstochowa należała w różnych czasach do różnych okręgów administracyjnych, przeważnie zaś związana była z Wieluniem i wobec tego należała do ziemi Wieluńskiej. Okolice jej albo również należały do ziemi Wieluńskiej, albo do powiatu Olkuskiego i ziemi Radomskiej (raczej „radomszczańskie”) – przyp. autora). Dla celów prac regionalnych Ziemia Częstochowska obejmuje właściwie tylko obecny powiat administracyjny Częstochowski i najbliższe jego okolice, wyraźnie swym charakterem i przejawami odrębności regionalnej ciężące do Częstochowy. Stałych więc granic tu niema i z pewnością niektóre zagadnienia regionalne wybiegać będą poza określone tu granice, inne zaś obejmować będą teren znacznie mniejszy, niekiedy zaś, jak to często bywa, na tym obszarze będzie

parę lub kilka wręcz odrębnych cech tych regionalnych przejawów. Ziemia Częstochowska na ogół nie przedstawia sobą takich znacznych odrębności, a ludność ją zamieszkująca, takich swoistych cech rasy, kultury, obyczaju, jak ludność niektórych innych prowincyj Rzeczypospolitej, jak np. Kurpie, Łowiczanie, Sieradzanie, Kaszubi, Podhalanie, Ślązacy, Poleśzacy, Huculi i t. p., pomimo to, niewątpliwie, posiada ich wiele.

Z tej wyliczonej przedwojennej różnorodności dziś, być może, mówić możemy o Kaszubach, Podhalanach, możemy dyskutować o narodowej odrębności Ślązaków, ale nawet takie zachowania nie świadczą o istnieniu spójnych i odrębnych kulturowo regionów. Historia nie dała nam takich szans, wiek XX był czasem wielkich migracji, ze wsi do miast, ze wschodu na zachód, zacierającej dawne społeczne więzy. Tożsamość regionalna tworzy się na nowo, zazwyczaj na obszarach związanych z oddziaływaniem dużych miast lub ich konurbacji. Podział administracyjny może mieć znaczenie, o ile odpowiada on zachodzącym procesom społecznym

W dyskusji z 1998 r., poprzedzającej próbę stworzenia w Polsce modelu zarządzania decentralistycznego, opartego na samorządności gmin, powiatów i województw, zderzyły się dwie „pamięci wody”; ta z okresu bytu 17 województw oraz ta z czasów 49 „ziem” gierkowskich. „Pamięć wody” była dziedzictwem PRL, bo bez względu na używane przywołania historyczne, sięgające nawet średniowiecza, Polska powojenna była geograficznie innym krajem niż przedwojenna Rzeczpospolita. Zresztą i przedwojenny podział administracyjny tworzony nie był z myślą budowania regionów, lecz w celu przyspieszenia unifikacji państwa przez zatarcie różnic między zaborami.

Bez społecznych dyskusji, „tymczasowo” ustawą z 2 sierpnia 1919 r., zastąpiono w dawnym Królestwie Kongresowym 10 guberni – pięcioma województwami: białostockim, kieleckim, lubelskim, łódzkim i warszawskim. Ustawa z 15 lipca 1920 r. tworzyła autonomiczne województwo śląskie powstałe w czerwcu 1922 r. Na podstawie różnych innych aktów prawnych dokonano podziału administracyjnego pozostałych ziem II Rzeczypospolitej. Ostatecz-

nie w 1925 r. Polska podzielona była na 16 województw, jedno miasto na prawach województwa (Warszawa) i 281 powiatów. Częstochowa, wraz z powiatem częstochowskim, włączona była do województwa kieleckiego. W tym samym województwie znalazły się także obszary Zagłębia. Rozerwana została więź z dawną Ziemią Wieluńską: powiat wieluński i radomszczański znalazł się w województwie łódzkim. Charakterystycznym było zachowanie wspólnego częstochowsko-radomszczańskiego okręgu wyborczego: podział na okręgi wyborcze wyprzedził ustawę o podziale administracyjnym. W czasach carskich Częstochowa, Zagłębie i Łódź podlegały gubernatorowi piotrkowskiemu, przyspieszony rozwój gospodarczy powodował, że miasto guberniane było „kopcuszkim” wobec nadgranicznych wielkich ośrodków przemysłowych. Po 1919 r. sytuacja była podobna: Częstochowa i Sosnowiec znacznie przewyższały swym potencjałem stołeczne Kielce. Z punktu widzenia elit częstochowskich podział administracyjny był niesprawiedliwy; szeroko komentowano próby wprowadzenia reform podnoszących rangę mojego miasta. W 1945 r. „provisorycznie” przywrócono „przedwojenny” podział, podporządkowując Częstochowę Kielcom. 18 marca 1945 r. w Katowicach podpisano akt zjednoczenia Śląska tworzący województwo śląsko-dąbrowskie. Tworzyła się pewna dysfunkcyjność, nie tylko dlatego, że miasto nad Wartą było dwukrotnie większe od swej stolicy wojewódzkiej. Rozwój ośrodków miejskich zależy od układu komunikacyjnego, dla Częstochowy najważniejsze były połączenia w układzie południkowym, kierunek na Kielce miał znaczenie uboczne. Podział administracyjny oddzielił Częstochowę od ośrodków „satelitarnych”, wzrastających w powiązaniu z nią: Radomsko i Zawiercie. W 1947 r. na łamach „Głosu Narodu”, a następnie „Życia Częstochowskiego” opublikowano szereg wywodów postulujących stworzenie województwa częstochowskiego. Swoim kształtem postulowane województwo pokrywać się miało z administracyjnymi granicami diecezji częstochowskiej, a więc obejmować Zagłębie, a na północy sięgać Wieruszowa. Głosy owe nie przekonały centralnego planisty. Ustawa z 28 czerwca 1950

r. podzieliła Polskę na 17 województw, Częstochowa wraz z powiatem wcielona została do województwa katowickiego. Kolejne ustawy umacniały centralizm. Ustawa z 25 września 1954 ostatecznie zlikwidowała samorządność gmin, wprowadzając podział na powiaty i gromady: 3001 gmin zastąpiono 8789 gromadami. Polska podzielona została na 276 powiatów, w kolejnych latach poprzez podział największych powiatów utworzono 19 powiatów nowych. W 1952 r. powstał powiat kłobucki wydzielony z częstochowskiego; w 1954 r. zdecydowano o wydzieleniu powiatu pajęczańskiego z radomszczańskieo i myszkowskiego z zawierciańskiego.

Chociaż celem tej reformy było wzmocnienie centralnego systemu zarządzania, ten podział wpłynął na kształtowanie się lokalnych tożsamości. Po okresie wielkich migracji rodziła się tęsknota za stabilnością. Trwały okazał się podział na powiaty, mimo ich formalnej likwidacji reformą gierkowską. Miasta powiatowe stawały się centrum życia lokalnego, utrwały się „rejonowe” instytucje władzy: sądy, prokuratury, komendy milicji, straży pożarnej, komisje poborowe, szpitale i inne instytucje służby zdrowia, muzea itd. W 1998 r. główny ciężar dyskusji w Sejmie i w mediach ogólnopolskich dotyczył kształtu województwa; ale największa aktywność oddolna widoczna była w walce o przywrócenie „dawnych” powiatów. Racjonalność reformy wskazywała na tworzenie ok. 100–150 samorządów ponadgminnych; pod naciskiem społecznym powstało ich 314 ziemskich i 66 miast na prawach powiatu. Wymuszono więc oddolnie nie tylko przywrócenie wszystkich powiatów „bierutowskich”, ale dodatkowo uwzględniono aspiracje blisko 30 miast chcących być centrami życia lokalnego.

Reforma wojewódzka z czasów Gierka wprowadzona została, podobnie jak większość zmian prawnych z epoki PRL, bez konsultacji społecznych i zawierania sobie głowy opinią publiczną. 28 maja 1975 r. Sejm przyjął ustawę, 30 maja Rada Ministrów wydała rozporządzenie, 1 czerwca media poinformowały o utworzeniu nowych 49 województw. Domniemywano powód polityczny: duże województwa stawały opór nadmiernej centralizacji; małe, pod każdym względem zależne były od warszawskich urzędników. Częstochowskie elity mogły czuć się usatysfakcjonowane uzyskaniem rangi gospodarzy stolicy „regionalnej”. Inne były reakcje mieszkańców owego regionu. Kształt województwa ustalono, podobnie jak granice krajów afrykańskich, w nadszybczym luźnym nawiązaniu do istniejących więzi społecznych. Włączono arbitralnie powiat lubliniecki i oleski, które przed wojną znajdowały się w zaborze pruskim, a przez to zachowały swoją śląską odrębność. W obu



Urząd Wojewódzki w Częstochowie, 1976–1978.

powiatach ta odrębność była inna: powiat lubliniecki należący do II Rzeczypospolitej czuł się związany z Górnym Śląskiem, kultywowano tu mowę i obyczaje śląskie. Olesno, i związany z nim powiat, do wojny należały do Niemiec; ciążył więc do Opola, a autochtoniczna ludność przechowywała niemiecką tożsamość. Także inne granice województwa wytyczano nie licząc się z ukształtowanymi więziami. Od Wielunia oddzielono Praszkę i Rudniki Wieluńskie, od Radomska – pielgrzymkowy ośrodek Gidle. Na wschodzie rozerwana została przestrzeń nadpilicka, podzielono spójną geograficznie ziemię włoszczowską. Podobnie sztucznie „rozcięto” Jurę Częstochowsko-Krakowską. Kursowały plotki o metodach rysowania granic województwa. Podobno, jak już wykreślono, podobny do jajka, kształt „regionu”, to rządzący w Katowicach tow. Grudzień przypomniał sobie, że w „oddanej” części znajduje się jego ulubiony ośrodek wczasowy w Morsku. Wyrysowano więc „ząbek” obejmujący Morsko, w zamian podobną metodą zrobiono „ząbek” w granicy północnej, dając jako rekompensatę dla Częstochowy pałac w Krużynie. Trudno określić prawdziwość owych plotek, ale niewątpliwie sposób wytyczenia granic nowych województw był zaprzeczeniem racjonalności.

Utworzenie województwa było częścią wdrażanych reform administracyjnych. W 1972 r. zlikwidowano gromady, tworząc w ich miejsce gminy; w miejsce 4300 gromad powstało 2300 gmin. Wprowadzając województwa zniesiono powiaty, choć ze względów funkcjonalnych pozostawiono niektóre instytucje powiatowe. Nasze nowe województwo zbudowano z miasta Częstochowy, powiatu częstochowskiego (11 gmin), kłobuckiego (13

gmin), lublinieckiego (11 gmin), myszkowskiego (11 gmin), części zawierciańskiego (2 z 10 gmin), radomszczańskieo (5 z 15 gmin), pajęczańskiego (4 z 10 gmin), wieluńskiego (3 z 15 gmin), oleskiego (6 z 8 gmin), włoszczowskiego (8 z 12 gmin). Powierzchnia województwa wynosiła 6182 km² (1,9% powierzchni kraju). Województwo administracyjnie podzielone było na 4 miasta, 13 miast-gmin oraz 39 gmin – łącznie 56 jednostek. Liczba mieszkańców na koniec grudnia 1976 r. wynosiła 730 994 mieszkańców (2% ogółu ludności Polski). Likwidacja powiatów odczuwalna była jako forma degradacji w Myszkowie, Kłobucku, Lublińcu, Pajęcznie, Oleśnie. Próbowano to wynagrodzić poprzez awans w strukturach wojewódzkiej władzy działaczy i funkcjonariuszy pochodzących z Myszkowa i Kłobucka, ale prowadziło to do wzrostu napięcia między mieszkańcami „stolicy” a „prowincjuszami”.

Różnice kulturowe między poszczególnymi obszarami powiększały się poprzez brak spójności komunikacyjnej i gospodarczej. Przeszarżała infrastruktura kolejowa powodowała, że czas przejazdu z Koniecpola do Częstochowy trwał powyżej 3 godziny, znacznie dłużej niż z Częstochowy do Katowic. Dotarcie komunikacją PKS do Szczekocin lub Kroczyca wymagało przesiadki w Zawierciu. Problemu spójności komunikacyjnej nie rozwiązano przez cały okres istnienia województwa. Rażące były różnice w infrastrukturze komunalnej. Zachodnia część – lublinieckie i oleskie – korzystały z dziedzictwa państwa niemieckiego; wschód był wyraźnie upośledzony. Drogi o twardej nawierzchni liczyły ogółem 2 654 km, co lokowało województwo na 25 miejscu w kraju. Liczba abonentów telefo-

nów na 1000 mieszkańców w województwie wynosiła 46 (było to ostatnie 49 miejsc w kraju) w tym w miastach 74,9 (48 miejsc w kraju). Sieć wodociągowa mierzyła 1 836 km; brak było dostępu do zaopatrzenia w wodę w miastach Szczekociny i Koziegłowy oraz w ponad 60% wsi. Jeszcze gorzej wyglądała kwestia kanalizacji, pozabawione jej były Gorzów Śląski, Koziegłowy, Krzepice, Szczekociny, Zarki; nie istniała sieć kanalizacyjna na wsiach. Z 17 miast 13 było bez sieci gazowej. Znaczna liczba szkół wiejskich mieściła się w budynkach wybudowanych przed wojną, niespełniających podstawowych wymogów sanitarnych, ze „sławojkami” na podwórkach. Niedorozwój cywilizacyjnej infrastruktury dotyczył wschodnich i północnych, rolniczych obszarów województwa; nieporównywalnie lepsze nasycenie infrastrukturą było w dawnym powiecie lublinieckim oraz w pasie wzdłuż linii komunikacyjnej Częstochowa – Katowice. Tych cywilizacyjnych różnic wewnątrz województwa nie zdołano przezwyciężyć przez całe 25-lecie jego istnienia, nie przezwyciężono do dziś. Problem społeczny „naszej ściany wschodniej” jest nadal zjawiskiem obciążającym województwo śląskie. Nie była to jednak nierównowaga powstała w czasach województwa częstochowskiego, lecz stan, który przez zaniechania dawnego województwa katowickiego nie potrafiło przezwyciężyć.

Okres 1950–1975 utrwalił wśród częstochowian stereotyp niechęci władz katowicko-sosnowieckich do naszych peryferii. Brak samorządności prowadził do niezrównoważonej polityki rozwojowej. Przemysł budował nowe miasta: Praszka powstała wokół fabryki części samochodowych, Szczekociny budowała fabryka czołgów, Koniecpol – płyty pilśniowe. W tych nowych ośrodkach przemysłowych zaniedbywano inwestycje w wodociągi, kanalizację, gaz, ulice, szkoły. Projektowano zamianę ziem w sąsiedztwie Częstochowy w zaplecze żywnościowe Górnego Śląska, w tym przez tworzenie dużych ferm hodowlanych w jurajskich Włodowicach, pod Krzepicami, czy nad górną Liswartą. Były to plany nie uwzględniające podstawowych zasad ochrony środowiska, lekceważące prawa ekonomii i zdrowego rozsądku.

Obraz budowany na nostalgii prowadzić może do fałszowania pamięci. Tęsknota za czasami wojewódzkimi miesza się z wspomnieniem „złotej epoki” gierkowskiej, w której „Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej”. Samo wydzielenie granicą administracyjną pewnego obszaru nie zmieniało realiów życia. Katowice pozbyły się problemu, mogły skon-

centrować się na „modernizacji” kornurbacji górnośląskiej, nie martwiąc się stanem higienicznym „sławojek” w Lelowie. Mimo granic ludzie z „regionu” częstochowskiego nadal skazani byli na migracje do miast górnośląskich. Bo tam była praca, lepsza płaca, lepsze szkoły wyższe, lepsze zaopatrzenie w sklepach, lepsze usługi publiczne, zwłaszcza służba zdrowia.

Województwo powstało w 1975 r., a więc wtedy, gdy przygasał boom gierkowski. „Sztandarowe” „gierkowskie” inwestycje modernizacyjne zrealizowano lub zaczęto realizować przed utworzeniem województwa; do takich należały: trasa DK-1, rozpoczęcie budowy osiedli dzielnicy Północ i Raków, budowa wiaduktu łączącego Śródmieście ze Stradomiem, budowa pawilonu „Cepelii”, promenady XXX-lecia PRL. Pierwsze lata „samodzielnego” bytu to okres opóźnień w realizacji budownictwa mieszkaniowego przy jednoczesnym przyspieszeniu budowy obiektów prestiżowych dla władz: budynku KW PZPR i komendy wojewódzkiej MO. Powstanie województwa nie wpłynęło na przyspieszenie modernizacji przemysłu; najważniejsze inwestycje – rozbudowa huty, budowa „Wykrometu”, modernizacja zakładów włókienniczych – realizowano w okresie przełomu lat 60./70. Nowe województwo obciążone zostało kosztem likwidacji górnictwa rud żelaza. Negatywne konsekwencje przyniosła decyzja rządu o budowie huty „Katowice”; powodowało to ograniczenie planów rozwojowych częstochowskiej huty oraz zwiększenie migracji pracowników częstochowskich do Zagłębia. Gospodarczy rozwój epoki gierkowskiej nie był związany z kształtem systemu administracyjnego zarządzania; decyzje o kierunkach rozwoju i konkretnych inwestycjach zapadały w Warszawie. Wyjęto nawet z władztwa wojewódzkiego tzw. przemysł terenowy, handel i podstawowe usługi bytowe, tworząc ogólnopolskie struktury „socjalistycznych” koncernów typu PSS „Społem”, „GS”, PHD itp. Na „dół” cedowano głównie problemy, w tym istotny, w czasach powszechnego niedoboru, obowiązek rozdziału deficytowego towaru (czyli produktów niezbędnych do życia: od chleba po pralki).

Mimo tych negatywów podział administracyjny kształtował lokalną świadomość. Elity opiniotwórcze jednoczyła swoista wspólnota interesów. Możliwość awansu społecznego nie była, w odczuciu częstochowian, ograniczana preferencjami dla „zagłębiaków” i „ślązaków”. Istniejące w PRL formy ludowych przedstawicielstw – rady narodowe – tworzyły poczucie wpływu na lokalne otoczenie. Działał także mechanizm obecny w całej Pol-

sce: po zawieruchach wielkich migracji, marzeniem była stabilizacja, a ta wiązała się z utożsamianiem własnego interesu z dobrem „małej Ojczyzny” – miejscem naszego bytowania. Brak regionalnej spójności kulturowej bywa czasem zaletą. Oznacza to brak ukształtowanej większości narzucającej wszystkim swój styl życia, a także świadomej mniejszości zdeterminowanej w obronie swoich praw. Świadomość różnorodności otwiera drogę budowania tysięcy kompromisów zgodnych z zasadą „żyj i pozwól żyć innym”. Widoczne to było po 1989 r., gdy, w sąsiednim województwie opolskim, zapalnym stał się temat „legalizacji” obecności mniejszości niemieckiej. To, co tam stało na ostrzu noża, w częstochowskim przeszło niezauważenie. Po prostu: sąd zdecydował o rejestracji stowarzyszenia mniejszościowego (był to pierwszy wyrok legalizujący narodowość niemiecką w powojennej Polsce), przyjęto to jako fakt nie podlegający dyskusji; podobnie przyjęto wybór przedstawicieli mniejszości do rad samorządowych, podejmując z nimi współpracę dla dobra regionu. Brzmi to paradoksalnie, ale inicjatorem i liderem współdziałania gminnych samorządowców z całego województwa, współdziałania mającego przede wszystkim na celu wydobyć naszej „ściany wschodniej” z cywilizacyjnej zapaści, tym liderem był samorządowiec z Woźnik, z ziemi lublinieckiej, Edward Maniura. Nie zmieniało to ogólnego nastawienia mieszkańców ziemi lublinieckiej, demonstrujących przy każdej okazji swój sprzeciw wobec włączenia ich do regionu częstochowskiego.

Współzycie oparte na tysiącach kompromisów nie zawiera w sobie takiego ładunku emocjonalnego, jak przekonanie o byciu gospodarzami u siebie, na swoim. Tym była „województka” tożsamość elit częstochowskich. Była... bo nostalgia wojewódzka zanika już jako zjawisko społeczne, a także jako polityczne paliwo. Decydujący głos ma już inne pokolenie, nostalgia za województwem dotyczy raczej ludzi w wieku 65+. Wybory parlamentarne w 2019 r. były chyba ostatnimi, gdy tematem wiodącym, w ustach polityków PiS i Lewicy była obietnica przywrócenia stołeczności mojego miasta.

Może tak, może nie. Obserwowany proces likwidacji samorządności prowadzi nieuchronnie do tworzenia pionowej hierarchii społecznej. W reakcji narastać będzie niechęć „wykluczanej” prowincji do władzy z wojewódzkiego centrum. Temat „oddzielenia” się od nielubianych Katowic może znów odżyć w Częstochowie. ■

Rośliny i ludzie. O poezji Tadeusza Kijonki

ALINA SZYMKOWIAK

Tadeusz Kijonka to poeta współodczuwający z naturą. W swoich utworach nie pomija zadawanego jej cierpienia. Przeżywanie bólu przez wszelkiego rodzaju florę niewiele różni się od doświadczania go przez człowieka. Podobnie jak on, rośliny dają znać, że dzieje się z nimi coś niedobrego. Autor *Sekretnego życia drzew* pisał: „Wszystkie drzewa, czy to buki, świerki czy też dęby, boleśnie odczuwają, gdy ktoś je obgryza. [...] [W]okół miejsca ugryzienia zmienia się tkanka. Ponadto wysyła ona sygnały elektryczne, tak samo jak to się dzieje w ludzkim ciele, gdy zostanie zranione. Jednakże impuls ten nie rozchodzi się, jak u nas, w ciągu milisekund, lecz przemieszcza się w tempie zaledwie centymetra na minutę”. Niewątpliwie rośliny wyczuwają, że są niszczone, zjadane, że muszą się bronić przed działaniem świata zewnętrznego, czego dowodzi przykład akacji, którymi żywią się żyrafy. Wskazuje na to również eksperyment opisany przez Chamovitzę: „W połowie dwudziestego wieku Rudolf Dostál, czeski botanik zajmujący się, jak to sam określał, «pamięcią morfogenetyczną» u roślin, przeprowadził dość zawiły eksperyment. Pamięć morfogenetyczna to pamięć determinująca przyszły kształt organizmu. Innymi słowy, na pewnym etapie rozwoju roślina doświadcza działania jakiegoś bodźca, na przykład uszkodzenia liścia lub złamania gałęzi, który początkowo jest dla niej obojętny, później jednak, w zmienionych warunkach otoczenia, wspomnienie tamtego zdarzenia powraca i powoduje zmianę sposobu wzrastania rośliny”.

Tadeusz Kijonka w swoich wierszach jest uważnym obserwatorem roślinności. W wierszu *Naocznie* napisał:

*Mróz zwarzył kwiaty moreli o świcie —
Znów przedwcześnie wybiegły z pąków na znak słońca,
I bezbronne w rozkwicie rdzewieją jak wióry
Krwi krzepnącej na wietrze.*

Delikatne kwiaty moreli marnieją na mrozie, przeżywają „ból roślinny” w milczeniu i osamotnieniu. Dla większości ludzi jest on niezauważalny, obojętny. Chociaż rośliny wysyłają wizualne sygnały w postaci opadających płatków kwiatów, nikt nie potrafi dostrzec ich cierpienia. Człowiek, zajęty sobą, traktuje je jako dodatek do otaczającego świata. Poeta widzi jednak inaczej. W dramatyczny sposób przedstawia „ból” kwiatów. Zauważa ich bezbronność. Zbyt wcześnie zakwitły i teraz obumierają – jak podkreśla autor *Czasu, miejsca i słowa* – są „[...] jak wióry / Krwi krzepnącej na wietrze”. Warto zaznaczyć, że morele to wytrzymały gatunek. Potrafią przetrwać w niskich temperaturach, zakwitają jednak dość wcześnie, a co za tym idzie, są narażone na nieprzychylny warunki atmosferyczne i przez to marnieją. Z tego powodu, kiedy temperatury nie pozwalają kwiatom na wzrost, morele nie owocują zbyt obficie.

Doświadczenie opisanych roślin poeta w dalszej części utworu odnosi do losu człowieka:

*Nie ufaj pierwszym podmuchom wolności,
Wierszu mój, z zaciętymi zębami, milcz i patrz:
Sam widzisz
Co znów się stało.*

Jeszcze nie twoja pora.

We fragmencie tym personifikacji zostaje poddany wiersz, staje się on częścią poety. Liryk dojrzewa w nim, ale nie jest jeszcze gotowy na napisanie. Twórca czyni go świadkiem umierania kwiatów. Chociaż utwór chciałby już „mówić”, musi „zamilknąć”. Jego przedwczesny rozkwit może spowodować podzielenie okrutnego losu, który spotkał rośliny. Wychyliły one swe płatki podczas pierwszych ciepłych, niosących otuchę dni. Obserwujący świat roślin poeta, nauczony ich doświadczeniem, chce poczekać na odpowiedni moment dla zaistnienia wiersza, dopiero wtedy pozwoli mu „mówić”. Autor podkreśla, że opisana przez niego sytuacja liryczna nie wydarzyła się tylko jeden raz. Wskazuje na jej powtarzalność, cykliczność: „[...] Znów przedwcześnie wybiegły z pąków na znak słońca [...]”, „[...] Sam widzisz / Co znów się stało”. Rośliny „nie uczą się” na swoich błędach, pragną istnieć, z jak największymi korzyściami dla swojego rozwoju – z tego powodu „postępują” nierozważnie. Człowiek zachowuje się w podobny sposób. Ograniczenie samego siebie jest trudne – „[...] Wierszu mój, z zaciętymi zębami, milcz i patrz [...]”. Poeta zdaje sobie jednak sprawę z tego, że chwilowe zatrzymanie „rozkwitu” jest konieczne, aby nie umrzeć jak rośliny.

Drzewa wydają się z jednej strony niezniszczalne, monumentalne, z drugiej natomiast – delikatne i kruche, jak kwiaty moreli. Marzena Marczevska w *Drzewach w języku i kulturze* pisała: „Nieśmiertelność, przejawiająca się w przypisywaniu drzewu możliwości ciągłej regeneracji i odradzania, sprawiła, że człowiek patrzył na drzewo i zmiany w nim zachodzące jako na przejaw mocy nadnaturalnej, której działaniu sam musiał także podlegać. Tłumaczy to również w pewnym stopniu bardzo szczególny stosunek człowieka do drzewa, wyrażający się w traktowaniu drzewa jako pośrednika między światem ludzi i bogów (światem mocy)”. W jaki sposób wyjaśnić zatem ten ambiwalentny sposób ich postrzegania? Drzewo ściśle związane ze światem ludzi, co – jak podkreśliła Marczevska – „[...] uzewnętrznia się nie tylko w wielu porównaniach, paralelach i metaforach, ale także w określonym nazywaniu poszczególnych części (dusza, ciało, skóra, roz/nogi; również zestawienie gałęzi drzewa z rękami człowieka [...]). Wyłania się stąd obraz drzew, które z jednej strony są niezniszczalne ze względu na „moc” nieustannego odradzania się, z drugiej – wydają się kruche i delikatne jak człowiek, ulegają tym samym procesom.

Bliskie ludowemu postrzeganiu drzew jest obrazowanie pojawiające się w utworach Kijonki. Poeta ukazuje podobieństwo zmagania, których doświadczają ludzie i przyroda. Wszystkie istoty łączy przemijanie, pokonywanie trudów codzienności. W utworze pt. *Oblężenie* występuje upersonifikowane drzewo, które zostaje określone „siostrą”:

*Korono sosny — siostrę czarnowłosa nade mną,
Walcz, by nie polec w wichurze nim świt przeniknie ciemność
Jeszcze pół nocy szturmów i minie oblężenie,
Nie daj się wpół przelamać, wyszarpać po korzenie.
Trwaj, wytrwaj nad powalonym, choć dudnią w skroń kopyta
Jeszcze pół nocy tylko — i znowu nam dzień zaświta.*

Drzewo jest dla osoby mówiącej niezwykle ważne, bliskie. Spokrewnia się ona z przyrodą, wytwarza relację rodzinną. Podmiot liryczny ponownie chce ukazać, że jest częścią natury, że człowiek nie jest kimś wyjątkowym. Poeta wcześniej porównywał swoje istnienie do losu zwierzęcia (bratem był dla niego jeź), teraz zrównuje siebie z roślinnością. Co istotne, drzewem pojawiającym się w utworze jest sosna, symbolizująca – „[...] długowieczność, wytrzymałość, śmiałość, zwycięstwo; zdrowie [...]; siostrę; [...] nieśmiertelność”, ale także „[...] samotność, żal, smutek [...]”. Drzewo „walczy” z losem, który jest dla niego bezlitosny, podobnie jak czyni to człowiek, zmagający się ze swym życiem. Trwa „[...] obłędnie [...]” – ulewa, burza. Tajemniczego, mrocznego charakteru dodaje utworowi język – wiersz jest silnie zrytmizowany (występują rymy parzyste), dla podkreślenia mocy deszczu i intensywnie wiejącego wiatru Kijonka stosuje instrumentację głoskową: nagromadzenie głoski „r”, np. „[...] szturmując [...]”, / [...] przełamca, wyszarpać [...]”.

Wohlleben w jednym z rozdziałów *Sekretne życie drzew* (w *Burzliwych czasach*) pisał, że szczególnie narażone na zniszczenia spowodowane nieprzychylnymi warunkami atmosferycznymi są te drzewa, które nie nawiązują kontaktu z innymi przedstawicielami tego samego gatunku – te, które trwają samotnie, bez wsparcia. Właśnie one jako pierwsze, podczas silnie wiejących wiatrów, mogą ulec zniszczeniu, gdyż nie otaczają ich towarzysze, podpierający swoimi konarami słabsze drzewo. Podobnie jest z ludźmi, którzy bez pomocy drugiej osoby nie są często w stanie sprostać zmaganiom. Może między innymi z tego względu osoba mówiąca stara się pomóc sośnie? Podmiot liryczny zauważa, że „siostra” jest samotna. Nie chcąc pozwolić, aby się poddała, stara się wesprzeć swą towarzyszkę niedoli. Pociesza ją, że ból i cierpienie za chwilę ustąpią: „[...] Jeszcze pół nocy szturmów i minie obłędnie [...]”. W szóstym wersie następuje powtórzenie tego pokrzepienia: „[...] Jeszcze pół nocy tylko – i znowu nam dzień zaświta”. Poeta stara się zmobilizować sosnę do walki, zachęcić do przetrwania, do niepoddawania się: „[...] Nie daj się w pół przełamca, wyszarpać po korzenie. / Trwaj, wytrwaj nad powalonym, choć dudnią w skroń kopyta [...]”. Chce, aby „walczyła”, pomimo złej sytuacji, pomimo załamania – „Trwaj, wytrwaj nad powalonym [...]”. Ciężkie krople deszczu uderzające w korę nie ułatwiają przetrwania – „[...] choć dudnią w skroń kopyta [...]”.

Osoba mówiąca w wierszu zauważa, że sosna nie wytrzymuje już trudu, proponuje jej zatem pomoc:

*Słysz: skomlą konary i z pnia wykręcone słoje —
Jeśli to ponad twe siły — na pomoc weź ręce moje.
Cóż, że je wicher potrzaska — w porze ciszy się zrosną
Tylko nie poddaj korony, tej nocy,
Śmiertelna siostrzo.*

„Siostra” cierpi. Podmiot liryczny słyszy jej jęki, skrzęty ożywionego ciała-drewna. Ofiaruje jej swoje ręce jako wsparcie, nie przejmując się tym, że i one zostaną połamane przez wiatr. Dodaje, że się zrosną, jak gałęzie (!), gdy wichura przeminie i nastanie cisza. W ostatnim wersie występuje zestawienie słów jeszcze bardziej podkreślające podobieństwo istnienia drzewa i życia człowieka – „[...] Śmiertelna siostrzo”. Sosna i ludzie podlegają tym samym prawom. Przemijanie i trudności związane z egzystencją dotyczą wszelkich istnień.

Warto zastanowić się nad wpływem roślin na samopoczucie człowieka. Chamovitz zauważył: „By przetrwać, rośliny muszą być świadome zmian zachodzących w ich otoczeniu. Muszą znać kierunek padania, napięcie i barwę światła. Nie ulega wątpliwości, że rośliny wykrywają widzialne (a także niewidzialne dla człowieka) fale elektromagnetyczne. [...] [N]iemniej jednak nie posiadły zdolno-

ści widzenia obrazami. Nie mają układu nerwowego, który przekładałby impulsy świetlne na obrazy. W zamian rośliny przekuwają te sygnały na wskazówki dotyczące ich własnego rozwoju”. Rośliny niewątpliwie zdają sobie sprawę z tego, że ktoś znajduje się w pobliżu, podchodzi do nich, zasłania światło. Wydaje się jednak, że dopóki ludzie nie będą mieli negatywnego wpływu na wzrost zielonych istnień (np. poprzez złamanie gałęzi, zdeptanie sadzonki), to obecność człowieka nie jest dla flory zbyt ważna. Chamovitz podkreśla, że: „[...] «świadoma roślina» nie widzi w nas pojedynczych osobników. Jesteśmy dla niej jednym z wielu zewnętrznych czynników, które zwiększają lub zmniejszają jej szanse na przetrwanie i sukces reprodukcyjny”.

Nie ma wątpliwości, że obecność roślin w życiu człowieka jest niezwykle potrzebna. Przebywanie na świeżym powietrzu, praca w ogrodzie sprawiają, że odczuwamy satysfakcję, zadowolenie, potrzebę zaopiekowania się innym istnieniem. Metropole bez flory wyglądają jak wyjęte z apokaliptycznej wizji świata. Są szare, jednolite, bezbarwne, wydają się przygnębiające, smutne. Rośliny zmieniają obraz miasta – ożywiają, ubarwiają je.

Tadeusz Kijonka w wierszu *Mój pokój* pisze:

*Niech słońce w oknie by zawisło
Rozsłało niebo ponad izbą
Że zeschłe kwiaty ścian zmurszałych
Zakwitłyby i zapachniały*

W utworze pojawia się kontrast pomiędzy wytworem człowieka, pokojem a roślinnością. Wydaje się jednak, że poeta nie miał na myśli ukazania wyidealizowanego, sielankowego obrazu natury, oddzielonej od „złego” miasta. Roślinność jest już jego częścią, znajduje się jednak w stanie rozkładu — „[...] zeschłe kwiaty ścian zmurszałych [...]”. Zabrakło czynnika, który by je ożywił, pomógł wzrosnąć – zabrakło słońca, będącego symbolem „[...] nowego początku, [...] odnowiciela, zmartwychwstania, uzdrowiciela; [...] prawdy, oświecenia [...]”. Odrodzona flora rozkwitałaby w murach, aby dodać opisywanej przestrzeni barw, nadziei. Pokój zespoliłby się z naturą, a niebo stałoby się jego częścią — „[...] Rozsłało niebo ponad izbą [...]”. Pomieszczenie otworzyłoby się na świat, co przyniosłoby człowiekowi możliwość rozwoju, „rozkwit”, „rozwiniecie skrzydeł”. Okno, które z jednej strony daje namiastkę uczestnictwa w wydarzeniach ze świata, a z drugiej – zamyka na nie, ale i ochrania przed nimi (przy jednoczesnej nieumożności doświadczenia pełni życia), nie stanowiłoby jedynej możliwości spoglądania na rzeczywistość. Człowiek nie byłby zamknięty jak „[s]płowiałe ptaki w klatkach okien [...]” (*Ptaki. Edziowi Szopie*). Autor *Czasu, miejsca i słowa* chce, aby jednostka nie oddzielała się od natury, aby zdała sobie sprawę z tego, że jest jej niezaprzeczalną częścią. Podmiot liryczny pozwala sobie wydać rozkaz: „Niech słońce w oknie by zawisło / Rozsłało niebo ponad izbą [...]”. Kwiaty, roślinność są zatem obecne, znajdują się na wyciągnięcie ręki, ale wydaje się, że to ludzie nie pozwalają na ich wzrost.

Nie można zapomnieć o zdrowiu fizycznym, które ma również wpływ na samopoczucie człowieka, na jego stan psychiczny. Marzena Suchocka, Agnieszka Gawłowska, Paulina Semeniuk pisały, że rośliny są niezwykle potrzebne w miastach ze względu na ich umiejętność oczyszczania powietrza. Roślinność powinna stanowić zatem dla człowieka niezaprzeczalną wartość. Często jednak tak nie jest. Nawet poeta, zazwyczaj wrażliwy na otaczający świat, dostrzegający cierpienie najmniejszych istnień, przeżywając trudne doświadczenie, nie zauważa dobroczynnych właściwości flory. W wierszu *Czarna wiosna* czytamy:

*Drzewa domowe tej wiosny okryły się czarnym kwieciem:
Korony grusz, śliw, jabłoni, wiśni, brzoskwiń, czereśni
Oprzędła czerni kwiatostanów. Sypią się płatki sadzy
Z drzew otrząsanych wiatrem. I z chmury rajskiej jabłoni
Zawieszanej nad naszą bramą. Mroczno w oczach od kwiatów
W gronach, kiściach i pękach co krzew zażyły przy domu
Tej wiosny czarnej, bo gdzie pozłocista forsycja
I bzy odurzające — białe, niebieski i lila.
Migdałki w różgach różyczek i gdzie złotokap w kaskadzie
Łusek słonecznych warkoczy, co teraz zwiesza się ciężko
Strzępami kiru. To wiosna, gdy czarne przebiśniegi
Przedarły się z ziemi zmrożonej w tym dniu, czarnym dniu,
Wiosna czarnych pierwiosnków, tulipanów, hiacenty, Narcyzów,
fiołków czarnych — i konwalii, konwalii...
Nie tamtych w radlińskiej rosie wonnych dzwonek dzieciństwa
U twojej głowy Mamo, po przebudzeniu — i róż,
Kwiatów twego imienia: co krzew — czarny tej wiosny.*

*A przecież gdybyś ten ogród chociaż tknęła spojrzeniem —
Pełnią barw by ożył.*

Rośliny nie zmieniły swoich właściwości fizycznych. Podmiot liryczny postrzega je jednak w odmienny sposób – różny od tego, w jaki odbierał świat wcześniej. Śmierć matki poety sprawiła, że rzeczywistość nie jest już piękna, ani przychylna człowiekowi. Co ważne, miejsce, które w oczach autora *Czasu zamarłego* zmieniło diametralnie swoje właściwości jest bliskie, przydomowe, przypomina o zmarłej – stanowi wspólną przestrzeń matki i syna: „Drzewa domowe [...] / nad naszą bramą [...] / co krzew zażyły przy domu [...] / ten ogród [...]”. Poeta ukazuje również konkretny czas odejścia najbliższej mu osoby. W utworze pojawiają się bowiem powtórzenia oraz zamki wskazujące, które podkreślają ważność tego okresu: „[...] tej wiosny okryły się czarnym kwieciem [...] / Tej wiosny czarnej [...] / To wiosna, gdy czarne przebiśniegi / Przedarły się z ziemi zmrożonej w tym dniu, czarnym dniu, / Wiosna czarnych pierwiosnków [...] / co krzew — czarny tej wiosny [...]”.

Przeżycie żałoby po śmierci bliskiej osoby jest trudne i długotrwałe, ale konieczne dla zachowania zdrowia psychicznego. Początkowo próba poradzenia sobie ze stratą wydaje się niemożliwa, a smutek jest tak obezwładniający, że utrudnia codziennie funkcjonowanie. Wszystkie emocje, towarzyszące osobie mówiącej, są „świeże” i bolesne. Doświadczenie śmierci rodzicielki jest tym bardziej trudne, gdyż wydarzyło się właśnie „[...] tej wiosny [...]”, przed momentem. Podmiot liryczny nie buntuje się, wypełniając go jednak żal, smutek, rezygnacja. Otacza go czerni. Więcej: wszystkie rośliny przybierają ten kolor, co zostaje podkreślone przez wyliczenia: „czarnym kwieciem”, „czerni kwiatostanów”, „płatki sadzy”, „mroczno w oczach od kwiatów”, „czarne przebiśniegi”, „czarny dzień”, „czarne pierwiosniki, tulipany, hiacenty, narcyzy”, „fiołki czarne”, „krzew czarny”.

Kwiaty, symbolizujące „[...] harmonię, [...] narodiny, [...] odrodzenie; łagodność, dobroć, subtelność, [...] duszę”, stały się czarne, martwe. Świat przestał być uporządkowany, a nadzieja na odrodzenie odeszła razem ze śmiercią najbliższej osoby. Rozpada się zapewnienie o życiu wiecznym, rajską jabłoni. To z jej korony, podobnie jak z innych roślin, opadają czarne płatki, jak po pożarze, który wdarł się w uporządkowane życie, aby po wszystkim pozostawić je spustoszone („Sypią się płatki sadzy / Z drzew otrząsanych wiatrem. I z chmury rajskiej jabłoni / Zawieszanej nad naszą bramą”).

W utworze pojawia się kontrast pomiędzy postrzeganiem przez poetę przydomowej okolicy przed i po śmierci matki. Wcześniej świat był kolorowy, piękny, zadziwiająco różnorodnością barw i form. Teraz został on otoczony

czernią, jak siecią pająka: „[...] Korony grusz, śliw, jabłoni, wiśni, brzoskwiń, czereśni / Oprzędła czerni kwiatostanów”. Pełne witalności rośliny zmarniały: „Migdałki w różgach różyczek i gdzie złotokap w kaskadzie / Łusek słonecznych warkoczy, co teraz zwiesza się ciężko / Strzępami kiru. Poeta podkreśla również trud pojawienia się na świecie przebiśniegów: „[...] Przedarły się z ziemi zmrożonej [...]”.

Przebiśniegi rosną tylko przez chwilę, na początku wiosny, potem przekwitają. Równie delikatne są dmuchawce, które pod wpływem najmniejszego podmuchu wiatru gubią swoje nasiona, jednak także dzięki temu zapewniają gatunkowi przetrwanie, odradzają się w formie nowych kwiatów. Adam Robiński pisał, że: „[d]muchawce są jak małe lotniska – każde nasionko ma swój puchowy latawiec, który niesiony wiatrem [...] potrafi przemierzać nawet kilometry. Czasem pomaga im w tym woda – mogą w niej spędzić wiele miesięcy, nim znajdą podatny grunt”. Tadeusz Kijonka w utworze *Pod wiatr* zestawiał życie człowieka z istnieniem tej rośliny. Podobieństwo, ale zarazem odmiennosć doświadczeń, którym podlegają ludzie i flora przedstawił poprzez zastosowanie oksymoronu – „[...] Nieulekły dmuchawiec”. Symbolizuje on jednostkę, która pomimo swej delikatności, kruchości i osamotnienia próbuje walczyć – mierzy się ze światem, przemijaniem, śmiercią, negatywnymi aspektami istnienia.

Należy przyrzeć się także pierwszej strofie utworu. Poeta posługuje się w niej metaforą ludzkiego życia jako żeglugi:

*Biały kołnierz, dwa żagle na swetrze wyłożyć
I pod prąd, pod wiatr,
sam — przeciw.*

Człowiek, „człowiek-łódź”, jest osamotniony w zmaganiach z losem, odkrywa jednak w sobie wystarczająco dużo siły, odwagi, determinacji, aby trwać, walczyć z przeciwnościami losu. Upływ czasu jest szybki, jednak podmiot liryczny zaklina rzeczywistość. Osoba mówiąca wypowiada się z perspektywy Stwórcy, rozkazuje: „[...] Niechaj burza piaskowa do dna / Klepsydrą przeleci”. Przekonuje, aby nie obawiać się przemijania, choć jednocześnie zdaje sobie sprawę z tego, że poddanie się działaniu praw natury jest nieuniknione: „A wszystko przeznaczone tak się naraz zwali, / Że kościec padnie z chrzęstem w skamieniałej lawie”. Poeta zauważa, że istnieje ratunek, którym jest niezłomne trwanie. Taka postawa ukazuje siłę i wolę przetrwania człowieka: „Tylko to — / to jedno może ocalić, / Żeś w wichurze trwał — / Nieulekły dmuchawiec”. W utworze został przedstawiony los pielgrzyma, który zмага się ze światem w samotności: „[...] I pod prąd, pod wiatr, / sam — przeciw”.

Na zakończenie warto ponownie odnieść się do *Sekretne go życia drzew* Petera Wohllebena. Autor zaznaczał, że podejście człowieka do zwierząt zaczyna się zmieniać. Ludzie traktują je z większą wrażliwością, ze zrozumieniem. W przypadku roślin wciąż jest jednak inaczej: „Gdy polana drewna wesoło trzaskają w piecu, płoną właśnie zwłoki buka czy dębu. Albo papier wielu książek — powstał z rozdrobnionych, specjalnie w tym celu ściętych (a więc zabitych) świerków i brzoź. Przesadzam? Nie sądzę. [...] Z drugiej strony nasuwa się pytanie, czy nasze postępowanie rzeczywiście jest naganne. W końcu też jesteśmy częścią natury, a nasze ciała zbudowane są w taki sposób, że możemy przeżyć tylko dzięki substancji organicznej z innych gatunków. Tę konieczność dzielimy ze wszystkimi zwierzętami. Pytanie brzmi tylko, czy nie czerpiemy ponad miarę z leśnego ekosystemu [...]”.

Fragment większej całości

Kochać to
wepchnąć
komuś
czasem
dyskretnie
do głębokiej kieszeni
odwieszonej
w przedśionku
kurtki
mandarynki
na drogę
i
nie wymagać
by smakowały pamięci

Grudzień 2017

Chciałem Panu tylko powiedzieć że

Williamowi Carlosowi Williamsowi

zjadłem
te śliwki
które były w
lodówce

i które
chciałaś pewnie
zachować
na śniadanie

Nie gniewaj się
tak mi smakowały
były takie słodkie
i zimne

William C. Williams *Chcę ci tylko powiedzieć że*
(w przekładzie Stanisława Barańczaka)

przeczytałem
ten wiersz
w którym Pan
zachachmęcił śliwki

te
które miały być
zostawione
na śniadanie

Wiedział Pan co robi
smakuje milionom
jest taki słodki
i ciepły

La Ravaudeuse

ogrzana żeliwnym piecykiem
skupiona szwaczko cerowaczko

reperujesz małemu żagle
na jedyną podróż życia

kiedyś je wypuści
z zaciśniętych piąstek

mokrych teraz od mórz
płytkiego talerza

w czapeczce jak bąk
że aż się chce nacisnąć

z nieruchomym stateczkiem
że aż się chce dmuchnąć

ze znudzonym kotem
że aż się chce szturchnąć

z plecionym pustym koszem
że aż się chce czegoś nazbierać

nie spokojnie nie trzeba
wtedy się nie musiało wiele dźiać



Théodule Ribot (1823–1891), La Ravaudeuse, Musée d'Orsay, Paryż

Spotkanie

Błażejowi Baronowi (1990–2017)
Nie ma takiego życia, które nie zmieniłoby się na skutek jakiegoś spotkania.
Ks. Roman Rogowski

Na kamiennym tarasie drewnianego zajazdu,
przy przecięciu ludzkich dróg,
pozwolić, by i moją przecięła czyjaś.
I tak spotkać człowieka walczącego, by tu zostać dłużej.

Patrzeć dyskretnie w łzawiące oczy, które chciałyby
doczekać spojrzenia własnych dzieci, dotrzeć do ślubu za rok,
w muszce i z pudełkiem tabletek w surducie,
resztką sił próbować przenieść ukochaną przez próg,
być gotowym, by samemu dać się przenieść przez ważniejsze progi.

To, jak znaleźć się nagle w snopie światła z nieba,
i zrozumieć, że życie może być chwilą pomiędzy
szkolnym piórnikiem, a zaręczynowym pierścieniem.

Mieć pewność, że Bóg w Nim przyszedł,
i zdmuchnął wszystkie inne sprawy.

Wysłuchani w siebie mówimy o wyciętym glejaku,
opadniętym policzku i braku czucia w palcach,
o radioterapii i straconych włosach,
ufni, że Bóg wciąż je liczy.
Tak liczymy na Tatę, by w tym był i leczył.

Dla przejeżdżającej nastolatki,
obserwującej nas przez ułamki sekund
z tylnego siedzenia seata,
wyglądamy jak kumple
podsumowujący bilans firmy,
planujący kolejne wakacje,
komentujący wczorajszy mecz.

Oto jak bardzo można nie wiedzieć.



Błażej był dobrym człowiekiem. Wierzył Bogu. Zmagał się z nowotworem. Zdążył się ożenić i przekazać w małżeńskiej miłości życie, któremu na imię Fryderyk. Zmarł w hospicjum w Żorach pośrodku wielu modlących się krewnych i przyjaciół. Spoczywa na cmentarzu w Żorach-Osinach. Jego największą pasją było czytanie książek, uwielbiał to robić. Nie było dnia, żeby nie siedział z nosem w książce. Polykał je. Najbardziej lubił te psychologiczne, biznesowe i duchowe. Jego drugą pasją był taniec, szczególnie tańce latynoamerykańskie: salsa, bachata, merengue... „To była nasza wspólna pasja. Poznaliśmy się właśnie na salsie. Zawsze mówiliśmy, że taniec nas połączył” – wspomina żona Karina. Wiersz powstał po spotkaniu na tarasie zajazdu „Markowa Chata” w Świerklanach, w gorącym już maju 2014 roku. Byliśmy pełni nadziei. Doczekał ślubu i syna Fryderyka.

Uście Solne

pamiętam prędkość roweru
wiatr w plecy słońce w twarz
ślimaki ciągnące swe domki
rześkość małopolskiej jesieni
owijającej mnie babim latem
jak pająk stygnącą muchę

wędrujące od Wisły fale chłodu
strużki dymu nad pastwiskami
wiewiórki gromadzące orzechy
brząz w bruzdach zaoranych pól
pomarańcze i sepie opasłych dyń
remizy w żółciach i rudościach

miałem nie słuchać tabliczek
wracać do domu i obowiązków
do skrzyżowań kodów wniosków
miałem przegapić opuszczoną
krajną magdeburskich praw
i... nigdy o niej nie opowiedzieć

nie wwierciłbym się w klejnot
ominął fortunę cichego piękna
pochylone jak maślaki domki
sine sienie rozsadzane pniami
wgrzyzające się w bale bodiaki
okna którymi wyglądali świat

rynieczone uściański ostoję pokory
nic ty się nie martw twą ciszą błogą
jeszcze nam będziesz solą świata
odpocznieniem dla umęczonych
bezpiecznym portem szpitalem
uzdrowieniem niezapomnianym

fot. Ks. Bartłomiej Kuźnik



Uście Solne to fenomen. Leży w okolicy ujścia Raby do Wisły. Powstał tu rynek, jakiego nie mają ani Bochnia, ani Brzesko, ani królewskie Niepołomice, plac wielkością równy krakowskiemu. Stawiano na nim drewniane ratusze, jatki mięsne, stragany piekarskie i szewskie. Ostatni ratusz spłonął w 1804 roku. Spora liczba studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego pochodziła właśnie stąd. Uście Solne pozostawało znaczącym ośrodkiem na wiślanym szlaku solnym do końca I Rzeczypospolitej. Upadek gospodarczy miasta rozpoczął się z początkiem XIX w. wraz z przeniesieniem składu solnego i budową portu rzeczynego przez Austriaków w sąsiednich Świniarach. Dawne dynamiczne miasto stało się cichutką wioską...

Prawdziwe źródło fascynacji

ks. HENRYK PYKA

Katedra Katowicka pw. Chrystusa Króla pozbawiona w latach stalinowskiego reżymu swej pierwotnej, zamierzonej w projekcie Zygmunta Gawlika proporcji w części chociaż odzyska przewidziany przez architekta splendor. Prace trwają na frontonie katedry, która podług oczekiwań jej fundatorów miała uzyskać swój bogaty wyraz artystyczny i symboliczny.

Pierwotnie formy rzeźbiarskie na frontonie katedry miał opracować Xawery Dunikowski (1875–1964), który ze strony ówczesnego biskupa Arkadiusza Lisieckiego cieszył się szczególną estymą. Dunikowski, profesor krakowskiej ASP, na zlecenie biskupa Lisieckiego wykonał w latach 1927–1929 projekty rzeźb przewidzianych na fronton katowickiej katedry. W roku 1932 za cenę 40 000 zł artysta odstąpił Komitetowi Budowy model fasady katedry złożony z wielu elementów. Grupa świętych Cyryla i Metodego z postaciami ludu i rycerzy po bokach, stać miała na szczycie tympanonu, koronującego belkowanie portyku kolumnowego fasady. Pozostałe elementy miały zająć odpowiednie miejsca na gzymsie belkowania. Dunikowski pokazał publiczności te projekty na wystawie w Pałacu Sztuki w Krakowie w r. 1931. Ze wszystkich tych rzeźb zachowały się w muzeum X. Dunikowskiego – warszawskiej „Królikarni” grupy postaci „Ludu Śląskiego” i „Rycerzy Śląskich”. W Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach zachowały się trzy projekty artysty związane z zamierzonymi realizacjami do katedry.

Program ideowy fasady w pierwotnej swej wersji uwzględnił ówczesne realia społeczne i polityczne, stąd dominantą plastyczną obok postaci Chrystusa Króla stanowili w mieście Grundmanna – niegdyś niemieckim, misjonarze i patroni słowiańszczyzny Cyryl i Metody.

Współczesna wersja formy rzeźbiarskiej frontonu katedry katowickiej została złożona w ręce tyskiego artysty rzeźbiarza Tomasza Wenklara, absolwenta krakowskiej ASP, którą ukończył w roku 2003 w pracowni prof. B. Salwińskiego. Artysta posiada kilka realizacji w przestrzeni publicznej na Górnym Śląsku i Zagłębiu. Podejmuje tematykę religijną. W tympanonie wieńczącym fronton katedry stanie grupa rzeźbiarska mieszcząca się w nurcie realizmu, obrazująca hołd Ludu Śląskiego dla Chrystusa Króla. Rzeźba Chrystusa o znacznych rozmiarach prawie sze-

ściu metrów ma być osią całej kompozycji. Grupa „Ludu śląskiego” flankowana przez postacie śląskich patronów, świętych Jadwigi i Jacka Odrowąża ma odzwierciedlać stuletnią tradycję wiary Kościoła Katowickiego. Wpisana jest podług plastycznego przekazu w życie grup społecznych i indywidualne doświadczenie każdego z mieszkańców śląskiej Ziemi.

Katedra Katowicka, architektonicznie okaleczona w latach po roku 1950 przez

Przed pięćdziesięciu laty, 7 marca 1953 roku Katowice zostały odcięte od swojej dotychczasowej historii. Tracąc swoją właściwą nazwę straciło twarz, a więc jakoś przestało istnieć. W roku 2003, w pięćdziesiątą rocznicę tego dramatycznego wydarzenia w katowickim BWA, Muzeum Archidiecezjalne otworzyło wystawę IX Biennale „Wobec Wartości”. Zbieżność otwarcia wystawy z tą rocznicą nie była zamierzona. Budziła jednak refleksję, bo idea wystawy zapisana w jej tytule: „Sol invictus” bardzo wyraźnie korespondowała z credo księdza Adamczyka, który z początkiem lat 60. umieścił na frontonie katedry ponad portykiem tekst będący jego osobistą dewizą:

SOLI DEO HONOR ET GLORIA.

Wyraża ona przekonanie stojące w opozycji do wszystkich tych uzurpacji, kiedy to człowiek wpływając na bieg historii i nie licząc się ze skutkami własnej pychy, próbował zająć miejsce Boga, by odbierać cześć Jemu należną.

Ksiądz Rudolf Adamczyk, więzień sumienia w latach stalinowskich, dokonując tego zapisu na frontonie katedry osadził go w tradycji Kościoła. W doświadczenie pokolenia, do którego należał, zostały wpisane tragiczne skutki uzurpacji dwu kolejnych „kultur jednostki”. Jako chrześcijanin wierzył jednak w zwycięstwo Dobra. To Dobre musiało być źródłem jego kapłańskiej fascynacji. Szukał więc dla swojego czasu analogii w dramatycznych epizodach historii chrześcijaństwa i znalazł ją w wydarzeniach, jakie dokonały się za rządów cesarza Juliana Apostaty (331–363). W katedrze, ponad kaplicą patronów śląska, polecił artyście przedstawić znany także z lektury *Nieboskiej Komედii*

Zygmunta Krasieńskiego moment, kiedy to pokonany odstępca woła oszpecony blaskiem Chrystusa: *Galileae vicisti.*

Julian, bratanek Konstantyna Wielkiego, przyjęty przez chrzest na łono Kościoła Katolickiego, w wieku młodzieńczym zwrócił się ku obumierającej antycznej tradycji. Jako cesarzowi przysługiwał mu tytuł boski. Daleko bardziej jednak zabiegał o chwałę bogów Rzymu, którzy – jak wierzył – stali swoją wszechmocą u początków potęgi Wiecznego Miasta. Był tragicznym romantykiem, człowiekiem emocjonalnie skierowanym ku przeszłości i tę przeszłość wraz z jej złudzeniami starał się narzucić swojemu otoczeniu. Przeszłość ta okazała się dla niego tragiczna, bo zasłoniła mu to, co miało nadejść. Wierzył w zwycięską siłę „jednoczącej idei”, która pochłonęła wie-



Katedra Katowicka pw. Chrystusa Króla, pierwotny projekt. Fot. arch.

urzędników wrogiej Kościołowi ideologii swoją utrwaloną przez remonty bryłą jest świadkiem czasów pogardy w sferze kultury. Wymownym świadkiem jest wypisane złotymi zgłoskami wyznanie umieszczone na frontonie tego budynku. Jego autorem jest ksiądz Rudolf Adamczyk budowniczy Katedry Katowickiej. Tekst dzięki renowacji uzyskał ponownie mocny blask emanujący ze świeżo położonej mozaiki. Nic ponad Boga. Taki jest sens wyznania umieszczonego ponad portykiem katedry przez księdza Adamczyka doświadczonego podobnie jak Katedra represjami sowieckiego totalitaryzmu. Niewątpliwie program przedstawić, który ma zdobić portyk katedry zespolony wokół postaci Chrystusa Króla to przesłanie wzbogaca.

le ofiar; sama w końcu okazała się bezsilnym idolem. Temu idolowi wspierającemu się na iluzji; zbrodniczym ideom totalitarnym, przeciwstawił ksiądz Adamczyk wschodzące nad ponurą rzeczywistością Zwycięskie Słońce Sprawiedliwości, Słońce Prawdziwe. Atmosferę czasów przełomu zawsze charakteryzował niepokój intelektualny często podszyty lękiem, synkretyczne myślenie, zmagania apologetów. Granica między tym, co własne, a tym, co obce, często była niewyraźna.

Chrześcijanie pierwszych wieków mimo że za cenę ofiary z życia bronili własnych przekonań, nie tworzyli aż tak zamkniętych społeczności by to, co związane było z dotychczasową tradycją, nie wpływało na formę przekazu wartości chrześcijańskich. Odkryta w Watykanie przez archeologów mozaika z III wieku przedstawiająca Chrystusa na rydwanie jako niezwykłego Boga Słońce (*Sol invictus*) miała u podstaw antyczną ikonografię, choć wyrażała dogmatycznie zupełnie inne przekonania. Także Julian Apostata, kiedy nakazywał swoim kapłanom ogłoszenie kazań i narzucał organizację życia religijnego przy świątyni na wzór gmin chrześcijańskich, prznosił wzorce obce. Nieznany z imienia pisarz łaciński ok. 300 roku nazywa Chrystusa *Słońcem Niezwykłym*. Jeszcze w pierwszej ćwierci V wieku rówieśnik Augustyna, biskupa Hippony, święty Paulin z Noli, stosuje do Chrystusa tytuł *Prawdziwego Apollina*. Ostatecznie miała dojść do głosu nowa nadzieja i nowy porządek, które w ówczesnej synkretycznej, przeciętnej świadomości nie były dość wyraźne. Świadomość tę reprezentowali ludzie prowincji, nazywani przez chrześcijan „paganes”. A prowincja była tam, gdzie mijano się z nową rzeczywistością, która nieuchronnie miała nadejść, mimo emocjonalnego sprzeciwu i lęków starego świata.

Ale Kościół też się lękał. Lękał się wszelkiej dwuznaczności w doktrynie, w obyczajach. I były to obawy uzasadnione, skoro „stary świat” miał pokazać jeszcze swój „łwi pazur”.

Żył już w tamtym czasie człowiek, który w swoją rodową tradycję miał wpisane najlepsze nazwisko. Pochodził z rzymskiego rodu Aureliuszów. Znany jest jako Ambroży, syn prefekta Galii, urodzony w Trewirze, konsul w Mediolanie, wybrany na biskupa tego miasta jako neofita – katechumen. Ambroży jest przeciwnikiem cesarza Juliana nie tylko dlatego, że umiał oderwać się od dawnych kultów. Nazwany został z czasem *Kolumną Kościoła*. Był prawnikiem, zaś jego działalność charakteryzowała się wolnością od sentymentów, racjonalną oceną rzeczywistości. W kazaniach na temat sześciu dni stworzenia (Heksameron IV) pisze: *Nie uważaj słońca za boga... nie powierzaj się tak wielkiemu [jego] blaskowi... choć jest ono okiem świata, powabem dnia, wspaniałością nieba, pięknem natury, klejnotem stworzenia. Gdy je widzisz zastanów się nad jego Stwórcą.*

Ilekróć je podziwiasz najpierw chwal Tego, który je stworzył. Jeśli słońce jest tak miłe... jak dobre jest owo Słońce Sprawiedliwości. Dla Ambrożego jako biskupa fundament myślenia jest Biblia i tradycja wiary młodego Kościoła. Te dwie sfery wzajemnie się przenikają, stanowią przestrzeń historycznych wydarzeń, w których objawia się zbawca obecność Boga. Nie miał czasu, by dorosnąć przed chrztem do orędzia Biblii. Dorastał jednak w praktyce nauczycielskiej, głębią rozumienia Ksiąg przemieniając swoich słuchaczy do których należał i św. Augustyn. Na fundamencie Biblii kształtowało się nauczanie biskupa Mediolanu. Płynącym z modlitwy Ambrożego, a zatem wewnętrznym echem tego nauczania są jego hymny. W historycznym kontekście sporów chrystologicznych, a także zaciemniających obraz Chrystusa synkretycznych wierzeń, trzeba wyróżnić ten hymn który wyrażał sens tytułu IX Biennale. Jawi się w nim Chrystus jako *Światłość ze Światłości. Splendor Patris – Słońce Prawdziwe – Sol verus*. W eschatologicznej perspektywie: *Słońce Niezwykłe – Sol invictus*. W takie Słońce obleczone jest Niewiasta Apokaliptyczna, jako obraz ocalonego Kościoła (*amicta sole*), Ap. 12,1. wyzwolonego z mroków pogańskiego życia.

W hymnie przypisywanym świętemu Ambrożemu, stosowanym w modlitwie liturgicznej Kościoła (laudesy, feria secunda) pojawia się Chrystus jako Słońce:

*Splendor paternae gloriae
De luce lucem proferens,
Lux lucis et fons luminis,
Diem dies illuminans:
Verusque sol...*

Jakie jest to słońce? Zgodnie z tradycją patrystyczną jest to podług Księgi Malachiasza (Ml. 3,20) *Słońce Sprawiedliwości (Sol iustitiae), Słońce Zbawienia (Sol Salutis)*, jak pisze o tym Słońcu już w II wieku św. Justyn odwołując się do tekstów mesjanistycznych Biblii.

Głębokie westchnienie świętego Ambrożego, przywołującego w swej chrześcijańskiej świadomości Słońce Prawdziwe, jest odbiciem się od pozornych źródeł światła. Wszystkich religijnych, cesarskich reform Aureliana, a potem Juliana, spekulacji pogańskich teologów usiłujących zespolić mnogość bogów i kultów w misteriach perskiego bóstwa Mitry. Helios – *Sol invictus*, stanowiąc rdzeń teologii zarówno Aureliana, jak i Juliana mógłby być zaledwie symbolem, prefiguracją tego, do czego tęskni pogrążony w mroku człowiek. Tą rzeczywistością według Ambrożego jest Chrystus, który *wschodzi jak wschodzące słońce*, by zająśnić tym co żyją w mroku i cieniu śmierci (por. Łk.1,78–79). Jego nadejście ma charakter nie misteryjny, lecz historyczny, podobnie jak historyczny charakter ma cała Biblia jako Historia Zbawienia. Całe życie Chrystusa, począwszy od Narodzin

poprzez Chrzt, Przemienienie, Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie jawi się w świetle pism Ojców Kościoła i innych pisarzy chrześcijańskich jako wielkie misterium Światła. Od najwcześniejszych konfrontacji chrześcijaństwa z antykiem, to światło poprzez mijające wieki przenikało sztukę europejską. Także mimo upływu czasu pojawiły się ponownie w świadomości europejskiej te dwa konkurujące ze sobą w późnym antyku „żywioly”: Mitologia i Biblia jako wielkie tematy godne wielkich talentów artystycznych. Pojawił się w sztuce baroku Mit jako funkcjonujący poza historią przedmiot ludzkich nadziei (*Eliade*) i Wydarzenie Biblijne, w którym poprzez wiarę spełnia się ludzka nadzieja. Pojawił się też w tym czasie jakby reminiscencja kończącego się renesansu zapatrzonego w antyk, typ monstrencji a z nią monogram Chrystusa: Słowo Boże obleczone w Słońce.

Odwołanie się IX Biennale „Wobec Wartości” do chrześcijańskiej wykładni rozumienia światła, stanowiło rodzaj konfrontacji z dwiema poprzednimi edycjami tej imprezy. Zaś obecność na IX Biennale artysty, wywodzącego się z tradycji religijnych Wschodu (*Koji Kamoji*), poszukującego w swym *Sredniowieczu* wspólnej wrażliwości właściwej duchowości Zachodu i Wschodu może świadczyć, że to Światło skoro jest Prawdziwe może także fascynować europejczyka. Zarówno *Poliptyk*, jak i przywołane *Oblicza śmierci* były śmiałym spojrzeniem w trudne i bolesne ludzkie sprawy. Tej „vivisekcji” towarzyszył Kościół w osobie biskupa obecnego na otwarciu ostatnich dwu wystaw biennialowskich poprzedzających IX Biennale. Odliczanie czasu, którego z uporem podejmował się w swojej twórczości Roman Opałka (*Poliptyk*), wydaje się zabiegiem równie dramatycznym, jak dramatycznie niepokojąca wydaje się *Umarła klasa* Tadeusza Kantora (*Oblicza Śmierci*). Czy istnieją jeszcze artyści dla których centralne wydarzenie „naszej ery” Jezus Chrystus, a wraz z nim cały społeczny program Ewangelii i wszystkie związane z nim ludzkie nadzieje stałyby się Wielkim Tematem? Jakie oblicze ma współczesna sztuka chrześcijańska i jak się ma ona do sztuki europejskiej? Jakie są polskie realia?

Przypomnienie podczas pokazu IX Biennale dramatycznej rocznicy ogłoszenia Katowic Stalinogrodem było przywołaniem wydarzenia historycznego. To była określona realność jak wszystko inne od czego „odbija” się artysta.

W tym samym kontekście spoglądam dzisiaj na wzbogacony nowymi treściami program frontonu Katedry Katowickiej. W tle świetlistych treści artystycznego przekazu znajduje się ów dramatyczny kontekst „ciemnych wieków”, spoza którego w historii ludzkich dziejów wyłania się Nadzieja na szczęśliwy Finał, który także poprzez sztukę może być źródłem prawdziwej fascynacji.

Spotkania z księdzem Konradem Szwedą

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Słowa docierają do ludzi w bezpośredniej rozmowie, przez prasę, Internet, radio, telewizję, często też do nich wracają, gdy w otwartej właśnie książce usłyszymy żywy głos człowieka, którego już nie ma. Tak, gdy otwierałam po raz kolejny *Judasza z Monte Sicuro* Gustawa Morcinka, powróciły do mnie słowa ks. Konrada Szwedę (1912–1988), ich donośny ton, czasem przechodzący w szloch, a w jego książkach często dźwięczące szlachetnym patosem. Był więźniem Auschwitz (1940–1942) później Dachau (1942–1945), świadkiem heroicznego czynu świętego Maksymiliana Kolbego, spowiadał idących na śmierć myśłowickich harcerzy Stefana i Mariana Kuderów, pełnił w obu lagrach zakazane posługi duszpasterskie. Był też świadkiem tego, jak zło przemieniało się w dobro i z tej potrzeby, dania świadectwa o tamtych czasach i ludziach, wyrosła pierwsza książka Konrada Szwedę *Kwiaty na Golgotcie*. To wszystko wystarczyło, bym się zainteresowała jego postacią. Jednak do braci Kuderów przyjdzie nam pod koniec tych rozważań jeszcze powrócić.

Najpewniej wszystko zaczęło się od „Gościa Niedzielnego” z którym, zaproszona przez ks. Stanisława Tkoczka, współpracę podjęłam w roku 1981, gdzie być może czytaliśmy nawzajem swe artykuły. Potwierdza takie przypuszczenie druga książka ks. Szwedę *Ponieśli swój krzyż* (znakomity i adekwatny tytuł wymyśliła dr Barbara Pytlos) zbierająca świadectwa zadziwiającego heroizmu dzieci i młodzież w rzeczywistości lagrowej, a także tych, którzy owym dzieciom i młodzieży pomagali. Autor wyznawał: „Zbierałem je w chwilach wolnych od obowiązków katechetycznych i duszpasterskich, tak jak dyktowało serce” – to wyznanie określiło formułę książki. Ilość świadectw zebranych przez kapłana dobrze świadczy o jego rzetelności i pasji badacza. Widać też jego szerokie spektrum zainteresowań czytelniczych,

gdyż wskazał, wydaje się, całą najważniejszą literaturę przedmiotu z czasów jemu współczesnych.

I właśnie dzięki tej pozycji doszło do niezwykłego spotkania. Musiało to być w połowie lat osiemdziesiątych, bo syn

a *bestialstwem*, potwierdzając opinię teologa i uczonego, że w sytuacji ekstremalnej większość ludzi jednak staje po stronie dobra.

Mówiąc o tej odmowie ks. Szwedę płakał, a ja patrzyłam na niego ze ściśniętym gardłem. Tak się zachowali więźniowie obozów koncentracyjnych, gdy byli bezradni wobec niedobrych emocji, gdy ich raniono: gniew niepojętym zmaganiem z nimi z rozpaczą. Wiedziałam o tym nie tylko z „oświęcimskich numerów” „Przeglądu lekarskiego” i opracowań profesora Antoniego Kępińskiego, ale z najbardziej osobistego życia – mój, nieżyjący już wówczas ojciec, Karol Heski był także więźniem Auschwitz, Gross-Rosen i Sachsenhausen-Oranienburg.

Moje pismo było więc kategoryczne i jednoznaczne. Ks. Szwedę był szczęśliwy, powiedział mi wtedy wiele dobrych słów i rozpromieniony pobłogosławił nasz dom i wyszedł. Za parę dni otrzymałam telefon ze wspomnianego wydawnictwa, pełen pretensji, jak mogłam takie słowa napisać! „Teraz ks. Szwedę nie daje im spokoju!”. A przecież kapłan był osobą jak najbardziej wiarygodną, wszak był świadkiem w procesach beatyfikacyjnych o Maksymiliana Kolbego, bpa Michała Kozala, z którym razem był w Dachau, oraz ks. Stefana Frelichowskiego. Ceniło jego współpracę Państwowe Muzeum w Oświęcimiu. Jed-



nak książki ostatecznie nie wydało katowickie wydawnictwo, tylko poznańskie Pallotinum, w rok po śmierci autora. W kilku miejscach ks. Szwedę przywołał moje publikacje w „Tygodniku Powszechnym” i „Gościu Niedzielnym”, i popularyzowaną przeze mnie książkę Józefa Kreta *Harcerze wierni do ostatka*, wydaną przez katowickie Wydawnictwo „Śląsk” z moim posłowiem. Cytował też opracowanie *Śląsk chciał być polski. Wspomnienia młodzieży śląskiej z lat okupacji hitlerowskiej 1939–1945*, przygotowane przez doc. dr Mieczysła-

WILHELM SZEWCZYK

Pamiętnik (4)

Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*

Środa, 22 lipca [1936].

Pokochałem Szewczenkę^[1]. Dzięki Bogu znam ukraiński na tyle, że mogę go mniej więcej zrozumieć.

Przełożyłem dziś wiersz, który mógłby być wykładnikiem mojego usposobienia w jesieni. A dziś nastał właśnie taki jesienny dzień, więc od razu skonfrontowałem swoje usposobienie z niektórymi frazesami z poniższego wiersza^[2]:

*Mijają dni, mijają noce
i mija lato; żółkły liść
szeleszcze^[3] gdzieś; i gasną oczy,
zasnęły myśli, serce śpi.
Wszystko zasnęło i nie wiem, nie,
czym żyw, czy kończę dolę swą,
bo wszędzie wciąż walęsam się,
nie wiem, co śmiechem, a co łzą.*

*Dolo, gdzieś ty? Dolo gdzieś ty?...
Cóż jest dolą mą?
– Nie chcesz dobrej dać, o Boże,
daj mi złą, daj złą...*

*Nie daj, abym poszedł spać
z sercem, co zamiera,
nie daj mi gnijącą kłodą
miejsca gdzieś zabierać.
A daj żyć, daj sercu żyć,
abym życie chwalił.
Jeśli nie, niech bym przeklinał
i świat ten podpalił.*

*Strasznie popaść jest w niewolę
i umrzeć w kajdanach,
ale stokroć gorzej – usnąć,
spać na wolnych łanach.
Zasnąć tak na wszystkie wieki,
niczego po sobie
nie zostawić; wszak to jedno
czyś żyw, czyś już w grobie.*

*Dolo, gdzieś ty? Dolo gdzieś ty?...
Cóż jest dolą mą?
– Nie chcesz dobrej dać, o Boże,
daj mi złą, daj złą...*

Tak, cóż jest moją dolą? Ani ona dobra, ani zła. Życie bierze mnie tylko na wyrwyki. Los ciągnie się przez moje życie jak potargana taśma jakiegoś strasznie ciekawego filmu. Cóż jest dolą mą?

Czwartek, 23 lipca.

Coraz lepiej, coraz weselej. Och, ta Stefcia!

Fojcik był u nich wczoraj z fotografiami niedzielnymi. I zaraz Stefa zapytała się:

– A gdzie Szewczyk?

Powiedziałem mu, że jestem zajęty. Tak też jej odpowiedział na to pytanie.

A potem w trakcie rozmowy, ta dzika, swawolna Stefa, powiedziała cichutko:

– Zdaje się, że się w nim zabujała. Bronię się przed tym, ale nie idzie.

Cudownie, coraz cudowniej! A więc ona, która nie znosi żadnych form krępujących swobodę, sama sobie obrała to jarmzo, ten stek konwenansów, jakim jest miłość. Ona – Stefa.

Ale jest i wściekła na mnie. A to z powodu mojego ostatniego listu pełnego docinków.

Przewidziałem to. I powiedziała, że jestem kłamca. Napisałem bowiem w wierszu, że „jam szedł samotny”, a tymczasem ona była obok mnie i ścisła mi rękę. Jaka skrupulatna panienka. I władcza. Ale mnie tak łatwo nie zdobędzie. Ja wiem, że to wszystko dyktuje jej ta wybujała ambicja kobieca, która każe zdobywać tych wszystkich, którzy stawiają poza sobą najwięcej przeszkód.

W każdym razie, nie chcąc profanować jej świętych uczuć, napisałem jej do pamiętnika, który przywiózł Fojcik, następujący wiersz:

*Może nawet kocham (nie wiem, czy to pewne),
może w sercach naszych czar lotosem skwitł^[4],
może słowa dzikie, namiętne, ulewne,
wyśnią arcypiękny o miłości mit.*

*Wszystko jest możliwe, wszak jesteśmy młodzi,
i myśl jest najczystsza z wszystkich włoskich nieb,
a wśród marzeń dzikiej, szalonej powodzi,
najśpiewniej nam szumi ukraiński step.*

Dziwna, dziwna panienka. A to najciekawsze, że starsza ode mnie o przeszło rok.

Piątek, 24 lipca.

I znów długo towarzyszyłem Riji. W Leszczynach spacerowaliśmy trochę. A potem zaprawiono nas do roboty. Podawaliśmy snopy żrałego, sypiącego się na twarz zboża długim drabiniastym wozom. Słońce grzało mocno. Pociłem się strasznie, a w dodatku naleciało mi za koszule pełno śmiecia. Ostatecznie było to wszystko niejako koniecznym interludium naszych dyskusyj.

A mówiliśmy dużo, nawet za dużo. Tylko najgorsze to, że rozmowa nasza była nieciekawa, jakby dopełnieniem jakiejś formalności.

A dlaczego?

Ujęła to Rija:

– W szkole nazywają mnie koleżanki mrukiem.

– No, ja też częściej milczę niż gadam.

– Więc w takim razie jesteśmy oboje mruki – zdefiniowała prędko i trafnie nasze usposobienia + dyskusje.

Miałem z nimi koniecznie jechać w niedzielę. Ale ostatecznie pojedę do nich w poniedziałek rowerem. Sądzę, że trochę „okraszę” w ten sposób szarżyznę mojego codziennego życia. Zresztą Rija ofiaruje się jako cziczerone^[5] w zwiedzaniu tamtejszych okolic, więc sądzą, że to będzie nawet interesujące.

A Stefa napisała mi list. A więc jest zabujana. I to we mnie. Lepiej, żeby się jak najprędzej „odbujała”.

Sobota, 25 lipca.

Pojechałem rowerem na spotkanie słońcu, pojechałem naprzeciw radości.

A jechałem nieprzepisową stroną (jakie to prozaiczne). Ręce ułożyłem na kierownicy i wpatrując się z filozoficznym spokojem w obroty koła, naciskałem z jeszcze większym „bujando” pedały. – Nagle, w pewnym momencie (jakże słodko marzyłem! Och! Ach!), ktoś ryknął przede mną. Instynktownie szarpnąłem kierownicę w bok, przez co udało się uniknąć zderzenia. Skoro mignąłem koło tamtego; wiatr przyniósł mi „słodki” epitet:

– Pieroński dziadzie!

Bynajmniej się nie obraziłem. Tamten miał zupełną rację. Bo przecież marzycieli nie trzeba na takiej maszynie, jaką jest rower.

Niedziela, 26 lipca.

Czasem dni bywają przeładowane od wrażeń. Bywają rzeczywistość tak spędzone, że odczuwa się pewne zadowolenie.

Przed wszystkim zaczął mnie prześladować humor. Byłem z Władkiem na przechadzce. Spotkaliśmy pewną pannę. Rozmowa zesłała na temat wierszy pamiętnikowych.

Twierdziłem:

– Do pamiętnika powinien wpisać każdy swoją oryginalną myśl. Wtedy ma to jakąś wartość, specyficzną wprawdzie...

Ona: Ja znowu uważam, że lepiej jest zacytować jakiegoś poetę. Na przykład czytałem poezje sławnego Sienkiewicza.

– Może Henryka? – pytam.

– Tak.

– Zatkąło mnie. Henryk i poezje.

– A ktoś to był ten poeta – ryzykuję pytanie.

– No, ten, co dostał Nobla.

– Ryknąłem ze śmiechu. Władek zaczął mi godnie sekundować. Panią (Borkietówna) obraziła się, ale nam przynajmniej pozostał humor^[6].

No, jak humor, to humor.

Zacząłem z Władkiem filozofować.

On: Łubin jest lipiną. Ale lipina nie jest łubinem.

Ja: Łubin jest tym samym co lipina.

On: Więc w takim razie miałem rację...

Itd. W tym sensie.

A potem byliśmy w lesie. Cisza była jakaś osobliwa. Gdzieś w śródguśzczu wiatr łamał gałązki. Górą była spokojna niebieskość i cisza.

Nagle na drogę wysunęła się sarenka. Bezszelestnie przeskoczyła przez kałużę wody i stanęła na środku drogi. Łeb udźwięła^[7] wysoko i wpatrywała się w nas. Ja stanąłem jak wryty i kurczowo się trzymałem Władkowego ramienia. Widok był tak wspaniały i majestatyczny, że po chwili, gdy sarenka weszła się w gąszcz, miałem nadal wrażenie jej obecności.

No i naturalnie spotkałem Stefę. Szła z kawalerem z odpustu. Skoro mnie ujrzała, mocno się zmieszala. Ale wyglądała z tym powabnie. Ja ukloniłem się trochę niedbale, chcąc tym dać znać, że mi na niej nic nie zależy. Nic? Właściwie, to...

Poniedziałek, 27 lipca.

I pomyśleć, że jestem w Świerklańcu. Że co pomyślałem, to zrobiłem.

Na głowę nasadziłem beret, ubrałem się w krótkie spodenki i wsiałem na rower. A jechało się nienajgorzej^[8].

Pierwsze wrażenie – nieśmiałość pewna.

A teraz rozgościłem się w istnej bombonierce. Mansarda jest to wprawdzie, ale w każdym razie pokój paniński. Naokoło białe, różowe i niebiesko.

Trochę jestem zmęczony, ale to nic.

Wtorek, 28 lipca.^[9]

Wszystko dobrze. Czuję się nieźle. Powietrze tutaj znakomite.

Wieś trochę dziwna. Rozplanowana chaotycznie, dużo Niemców, ale drogi dobre.

Dzisiaj wybuchł tutaj pożar. Spalił się cały dach. I to krótko po południu. Na ogół mam amfibię^[10]. Jednakowoż można pogadać z Riją. Poznałem ją już dobrze. Typ bardzo popularny wśród panienek.

Środa, 29 lipca.

Życie?

Nie. Nie trzeba. Po co? To takie głupie – całe życie.

Rija – – –

Prosta dziewczyna. Można jej wszystko wybaczyć i wszystko zrozumieć. Dobra dziewczyna. I pomyśleć, że ona mogła powiedzieć coś podobnego, iż wyższe wykształcenie jest dziewczynie potrzebne do zrobienia małżeńskiej kariery.

Nie znam jeszcze całej ohydy tego świata i dlatego nie może mnie zrozumieć. Uważa na pewno moje słowa jako niepotrzebne błyskotki. Nie wie, że śmierć to jest rzecz najcudniejsza z wszystkich rzeczy. Zresztą i po cóż to ma wiedzieć? Jest na to za młoda. Lepiej oszczędzić jej tych marnych słów, które rozbijają radość życiową jak kulę szklaną.

Ludzie nie mogą być przyjaciółmi. Przed chwilą odwiedził mnie kot. Wskoczył na łóżko i ułożył się obok mnie. Oblizywał mi rękę miękkim malutkim języczkiem. I to jest właśnie przywiązanie. – A teraz właśnie, w chwili, gdy to piszę, wskoczył na zeszyt i uchwycił mi ołówek w łapę. Nie pozwala mi pisać. Kot ma instynkt. On wie, że to jest niepotrzebne, gdyż i tak nie doprowadzi w ten sposób do zrozumienia mnie przez ludzi^[11].

Byłem w Tarn.[owskich] Górach. Miasto całkiem podobne do Cieszyna. Na rynku znajdują się również charakterystyczne podziemia. Nawet cmentarz jest rozplanowany całkiem podobnie, jak Cieszyn. Ładne miasteczko.

Rija jechała ze mną. W drodze okazało się, że ona nie rozumie powołania kobiety.

Mówiła tak:

– Wyjście za mąż jest niekonieczne. Inaczej niepotrzebne byłyby klaszatory.

– Nie trzeba ich rzeczywistości. Krępuje one jedynie wolę kobietą – odpowiedziałem.

A jednak nie mogła tego pojąć, czy i jak to jest w ogóle możliwe.

[W każdym razie ma ładne oczy i uśmiech. Można się tym nasycić o całe lata naprzód. Tak rzadko się ktoś do mnie uśmiecha, tak rzadko czyjeś oczy podają mi naręczę radości. Dopiero u niej to spotkanie. I dlatego jestem może cośkolwiek szczęśliwy.]^[12]

W pokoiku jest radośnie i jasno. Kot spaceruje po stole. Świeczka miga anemicznie, na dworze zbiera się na burzę. I jestem **abstrakcją** tego świata. Jestem poza sobą zamiast we mnie. Tkwiąc moją świadomością gdzieś, co by można nazwać pustką.

Wylało mi się w sercu trochę słodyczy. Ale zaraz przyszło żalność. Zaraz chwycił mnie w szpony ból, a potem strach i dlatego stałem się abstrakcją.

*I nie wiem, czy żyję, czy martwe mam ciało,
bo dusza się brata z milionem gwiazd.
Radości i szczęścia zaznałem tak mało
i wciąż mi zachciewa się dzikich jazd.*

*Cwałuję wśród pustek, wyprzedzam istnienie,
Szalęńczy i dziki jest myśli cwał,
a jednak żarliwe, smutnawe wspomnienie
wśród myśli mi stawia graniczny wał.*

*Oddziela mi smutek, oddziela mi radość,
dwóch ludzi podstawia się we mnie*

więc niech memu życiu już stanie się zadość,
umierać – to tak jest przyjemnie.

*A jednak mi serce obwieszcza: nie trzeba,
wszak kiedyś nastąpi ten moment,
iż będę odmawiać ziemskiego mi chleba,
iż przyjdzie śmierć – dobry* omen.*

Czwartek, 30 lipca.

Wsie są tu ciekawie rozplanowane. Jak małe miasteczka. I dużo kamienia i pasku. Drogi na ogół dobre.

Po całym dniu jestem w towarzystwie Riji. Trudno z nią rozmawiać, gdyż ma całkiem inne usposobienie od równych sobie wiekiem dziewcząt. A jednak jestem uparty. Staram się ją w wielu kwestiach przekonać.

Nie nudzę się mimo bezczynności. Naokoło wzrok spotyka same nowości, myśl rozwija się w innych warunkach spokojnie. Powietrze zupełnie mi odpowiada.

W pokoju jest radio detektorowe. Słucham trochę przed udaniem się na spoczynek. Czytam również trochę powieści.

Wstaję o piątej. Do ósmej „pracuję”. Potem śniadanie i cały dzień „wałęsando” – kolacja i o dziewiątej jestem na górze, w pokoiku Riji, gdzie rozpoczynam wieczorny porządek dnia.

Piątek, 31 lipca.

Pokazałem Riji pamiętnik. Czy mnie zrozumiała. Nie wiem.

Trudno mnie jest zrozumieć. Można moje słowa wziąć albo jako elukubrację niedowarzonego umysłu, albo za coś „en porage”^[13]. Zresztą, któż dziś rozumie drugiego człowieka. Trzeba się naprawdę starać, aby nauczyć się tej trudnej sztuki.

Siedzę w cieniście pokoju. Radio gra nachalnie jakieś murzyńskie kawałki. Rija siedzi na sofie. Przepastna głębia Jej oczu jest zagadkowa. Wygląda na zadumaną.

A teraz właśnie ciocia przyniosła podwieczorek i mówi:

– Jedzcie.

Chociaż jedzenie jest największą głupota ludzka.

Ciekawie brzmi u Riji takie powiedzenie:

– Jesteś drań.

Obdarza mnie tym komplementem dość często. Podoba mi się to.

A może w całej tej „kwestii” zwodzi mnie tylko fatamorgana?

Dnie zadeszczone. Trzeba siedzieć w pokoju i słuchać radia, ewentualnie prowadzić rozmowę. Ale mi to w każdym razie odpowiada.

Może w poniedziałek pojedę do domu. Jest mi tu dobrze, ale wszystko ma swój kres. Trzeba będzie znów powrócić do mojej szarej pracy.

– Jesteś dziwny – mówi Rija.

– Tak – przyznaję.

A potem stara się wyczytać mi z ócz prawdę. Ale nie może. Moje oczy są zmęczone, a prawda jest zawsze nowa, zawsze świeża.

– Czemu zawsze smutnie piszesz? – pyta mnie się kiedy indziej.

– Przeczucie, instynkt to sprawa – odpowiadam.

I tak dalej. Tak wyglądają nasze rozmowy.

Rzadko zdarza się żyć w atmosferze ludzi dobrych. A tu tak jest. Ciocia, wujek, Rija – wszyscy są dobrzy. I w tym tkwi znowu radość życia. Radość życia!!!

Za chwilę pokocham jakieś Piękno, a kiedyś zabujam się w Miłości. I to jest poganizm^[14] czystej klasy.

Sobota, 1 sierpnia.

Za oknem pluska deszcz. Właśnie wstałem z łóżka.

Za oknem pluska deszcz. Po ulicach ktoś posuwa ciężkie kroki.

Deszcz szmerze głupio i wyjątkowo denerwująco. Jakaś kobieta otuliła się w pled i podaje deszczowi pocałunek zgarbionych od pracy pleców. A deszcz szmerze, chybcy, szuwarzy^[15] – deszcz, deszcz, deszcz...

*Przelać się w smutek jak deszcz
i życiu – skropić się w wodę – – –
Najpierwszy, najrańszy wiersz
zamrozić smutnawym chłodem.*

*Przy oknie szarym jak dzień
pokwitać smutno dumaniem.
Ja – człeka zbyteczny pień –
wychyłę tęsknoty banię – – –*

*Przetopić na smętek stal ócz
i siedzieć, i dumać, wciąż, jeszcze...
...Świat zamknął słoneczność na klucz
i deszczem, i deszczem szeleszcze[16]...*

Rija za moimi namowami zaprowadziła sobie pamiętnik-dzienniczek. Pisze prostym, niewybrednym stylem i to mi się właśnie podoba. Przynajmniej się można przy takim stylu zdobyć na absolutną szczerłość.

Dziś była bardzo dziwna. Jakoś smutno patrzyła się mi w oczy i jeszcze smutniej się uśmiechała. Ostatecznie wyjaśniło się to.

Pytam jej się:

– Czemu taka jesteś? Możesz chora?

– Nie, ale powiedziałaś, że wczoraj – gdybym głupio gadała – to byłoby dobrze. Nie rozumiem tego.

– Prosta sprawa. Chciałem ci powiedzieć tym samym, że pewne rzeczy przemyślałaś mądrze i za poważnie.

Niedziela, 2 sierpnia.

Odwiedziłem tutejszy park księcia von Donnersmarcka^[17], który jest otwarty dla publiczności tylko w niedzielę w godzinach popołudniowych. W głębi parku znajduje się pałac księcia nazywany „Małym Wersalem”. Owszem, ładnie zbudowany, ale to wszystko jest krzycząca niesprawiedliwość. Jeden człowiek zajmuje zamek i obszar, który by zupełnie dobrze mógł być zużytkowany dla tysiąca nędznych. Wściekłem się. W dodatku Rija zaczęła mi chwalać całą tę głupią i przekłętą budowlę. Słowo daję, że hrabia nic mi złego nie zrobił, ale czuję w nim wroga ludzkości. Przyjdzie czas... Do czasu!

A potem siedzieliśmy w pokoju. Byliśmy sami. Ona podparła głowę rękoma i swymi cudnymi oczyma wpatrywała się gdzieś w nieskończoność. Na ustach grał jej lekki uśmiech. Uśmiech, który jest tylko jej właściwy i który mnie właśnie oczarował.

Chciałem właśnie na ten temat mówić, ale przerwała mi krótko:

– Cicho siedź.

Och! Jesteś okrutna!!!

Poniedziałek, 3 sierpnia.

Najcudniejszy dzień w moim życiu. — —

Siedziałem z Riją w pokoju. Na szybach perliły się krople deszczu i wiatr przewracał łby drzew.

Ona siedziała na sofie. Brodę podparła rękoma i rozlała cud swych oczu po gładkim, białym obrusie.

Zacząłem mówić cicho. Potem głos tężał, wreszcie stał się przekonującym.

– Czy możesz mi już dziś dać odpowiedź? – zapytałem w końcu.

A ona przysłoniła oczy daszkiem swych splecionych dłoni i cicho, całkiem cichutko odparła:

– Ty wiesz.

Przeszedł mnie dreszcz. W oczach zamigotały mi gwiazdy, a w gardle utkwiły gdzieś słowa.

– To znaczy, że...

– Tak.

Wiatr wychłastał właśnie szybę warkoczem wody. Pokój spłynął w oczy. Oczy przypomniały rysia. Ryś wyczuł zwierzęcym instynktem szczęście.

* Zamiast „dobry”, wcześniej poeta napisał i skreślił słowa: „jak zły”.

Szczęście — — —

Największe moje, jedyne. A przyszło jej z trudnością to wyznanie. Musiałem jej pomóc. Kochana, droga Rija.

– Przyjdiesz w inne otoczenie. Nie zapomnisz?

– Nie. Na pewno. Nie lubię hipokryzji i niepotrzebnych w takim wypadku słów.

A potem prędko przyszedł wieczór. Wiatr wyszarpywał okna z ram. Niesierpniowym jazgotem klekotał pod oknami. Jesiony pozawieszaly liście na płocie. I był deszcz.

I wpatrywałem się z miłością w jej cudne oczy, gdy mi się zwierzała:

– Kochałam się już w kimś. Zawiodł...

Nie zawiodę. Kocham Cię od dawna. Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Bóg i miłość niech będą z nami.

Kocham!

Kocham!

Kocham!

Jak to przyszło?

Obserwowałem ją co dzień. Ale na ogół trudno było wykryć jej myśli. Zresztą, sama powiedziała, że lubi mówić gorzej niż w rzeczywistości jest.

Pierwszy raz zwróciłem uwagę na coś większego niż zwykła sympatia w jej słowach.

– Trudno mi znowu będzie się przyzwyczaić do samotności.

A przecież zawsze była samotna i było jej z tym dobrze. A więc powód tych słów zaczynał mi powoli jaśnieć.

A potem kiedyś mówiła:

– Ty wszystko bierzesz na serio. Kiedy ci powiem: „Jesteś drań”, myślisz od razu, że to prawda.

– Drań jestem, ale miły. Prawda?

– Tak – miły.

A po wyznaniu...

Upojne słowa trzepotały w pokoju jak gołąbki. Oczy podawały oczom miłość. Miłość bezgraniczną. Miłość niewysychającą.

I było wzruszenie. Święta, radosna powaga chwili. Cud szczęścia. Boskość jakaś dotrzymywała miejsca tej chwili.

– Tak mi jakoś dziwno – powiedziała z tym drgającym w głosie świętym wzruszeniem.

I jeszcze uścisk, pocałunek dwóch dłoni. I jakaś cichość rzewna, radosna, upojna jak po gwałtownym płaczu.

Oczy się sprzęgły w szaleńczy skok,

dusza wyśniła i rzekła: MIŁOŚĆ.

Czarem nasiątkiem jak mądry jog,

czar wysnuł słodką dwóch serc zawilość.

Wyciskałem z niej słowa jak z gąbki. Naciskałem odpowiednie klawisze i odzywały się tony. TONY wychodziły czysto i brzmiały jak cud serafinów.

MIŁOŚĆ

TO

WIELKA

RZECZ!

Wtorek, 4 sierpnia.

Jest mi coraz lepiej. Czują naokoło siebie atmosferę dobroci i szczęścia. Ale mimo to czekam na ciepły, słoneczny dzień – ciągle leją deszcze – abym mógł pojechać do domu. Czeka mnie tam bądź co bądź pewna robota.

Na pewno będę się odtąd uczył ze wzmogłą chęcią. Mam przecież nadzieję, że robię to nie tylko dla siebie, ale i dla Kogoś, dla Kogoś Kochanego. Bo studia wyższe muszą odbyć. Czuję, iż jest to konieczne. Bo i Rija miała takie ambicje, ale w związku z moimi planami na razie zaczęła inaczej myśleć.

Powiedziała mi, że trudno jej było zasnąć. Czowała coś, czego nie może

określić. To samo, co i ja. Tak, to jest szczęście.

– Pomyśl o trudnościach – rzekła mi.

– Im więcej przeszkód, tym większa chęć do osiągnięcia celu – odparłem.

Będziemy wymieniali sobie wzajemnie korespondencję. W ten sposób utrzymamy trochę albo nawet wręcz podsyćmy nasze plany i pragnienia.

Byłem z nią w Tarnowicach Starych^[18]. Wieś brzydka, jedynie ładny kościół.

Środa, 5 sierpnia.

Szczęście jest płynne. Tężeje tylko w pewnych momentach, w pewnych okresach, ale poza tym przelewa się dziką, wezbraną rzeką radości.

Słowa miłe, dobre są mimo swą prostą formę czymś większym, droższym i lepszym od cudu.

Uśmiech rozszerza szczęście. Uśmiech czarujący jest fragmentem nieba, jest wykrawkiem jakiegoś nieziemskiego bytu.

Oczy starają się zmieścić w sobie wszystko. Wszystko, a więc miłość, wierność, wszelką nadzieję i tak dalej.

– Nie mogę sobie jeszcze zdać sprawy z całego ogromu tego szczęścia – rzekła Rija.

– I ja też nie. Stało się to wszystko tak nagle. Jakiś pociąg uwiózł nas w nieznaną. Do niedawna byliśmy wzorowym kuzynostwem, a teraz wykwitła między nami Chrystusowa idea miłości. Potrząśłem jabłonią Twego istnienia i pospadały owoce. Pełne, soczyste owoce. Owoce — — —

Długo prawdopodobnie nie będziemy się widzieli, ale to będzie dobra próba wierności. Bo zawsze ona jest panną zamożną, a na takie dziś można znaleźć wielu amatorów. Zapewnia mnie gorąco, że nie mam się o nią absolutnie obawiać. Uspokaja mnie tym. Bo ostatecznie to nie takie trudne: trochę silnej i dobrej woli.

Ciekawym typem jest dziadek Riji – Warzecha^[19]. Człowiek to mocno zasłużony dla Polski, a zupełnie niesłusznie zapomniany. Pracował dużo na stanowiskach kierowniczych w organizacjach polskich. Poza tym ciekawe są jego opowiadania wojenne. Jest urodzonym gawędziarzem.

Czwartek, 6 sierpnia.

Są dziewczyny, które całkowicie uznają jedynie miłość platoniczną. Tym samym wykluczają z niej nawet pocałunek. Taką jest Rija. Nie może mnie pod tym względem absolutnie zrozumieć.

Radio przygrywało dyskretnie jakieś posuwiste walce. Był wieczór. W pokoju leżał półmrok. – Ona siedziała jak zwykle na sofie.

Mówiłem:

– Zrozum mnie. Proszę tylko ten jeden raz. Przynajmniej będę miał wspomnienie czegoś silniejszego. Nie chcę być beczelny i nachalny, co w tym wypadku jest tolerowane. I dlatego proszę.

Ona patrzyła się trochę pomieszana na swoje ręce.

– Jeżeli z tym będziesz szczęśliwy – zgadzam się. – Chcę wszystko robić, aby ci było dobrze.

– Dziękuję.

– Ale mimo to nie rozumiem cię.

Radość moja na moment przygasa.

– To w takim razie dziękuję za słowo, ale nie chcę nic takiego czynić, czego byś nie rozumiała.

Zaległa kłopotliwa cisza. Nie dałem bynajmniej za wygraną. Po chwili zapytałem:

– Możesz teraz rozumiała?

Ona podniosła swe cudne oczy i głosem na wpeł złamanym wzruszeniem rzekła:

– Jak uważasz.

Szaleńczęm, radosnym odruchem porwałem ją w ramiona. Z dzika radością ułożyłem wargi w kształt jej ust. I była chwila wielkiej świętości.

– Ty też będziesz szczęśliwą – wyszeptalem potem.

I wtedy w jej cudnych oczach zabłyśły łzy. Złamała ją ta powaga chwili. Ja czułem się szczęśliwy...

Piątek, 7 sierpnia.

Chodzę po całym dniu nieogolony. Na sobie mam sweter Riji. Włóczę się z kąta w kąt. Słucham radia, przekomarzam się z Riją, kłócę się z krzesłem, piszę, czytam i znowu sprzecam się z Riją. Słońce świeci blade, ciągle zbierają się chmury i ma się na burzę. Jest taki głupi nastrój.

Sobota, 8 sierpnia.

Mam takie szczęście, że mogę słuchać radia właśnie w obecnym czasie, kiedy odbywa się emocjonująca mnie w najwyższym stopniu Olimpiada w Berlinie. Tym większa emocja jest w tym, że Polsce jakoś się dotychczas szczęści. Szczególnie interesuje mnie piłka nożna. A Polacy mają już poza sobą dwa zwycięstwa: z Węgrami 3:0 i dziś z Anglią 5:4. Jeżeli wygrają z Austrią jeszcze, to dostaną się do finału. To byłaby arcy cudowna rzecz. Wyobrażam sobie radość tej Polonii zebranej w Berlinie, która z każdego zwycięstwa Polaków wynosi coraz więcej miłości do swej Ojczyzny. Szlachetna duma coraz to zwiększa się. A więc niech im Bóg da jeszcze odrobinę szczęścia.

Zaczynam tęsknić za książkami, za moim „biurem”, za systematyczną jakąś pracą. Jest mi tu wprawdzie bardzo dobrze, żyję najwygodniej, ale brak mi jest właśnie tych moich ukochanych książek. Dni są zadeszczone i dlatego muszę z wyjazdem zwlekać z dnia na dzień. Inna rzecz, że ciocia mnie również jeszcze nie chce puścić. W poniedziałek upłynię równo dwa tygodnie mego pobytu tutaj. Może będę mógł wyjechać pojutrze. Byłoby tylko było słońce.

Niedziela, 9 sierpnia.

Dzisiaj miałem pojechać ze Stefą oraz z Fojcikiem do Jastrzębia-Zdroju. Na pewno będą na mnie czekali. Inna rzecz, że w ogóle nie wiedzą, gdzie jestem. Powiedziałem, że wyjeżdżam na obóz. Muszą się tylko domyślić, na jaki i dokąd.

Dziś może przepędzę tutaj ostatnią noc. Minęło te kilkanaście dni prędko, ani się nie spodziałem, a już jutro kończy się drugi tydzień. Jestem całkowicie zadowolony z tych wakacji. Nabrałem świeżości ducha, nadziei na przyszłość i chęci do nauki. Uśmiechnęła się do mnie nadzieja wielkiego szczęścia. No i naturalnie ciało odbyło odpoczynek.

– A więc jutro trzeba będzie pojechać – rzekłem do cioci.

– Masz jeszcze czas. Nie czeka cię nic pilnego. Zresztą Riją się w ten sposób trochę rozerwała.

– Ano, jeżeli tak, więc zostają jeszcze parę dni.

A więc nie wiem jeszcze dokąd^[20].

Poniedziałek, 10 sierpnia.

Ciocia chora. Niebo zachmurzone. Niczego się nie chce. Jakaś zaraźliwa nuda ogarnia wszystkich. Siedzę w pokoiku u góry i czytam trochę. Ale niestety same banały. Czegoś porządniejszego nie ma.

*Wiatr przeczesuje krzewy w ogrodzie,
jesionom długim przewraca łby,
plot się przegląda w brudnawej wodzie,
a pies poluje wściekle na pchły.*

*Słońce się w dzikiej nurza agonii,
wzdyma się w balon za płachtą chmur,
chmura za chmurą leniwo goni,
wiatr liśćmi bije obłądnie w mur.*

*Kury gdakają, nie wiedząc po co,
kot popod plotem sunie jak lis
– nuda jest wielka czy dniem, czy nocą,
okropnie brzmi mi dzwoniącym „cis”.*

*Schodzę schodami na dół wczas rano,
i na ironię mówię „bonjour”,
uśmiechem witam Riję kochaną,
potem wychodzę trochę na dwór.*

Patrzę się w niebo – znowu te chmury,

*znów wiatr się wbija w ciepło jak klin,
firmament siny, firmament bury,
wyciska ze mnie obłądny tren.*

*Pogoda droga, jasna pogoda,
znowu nam lawą złocistą spłynę.
Świat lka za Tobą deszczową wodą,
Więc czyn nam ciepło, czyn radość, czyn!*

*A wiatr chichocze, a wiatr basuje,
w noc jak saksofon płacziwie lka,
melancholijnie w świetle się snuje,
i najtęskliwiej, najsmutniej lka.*

*I jakiś czar mnie wtedy omota,
jakiś mnie w kamień zakuwa czar,
i ta najdziksza z tęsknot tęsknota
składa mi z siebie (– pęk marzeń –) dar.*

Przypisy

[1] Taras Szewczenko (1814–1861), narodowy poeta ukraiński, twórca romantyczny, także malarz i etnograf. Prozę i dramaty pisał po rosyjsku, poezję po ukraińsku.

[2] Wiersz Szewczenki Минають ночі był bardzo popularny. Pod tytułem Dumka przełożył go Leo Belmont (idem, Wybór poezji, t. 3: Przekłady, Nakładem Jana Fiszer, Warszawa 1900, s. 118–119); pt. Konają dni, konają noce Sydir Twerdochlib (T. Szewczenko, Wiersze wybrane, przeł. S. Twerdochlib, Polskie Towarzystwo Naukowe, Lwów 1913, s. 40–41); pt. Mijają dni, mijają noce Bohdan Łepki (T. Szewczenko, Poezje, tłum. różni, pod red. Pawła Zajcewa, Ukraiński Instytut Naukowy, Warszawa 1936, s. 175–176).

[3] szeleszcze – ‘szeleści’.

[4] skwitł – ‘zakwitł’.

[5] czicerone (spolszc. cicerone) – przewodnik.

[6] Śmiejąc się z koleżanki, Szewczyk nie miał racji. Panna Borbietówna mogła zetknąć się z wierszami Henryka Sienkiewicza w wydaniu Pism zapomnianych i niewydanych, oprac. I. Chrzanowski, Ossolineum, Lwów-Warszawa-Kraków 1922.

[7] udźwignęła – ‘udźwignęła, podniosła’.

[8] W rkp. ‘nanajgorzej’.

[9] Od 27 do 30 lipca pamiętnik został pisany ołówkiem kopiovym.

[10] Tu w znaczeniu: ‘jestem zmienny’.

[11] To znaczy: ‘pisanie nie zbliży do ludzi’.

[12] To, co w nawiasie kwadratowym zostało w Pamiętniku przekreślone przez autora.

[13] En porage (naśl. franc., iron.) tu w znaczeniu: ‘będąca porażką’.

[14] poganizm – ‘pogaństwo’.

[15] szemrze, chybcy, szuwarzy – czyli: ‘wydaje szmer, pochyła się w tę i inną stronę, pada w szuwarach’.

[16] szeleszcze – ‘szeleści’, tu dla zachowania rymu: ‘deszczem / szeleszcze’.

[17] Henckel von Donnersmarckowie – ród magnatów ziemskich i przemysłowych w dwóch liniach: bytomsko-siemianowickiej oraz tarnogórsko-świerklanieckiej; pałac wraz z parkiem, zwany Małym Wersalem, był prezentem Guida Henckel von Donnersmarcka (1830–1916) dla jego żony Teresy (Estery) Lachmann (1819–1884), znanej jako markiza Blanka de Paiva.

[18] Tarnowice Stare – od 1820 roku osada będąca własnością hrabiów i książąt Henckel von Donnersmarck ze Świerklańca; od 1922 1 granicach II Rzeczypospolitej; dzisiaj dzielnica Tarnowskich Gór.

[19] We Wspomnieniach Szewczyk pisze o nim jako „bogatym piekarzu i prężnym polskim działaczu plebiscytowym” – zob. W. Szewczyk, Wspomnienia, „Śląsk”, Katowice 2001, s. 64.

[20] dokąd, tu w znaczeniu: ‘do kiedy’.

Problemy ukraińskie i Conrad-Korzeniowski

STEFAN ZABIEROWSKI

1

Jednym z najważniejszych wydarzeń politycznych, jakie miało miejsce w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, był rozpad supermocarstwa, które nosiło oficjalną nazwę – Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich. Z tego molocha wyodrębniło się – nie bez wielkich trudności – cały szereg niepodległych państw. W europejskiej części owego mocarstwa były to: Ukraina, Litwa, Łotwa i Estonia.

Oglądając ten proces, można było odnieść wrażenie, że Wielka Historia zatoczyła koło i pewne zjawiska z odległej przeszłości powtórzyły się współcześnie, przybierając podobną jak ongiś postać... Czołowi przywódcy państwowi Polski i Ukrainy w swoich publicznych wystąpieniach przywołali termin „Rzeczpospolita Obojga Narodów”, przypominając pojęcie, które funkcjonowało od czasów Unii Lubelskiej (1569). Przy okazji polski prezydent Andrzej Duda zwrócił uwagę, że tych narodów było więcej niż dwa.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że stosunek grupy rządzącej tym państwem, a więc szlachty polskiej i litewskiej, do Rosji nie bardzo odbiegał od poglądów, które bywają aktualne i dziś. Czesław Miłosz, pisząc o zapatrywaniach politycznych Conrada-Korzeniowskiego, wskazywał na ich staropolską proveniencję. Dowodził:

Tak właściwy i jemu [...] fizyczny wstręt do Rosji nie datował się oczywiście z czasów zaboru i carskiego ucisku. Źródeł jego trzeba szukać w tym uczuciu grozy, jakie w polskich parlamentarzyście, piniaczach i oratorach budził wschodnia autokracja, poczawszy od pierwszych z nią bliższych kontaktów poprzez ciągłe wojny. Wyższości Polaków nad Rosjanami nikt w ciągu paru stuleci nie kwestionował, nie kwestionowali i sami Rosjanie, zdradzając snobizm jeżeli chodziło o naukę polskiego i nazywając pierwsze utwory swojej poezji „wierszami polskimi”.

Z koncepcji staropolskich wywodzi się też pojęcie „przedmurza”. Przedmurzem tym miała być dawna Polska, broniąca chrześcijańskiej Europy przed Turkami. Później koncepcje tę przywołano w czasie wojny polsko-bolszewickiej, podkreślając, że to właśnie nowo powstałe państwo polskie ochroniło Europę przed eksportem sowieckiej rewolucji.

W tym czasie Joseph Conrad w liście do amerykańskiego prawnika i mecenasa sztuki Johna Quinna starał się dowiedzieć, na co zwrócił uwagę Andrzej Buzsa, że konflikt polsko-bolszewicki był konfliktem przeciwstawnych wartości – dobra i zła.

Współcześni publicyści często przypisują Ukrainie rolę, jaką odgrywała Polska w roku 1920, rolę obrony demokratycznej Europy przed rosyjskim totalitaryzmem. Inny punkt odniesienia do bieżących wypadków, na Ukrainie – również zakotwiczony w tradycji – to powstanie styczniowe. Należy się tu odwołać do słynnej pieczęci Rządu Narodowego, którą – nawiasem mówiąc – zaprojektował wuj Conrada, jeden z przywódców tego powstania, Stefan Bobrowski. W skład tej pieczęci wchodził Orzeł polski, Pogoń litewska i archanioł Michał – symbol Rusi, czyli Ukrainy.

Tak o tej pieczęci w swoich wykładach o powstaniu 1863, mówił Józef Piłsudski: „Wielka epoka wielkich ludzi nie dała lub większym z tej doby nie zwalczone przez nich przeszkody na drodze postawiła. Gdzie wielkich w podobnych czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości, w instytucjach, w symbolicznych nieraz dziwołagach.

W roku 1863 istniał taki symbol, który silnie, ba – nieraz wszechwładnie panował nad ludźmi. Była nim pieczęć – pieczęć Rządu Narodowego”.

Współczesne wypadki wokół Ukrainy zdają się potwierdzać fakt, że historyczny ten symbol nabrał nowego życia. Również nabrało aktualności, wywodzące się z tamtego okresu hasło – „Za wolność naszą i waszą”.

2

Można tedy zapytać, ale co z tymi wydarzeniami na Ukrainie łączy pisarza o nazwisku Joseph Conrad Korzeniowski?

Zacznijmy odpowiedź na to pytanie od spraw elementarnych. Przyszły wielki pisarz języka angielskiego urodził się w roku 1857 w polskiej rodzinie szlacheckiej w Berdyczowie, a więc na kresach dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Jak pisał monografista Conrada Józef Ujejski:

„Urodził się przecie na polskich kresach, w samym mateczniku polskiego romantyzmu. I urodził się z rodziców

wspaniale romantycznych – romantycznych myślą, czynem i męką. I przez całe swoje czarne dzieciństwo karmił się nieustannie lekturą romantyczną polską i francuską [...]”

Conrad był świadom swego pochodzenia. W roku 1914, tuż przed odwiezianiem do ziem polskich, powiedział w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi warszawskiego „Tygodnika Ilustrowanego” Marianowi Dąbrowskiemu, co jest przedmiotem jego satysfakcji:

„Jakiś nic nie znaczący chłopak z kresów, z zapadłej krainy, z jakiejś Polski, został bez protekcji kapitanem angielskiej marynarki. [...] i że nieźle potrafię pisać po angielsku”.

Ale Ukraina, choć w niewielkim zakresie, jest także obecna w twórczości Conrada. Opisy ziemi ukraińskiej i ludzi, którzy tę ziemię zamieszkiwali, napotykamy we wczesnej i niedokończonej powieści tego pisarza *Siostry*.

Tak o tym utworze pisał jego znakomity tłumacz na język polski, emigracyjny krytyk Wit Tarnawski:

„*Siostry* jak gdyby czekały na przekład polski. Należą one bardziej do literatury polskiej niż angielskiej, nie tylko dzięki jednemu u Conrada obrazowi jego stron rodzinnych, ale dla swego emocjonalnego, nie ukrywanego autobiografizmu, apoteozy wartości niematerialnych, jaskrawych poglądów romantycznych. Chwilami w czasie pracy nad przekładem *Siostr* doznawałem wrażenia, że tłumaczę rzecz przełożoną na angielski z powrotem na język oryginału”.

Bohaterem owej niedokończonej powieści jest – mieszkający w Paryżu – malarz Stefan, syn bogatych chłopów ukraińskich. Ważnym składnikiem tego utworu jest opis krajobrazu ukraińskiego. Czytamy tam:

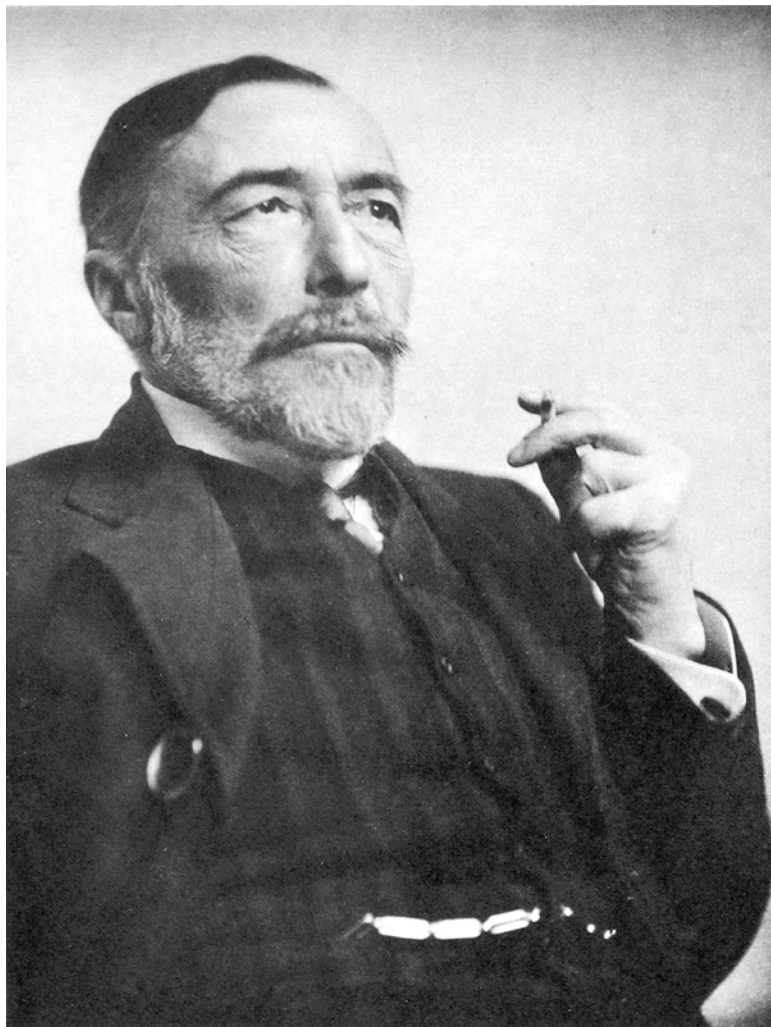
„Stefan patrzył bacznie – uśmiechając się do ogromu niebios. W ciągu dnia z ramion matki obserwował w pojętnym milczeniu bezkresną przestrzeń urodzajnego czarnoziemiu, który na swym falistym łonie budował życie pod gorącą pieszczotą słońca. W płytkich fałdach wielkiej równiny strumienie przecięte globami rozlewały się w lśniące fale cichych stawów, zda się uciszonych przez tkliwe szepty trzciny okolnych. Na ich brzegach ciemne wierzy i smukłe giętkie brzozy chwiały się nad potężnym i ła-

godnym tchnieniem sennego stepu. Tu i ówdzie rysowała się nieruchomo i posępnie kępa niskich dębów, osadzona mocno nad ciemną plamą własnego cienia. Z pochyłości wzgórz spływała wioska – małe rozrzucone chaty o wysokich zmierzwionych strzechach, pod którymi białe, krzywe okna, niby mrugające oczka, gromady pokracznych i wesołych karłów w ogromnych czapach, włożonych z fantazją na bakier. Pomiedzy nimi zielona kopuła wioskowej cerkwi strzelała wysoko w niebo blaskiem swego połączonego krzyża”.

Kazimierz Wyka – w znakomitym eseju *Wyspa na polskiej zatoce* – zwrócił uwagę jak bardzo opis conradowski osadzony jest w poetyce polskiego Romantyzmu.

I może jeszcze jeden obrazek, przedstawiający mieszkańców Ukrainy, zaczerpnięty tym razem z autobiograficznego tomu Conrada *Ze wspomnień*. Zacytujmy:

„Odkryłem wkrótce, że wszystkie twarze w domu i wszystkie twarze na wsi: poważne twarze gospodarzy o sumiastych wąsach, okryte puchem twarze młodych ludzi, twarzyczki jasnowłosych dzieci, piękne, opalone twarze i szerokie czoła kobiet, które widywałem na progach chat – wszystkie były mi tak znajome, jakbym je znał od dzieciństwa i jakby moje dziecinne lata dopiero co się skończyły”.



Joseph Conrad

3

Dla każdego, kto zna najważniejsze fakty z biografii Conrada, a zarazem śledzi aktualne wydarzenia na froncie rosyjsko-ukraińskim, pewne nazwy miejscowe nabierają podwójnego znaczenia. Zarówno znaczącego w życiorysie Conrada, jak nabierają nowego sensu w aktualnych działaniach wojennych. Przede wszystkim miasto – Kijów. To właśnie przebywając w tym mieście na kontraktach wuj i opiekun Conrada, znakomity jurysta, Tadeusz Bobrowski, otrzymał z Marsylii, gdzie wówczas przebywał Conrad, alarmującą wiadomość.

Ale oddajmy głos wujowi Tadeuszowi i przywołajmy stosowny fragment jego listu do Stefana Buszczyńskiego, z dnia 12/24 marca 1879 roku. Tak Bobrowski pisał o losach siostrzeńca, który wów-

czas służył we francuskiej marynarce handlowej:

„Najpewniejszy więc byłem, że jest gdzieś u antypodów, gdy raptem w Kijowie wśród kontraktowych zajęć w 1878 otrzymuję depeszę: *Conrad blesse`, envoyez argent – arrivez*. Rzecz jasna wylecieć jak ptaszek nie mogłem: po załatwieniu kontraktów i otrzymanej odpowiedzi, że już jest lepiej – 4 lutego st [arego] st [ylu]

wyruszyłem wprost z Kijowa i 7 stanąłem w Marsylii. Zastałem Konrada już chodzącego, a po uprzedniej rozmowie z jego przyjacielem, p. Richardem Fecht, bardzo rozważnym i przyzwoitym młodym człowiekiem, zobaczyłem się z delikwentem”.

Jak się okazało, Konradek, przegrawszy dużą pożyczoną sumę w kasynie w Monte Carlo, usiłował popełnić samobójstwo. Na szczęście to się nie udało. Wuj Bobrowski, przybywszy do Marsylii, pospłacał wszystkie długi lekkomyślnego siostrzeńca. Natomiast ów fakt próby samobójczej Conrada, zarówno w swojej twórczości, jak i w rozmowach prywatnych, usiłował zataić, twierdząc, że zo-

stał ranny w pojedynku. Tak rzecz została przedstawiona w powieści *Złota strzała*.

Kolejną ukraińską nazwą miejscową, która aktualnie często występuje w komunikatach z ukraińskiego placu boju, a która była także ważna w biografii pisarza, jest nazwa Czernihów. W tym mieście bowiem mieli odbywać dalszą część zesłania Ewa i Apollo Korzeniowscy i towarzyszący im synek – Konradek. Warunki zesłania były o wiele lepsze na Ukrainie, niż wcześniej w – położonej za kręgiem polarnym – Wołogdzie. Ale, niestety, ciężko chora na gruźlicę matka Conrada, Ewa, mimo starań rodziny i lekarzy, zmarła w Czernihowie 18 kwietnia 1865 roku. „Zabiła Moskwa tego barwistego motyla” – napisał o śmierci matki Conrada Stefan Żeromski.

Cóż można w tym miejscu dodać, że sam cmentarz czernihowski, na którym pochowana została Ewa Korzeniowska, jak i kościół, gdzie znajdowała się tablica poświęcona jej pamięci, zniszczone zostały przez bolszewików w latach trzydziestych ubiegłego wieku.

Inną miejscowością, znaną z aktualnych komunikatów wojennych, która odegrała ważną rolę w życiorysie Conrada był Żytomierz. Tutaj Apollo Korzeniowski, przebywając wraz z rodziną od roku 1859, rozwijał szeroką działalność literacką i publicystyczną. Jak pisał biograf

Conrada Zdzisław Najder:

„W Żytomierzu Korzeniowski nie tylko sporo pisze i tłumaczy, ale bierze bardzo czynny udział w życiu kulturalnym stolicy Wołynia. Zostaje udziałowcem (z wkładem 500 rubli) i sekretarzem, krótkotrwałej zresztą, bo zlikwidowanej przez władze, spółki wydawniczej, planującej głównie publikację oświatowe i znów *nieogłędnie* traci pieniądze. Jego komedia *Dla miłego grosza*, atakująca ziemiańskie dorobkiewiczostwo i oportunistę, wystawiana jest z powodzeniem na scenach: żytomierskiej, wileńskiej, kijowskiej i lubelskiej. Zaczyna pisywać stałe korespondencje do warszawskiej «Gazety Codziennej», a także do innych pism”.

Wśród miast ukraińskich, które obecnie są przedmiotem zainteresowania sprawozdawców wojennych, a które odegra-

ły pewną rolę w życiu Conrada, wymienić należy Odessę. Tu Konrad w lecie roku 1867 zabrany został przez wuję Tadeusza na kurację. Wszystko wskazuje na to, że to właśnie w Odessie Conrad po raz pierwszy w życiu zobaczył morze.

Ale autor ten coś wręcz przeciwnego pisze w autobiograficznym tomie *Ze wspomnień*. Przedstawiając swoją wyprawę – pod opieką studenta Adama Pulmana – do krajów Europy Zachodniej w lecie 1873 roku, zapewniał

„Ten plan był świetnie obmyślany, ponieważ ani mój nauczyciel, ani ja nigdyśmy w życiu morza nie widzieli. Miało to nastąpić niebawem w Wenecji, na wybrzeżu Lido”.

Miastem, które od czasu II wojny światowej – decyzją konferencji wielkich mocarstw w Teheranie i Jałcie – znalazło się na obszarze Związku Radzieckiego, jest Lwów. W mieście tym – które wówczas leżało w zaborze austriackim – przebywał Conrad dwukrotnie. Po raz pierwszy w roku 1869, kiedy wraz z ojcem zwolniony został ze zesłania. Pobyt małego Konrada w tym grodzie wspominała po latach jego towarzyszką zabaw dziecięcych Jadwiga z Tokarskich Kałuska. Pisała o tej znajomości w liście do znakomitego anglisty, prof. Romana Dybockiego, zapewniając, że Conrad:

„Zdumiewał nas wszystkich pamięcią, deklamował całe ustępy z *Pana Tadeusza* i *Ballady* Mickiewiczowskie. Już wtedy zaczęła się w nim odzywać żyłka pisarska. Znosił swojego autorstwa komedyjki – rozdzielał mnie i bratu rolę – a irytował się, jak nie nauczyliśmy się”.

Drugi pobyt Conrada we Lwowie rozpoczęła się w września 1873 roku. Osierocony przez oboje rodziców, Konrad został wówczas umieszczony przez wuję Bobrowskiego w pensji dla sierot po powstańcach 1863 roku, którą prowadził cioteczny wuj Antoni Syroczyński. I tutaj również przytoczmy wspomnienie Jadwigi z Tokarskich Kałuskiej:

„Konrad przychodził do nas często – rozmowy prowadziłyśmy poważne. On dużo czytał, przeważnie o podróżach. Pragnieniem jego było poznać więcej świata. Wychodził wtedy tygodnik «Wędrowiec», ulubione pismo Konrada. Odbywały się podówczas w sali ratuszowej wykłady panów profesorów z Uniwersytetu, uczęszczałymi na nie. Konrada najwięcej interesowały odczyty z nauk przyrodniczych i literatury...”

Należy jeszcze dodać, że Conrad jeszcze dwukrotnie był na Ukrainie, w roku 1890 i 1893, kiedy to odwiedzał, mieszkającego w Kazimierówce, wuję Tadeusza Bobrowskiego, który szczególnie w latach 1869 do 1893 wywierał ogromny wpływ na jego życie. Jak świadczy wspomnienie Jana Perłowskiego, jednego ze świadków pobytu Conrada w dworku wuję Bobrowskiego w roku 1890, relacje Conrada z jego polskimi znajomy-

mi z Ukrainy zostały mocno osłabione. Perłowski wspominał:

„Nie bez trudu dojechałem do dworu ukrytego w niewielkim parku i zastałem dość szczupłe, wyłącznie męskie towarzystwo. Niektórzy przybyli po to jedynie, aby oglądać egzotycznego gościa.[...] Chłód bił nie od tej szlachty gotowej do zbratania, ale od niego samego. Z usilną uprzejmością odpowiadał na wszystkie pytania, mówił ze skupieniem, słuchał uważnie, ale było widać, że nudziło go to w wysokim stopniu”.

4

Czas najwyższy postawić zasadnicze pytania: co Conrad zawdzięcza pobytowi na Ukrainie – to pytanie pierwsze. Drugie zaś – co Ukraina zawdzięcza swojemu mieszkańcowi – Józefowi, Teodorowi, Konradowi Korzeniowskiemu, szlachcicowi herbu Nałęcz?

Już w latach pięćdziesiątych wysunął śmiałą hipotezę znakomity emigracyjny eseista Jerzy Stempowski, piszący pod pseudonimem Pawła Hostowca:

„Wydaje się rzeczą prawdopodobną, że Conrad wywiózł coś takiego z Ukrainy, że jego zdolność wczuwania się w wewnętrzny świat ludzi należących do innych grup etnicznych i narodowych ma swe źródło w doświadczeniach i wrażeniach najwcześniejszej młodości. Pewną wskazówkę w tym sensie można by widzieć w fragmencie jego ukraińskiej powieści *Siostry*, której postaci wzięte są z środowiska w czasie pisania tej powieści autorowi równie obcego, jak sam murzyn z załogi «Narcyza»”.

Tyle Conrad zawdzięcza Ukrainie, dokładniej – swojej ukraińskiej biografii. Ale i współczesna Ukraina nie zapomina o Conradzie. Mamy na to kilka dowodów. Liceum w Berdyczowie nosi imię Josepha Conrada. Uczniowie tego liceum gościli w Polsce, na Zamku Królewskim w Warszawie, gdzie w roku 2007 odbyła się konferencja poświęcona Conradowi z okazji 150 rocznicy urodzin tego pisarza. Dowodem na to są też badania conradowskie prowadzone na Uniwersytecie Tarasa Szewczenki w Kijowie przez doc. Olenę Tkaczuk, ściśle współpracującą z polskimi badaczami Conrada.

Wydaje się, że najważniejszym akcentem współpracy polsko-ukraińskiej w dziedzinie conradystki jest otwarcie 28 czerwca 2015 – z inicjatywy Zdzisława Najdera – muzeum Conrada w murach klasztoru oo. Karmelitów Bosych w Berdyczowie, miejscu, w którym młody Konradak był chrzczony. Jego ojcem chrzestnym był Józef Ignacy Kraszewski.

5

Ale dla zrozumienia aktualnych spraw ukraińskich duże znaczenie ma twór-

czość Conrada, dokładniej się wyrażając – jego publicystyka polityczna, a także powieści o tematyce politycznej. W pisanych przez siebie esejach politycznych Conrad nakreślił wizję Rosji carskiej, wizerunek, który i dziś – mimo zmiany ustroju – zachował aktualność. Jakże współcześnie brzmi sformułowania zawarte w eseju *Autokracja i wojna*, który napisany został w roku 1905, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. Zacytujmy:

„Nigdy przedtem świat zachodni nie miał sposobności zajrzeć tak głęboko w czarną przepaść, która dzieli bezduszną autokrację, udającą, lub nawet przekonaną, że jest arbitrem Europy, od pogrążonych w mroku, zgłodniałych dusz własnego ludu. Jest to istotna lekcja pokazowa obecnej wojny, zjawisko nie do zapomnienia”.

Conrad – jak niewielu – przedstawił w swojej twórczości literackiej imperialistyczne dążenia Rosji carskiej, autorytarny charakter jej rządów, permanentną chęć walki z Zachodem. Dość przywołać takie powieści Conrada, jak *Tajny agent*, czy *W oczach Zachodu*. Pisał Conrad w przedmowie *Od autora* do kolejnego wydania powieści *W oczach Zachodu*:

„Obowiązek absolutnej rzetelności został mi nałożony przez względy historyczne i dziedziczne – szczególne doświadczenia narodowe i rodzinne, nie mówiąc już o zasadniczym moim przekonaniu, że tylko prawda może być racją bytu jakiegokolwiek twórczości literackiej, która rości sobie najskromniejsze prawo do imienia sztuki i pragnie znaleźć miejsce w dorobku kulturalnym mężczyzn i kobiet swojego czasu”.

Twórczość Conrada – jak każda wielka literatura – ukazała ponadczasowe mechanizmy, jakie kierowały polityką rosyjską w XIX wieku, a która możemy odczytać i dziś, choćby w działaniach wojennych na stepach Ukrainy. W takich powieściach jak *Tajny agent*, czy *W oczach Zachodu* ukazał Conrad konflikt między autokratyczną Rosją a demokratycznym Zachodem. Ukazał posługiwanie się przez Rosję służbami dyplomatycznymi, by dokonywać dywersji na terenie Anglii, a tak samo zniewolenie społeczeństwa przez autokratyczne rządy w Rosji.

Przedstawione w tych powieściach mechanizmy sprawowania władzy w Rosji, szczególne miejsce służb policyjnych oraz wielkomocarstwową megalomanię – to nie trudno udowodnić – problemy aktualne i dziś. Patrząc na bieżące wypadki na Ukrainie, możemy dojść do wniosku, że ich zrozumienia – w istotnej mierze – może przyczynić się twórczość urodzonego w Berdyczowie autora angielskiego.

Pod Twój płaszcz się uciekamy!

Homilia Arcybiskupa Katowickiego Wiktora Skworca na uroczystość NMP Królowej Polski w 2022 roku



1 Dziś duchowo pielgrzymujemy przed obraz Jasnogórskiej Królowej Polski, aby złożyć hołd obecności, modlitwy oraz oddać się pod macierzyńską opiekę Matki i Królowej. Jest Ona również nazywana Królową Pokoju i dlatego w tym dniu błagamy, aby Matka Księcia Pokoju, Jezusa Chrystusa, uprosiła łaskę pokoju całej ludzkiej rodzinie, zwłaszcza w Ukrainie.

(...) Dlatego w trzeci dzień miesiąca maja przychodzimy do Królowej i Matki, a wspominając ważne, historyczne rocznice, powierzamy Jej opiece naszą przyszłość.

Nie inaczej postępowali mieszkańcy Górnego Śląska, którzy 100 lat temu i wcześniej podjęli zmagania o miejsce ich małej ojczyzny w ramionach Matki – Polski. Chcemy nie tyle z obowiązku, ile w duchu poetyckich słów Prymasa Polski Ignacego Krasickiego – *Święta miłości kochanej ojczyzny, Czują cię tylko umysły pocziwie!* – pamiętać o losach naszej ojcowizny i o losach naszych ojców i matek, rodziców, dziadków i pradiadków, którzy wtedy stanęli do walki o to, by ich ziemia ojczysta, nasza ojcowizna, znalazła się w odrodzonej ojczyźnie, w Polsce. Na pytanie o przyczyny tego długiego procesu, o to jak się to stało, nasz górnośląski teolog odpowiada:

„Chodziło i chodzi w gruncie rzeczy o wolność. A ten rodzaj wolności, o który chodziło i chodzi, jest możliwy tylko w katolicyzmie, w kulturze rzeźbionej katolicyzmem. Ten rodzaj wolności na Śląsku, kraninie narożnej – gdzie przenikało i zderzało się ze sobą od wieków to, co czeskie (austriackie), niemieckie (germańskie), w ostatnim stuleciu i to, co rosyjskie (radzieckie), a zawsze to, co polskie – jest możliwy tylko i wyłącznie w tym ostatnim” (ks. Jerzy Szymik, *O powstaniach śląskich. Z Pszowa, teologicznie*).

2 Historia zbawienia toczy się w zmiennej, ludzkiej historii. W przeżywaniu historii naszej małej ojcowizny zbliżamy się do 100. rocznicy przyłączenia części Górnego Śląska do II Rzeczypospolitej, odrodzonej w roku 1918. Przyłączenie dokonano się dokładnie 22 czerwca 1922 roku. Fakt ten otworzył drogę działaniu Stolicy Apostolskiej, która 7 listopada 1922 roku powołała do życia administrację apostolską dla Górnego Śląska, wyłączoną z archidiecezji wrocławskiej i ustanowiła jej administratora w osobie ks. Augusta Hlonda, który rozpoczął budowanie fundamentów nowej, górnośląskiej diecezji.

1 marca 1924 roku wydał programowy list pasterski *O życie katolickie na Śląsku*. Za najważniejsze zadania administrator uznał: utrzymanie robotników w Kościele, uspokojenie nastrojów narodowych, podniesienie poziomu pracy duszpasterskiej po burzliwych przejściach związanych z powstaniem i plebiscytem, odrodzenie szkolnictwa i odbudowę pracy z młodzieżą. Wysiłki te miały przyczynić się do odbudowy morale społeczeństwa i jego zjednoczenia po trudnym procesie małej „wędrówki ludów”, jaka nastąpiła po wytyczeniu granicy państwowej między Polską a Niemcami i możliwości „optowania”, czyli zmiany miejsca zamieszkania zgodnej z poczuciem narodowej przynależności. Wkrótce potem ostry kryzys gospodarczy przyniósł wiele przejawów materialnego ubóstwa. W związku z tym Administrator powołał do istnienia Sekretariat Dobroczynności, który na poziomie parafii zajmował się skutkami bezrobocia i gospodarczego kryzysu, a przede wszystkim bezrobotnymi. Działalność ta miała zatrzymać mieszkańców Górnego Śląska przed migracją za pracą do Francji lub do Niemiec, do Zagłębia Ruhry.

3 Bracia i Siostry! Kościół jest wspólnotą pamięci. (...) Tak więc Kościół jest poniekąd żywą „pamięcią” Chrystusa. Owa pamięć nazywa się tradycja. (...) Moi przodkowie, powstańcy śląscy, a wiem o tym na pewno, szli do powstania przede wszystkim dlatego, że kształt polskiego katolicyzmu i wyrastającej zeń organicznie kultury był dla nich najwyższą duchowo

wą i kulturową wartością. Gilbert Chesterton (pisarz brytyjski, nazywany „księciem paradoksu”) zwraca uwagę na demokratyczny aspekt wszelkiej tradycji:

„Tradycja oznacza oddawanie głosów na najmniej znaną spośród klas społecznych, na naszych przodków. To demokracja zmarłych... Demokracja mówi, że nie powinniśmy lekceważyć opinii dobrego człowieka, nawet jeśli jest naszym parobkiem; tradycja żąda, byśmy nie lekceważyli opinii dobrego człowieka, nawet jeśli jest naszym ojcem” (G.K. Chesterton, *Ortodoksja*, Warszawa 1998, s. 61).

Bracia i Siostry!

Byłoby co najmniej niewdzięcznością czy nawet zawioną amnezją, gdybyśmy nie pamiętali o naszych ojcach, o naszych przodkach żyjących na Górnym Śląsku w minionym 100-leciu i wcześniej, gdybyśmy nie pamiętali o ich „opiniach”, o ich przynależności do Chrystusa i świata wartości, z którego czerpiemy.

Tradycja oznacza przekazywanie z pokolenia na pokolenie tego, co zachowuje się w żywej pamięci i za co jest się odpowiedzialnym. Aby jednak tradycja nie umarła śmiercią zapomnienia, w każdym pokoleniu trzeba poszukiwać nowych form wyrazu tego, co niezmiennie. Temu celowi służy dzisiejsza uroczystość i demokratyczne oddawanie naszych głosów na wartości przekazane nam przez przodków oraz wydobywanie ich samych z niepamięci, choćby w powstającym w przyziemiu naszej katedry Panteonie Górnośląskim, który jest instytucją kultury. Umożliwi ona spotkanie w przestrzeni wirtualnej z wartościowymi ludźmi Górnego Śląska, którzy w minionym 100-leciu żyli i przekazywali wartości wyliczone przez ks. Emila Szramka za Zofią Kossak w rozprawie *Śląsk jako problem socjologiczny* jako „predyspozycje osobowościowe mieszkańców”. Cechuje ich: „rzeczowość istotna. Idealizm w czynach, nigdy w słowach. Oszczędność i pracowitość. Wytrwałość. Głęboka, szczerą religijność, silne życie rodzinne i przywiązanie do starego obyczaju”.

Wymienione wartości były, są i będą społecznie pożądane oraz religijnie oczekiwane. Można i trzeba je skutecznie przekazywać nie metodą podawania i uczenia definicji, tylko przez spotkanie z osobą „wartościową”, żyjącą wartościami i je przekazującą. I to właśnie umożliwi Panteon prowadzący w ostatniej odsłonie do strefy duchowości, gdzie zwiedzający spotka się z osobami o pięknym, dojrzałym człowieczeństwie, które w języku Kościoła nazywamy świętością. Wtedy może przypomni sobie swoje powołanie, a może nawet przyjmie uniwersalne, głęboko humanistyczne przesłanie, którym żył m.in. sługa Boży Franciszek Blachnicki: „Nie zatrzymywać siebie dla siebie, ale posiadać siebie, żeby ciągle dawać siebie”, aby służyć wspólnemu dobru.

4. Bracia i Siostry!

(...) Dlatego dzisiaj, 3 maja 2022 roku, w obliczu toczącej się wojny, pełni niepokoju wołamy do Królowej Polski i Królowej Pokoju:

„Pod Twój płaszcz się uciekamy,
O Maryjo, Królowo
Kiedy smutku doznajemy,
Ty nas pociesz na nowo”.

I zwrotka ostatnia tej pieśni:

„Racz, o Pani, nas łaskawie
Zachować w swej obronie
W całym życiu, w każdej sprawie,
A szczególnie przy zgonie”. Amen.

Ks. Abp Wiktor Skworec

(...) skróty tekstu homilii pochodzą od Redakcji miesięcznika.



Pomnik Powstańca Śląskiego w Królewskiej Hucie
(pocztówka ze zbiorów autora)

Pomnik Powstańca w Chorzowie

TADEUSZ LOSTER

DO KOCHANYCH RODAKÓW

Iskrę miłości oraz wdzięczności,
Podaję wam tu, mili Rodacy;
Proszę niech każdy w swej łaskawości,
Mile ode mnie przyjąć je raczy.

Boć ona dąży z serca szczerego,
Znanego Wam już nieco rodaka,
Wiernie was wszystkich kochającego,
Z Górnego Śląska brata, Polaka.
Juliusz Ligoń

Historia wsi Chorzów sięga XIII wieku. W roku 1868 prawa miejskie uzyskała Kolonia Królewska Huta. Chorzów, jako przyległa wieś, nie wszedł wtedy w granice miasta. W roku 1898 miasto Królewską Hutę wyłączono z powiatu bytomskiego i zostało ono miastem na prawach powiatu. W czerwcu 1922 Królewską Hutę i Chorzów oraz inne części składowe dzisiejszego Chorzowa uroczysko przyłączono do Polski.

W roku 1892 w Królewskiej Hucie przy obecnej ulicy Wolności wzniesiono duży neogotycki gmach poczty według projektu architekta J. Schuberta. Tak okazały budynek poczty powstał w związku z uniezależnieniem się placówki pocztowej od ówczesnego urzędu pocztowego w Gliwicach. Cztery lata później pod gmachem poczty odsłonięto pomnik Germanii. Na trzymetrowym granitowym cokole postawiona została ponaddwumetrowa postać kobiety, symbolizująca militarną potęgę Prus. Monument ten wybudowano dla uczczenia pamięci żołnierzy mieszkańców Królewskiej Huty, poległych w wojnie z Danią i Francją. Był on sióstrzaną kopią pomnika w Nederwald nad Renem, a oba te pomniki ustawione były na 50. równoleżniku.

Pomnik Germanii w Królewskiej Hucie zniszczony został podczas powstań

śląskich. Na pozostałym przy gmachu poczty cokole, 2 października 1927 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej profesor Ignacy Mościcki odsłonił pomnik Powstańca Śląskiego. Pomnik przedstawił Juliusza Ligonio, kowala, śląskiego działacza społecznego. Konkurs na projekt pomnika wygrał 23-letni krakowski artysta rzeźbiarz Stefan Zbigniewicz (1904–1942) a wykonaniem pomnika zajęli się Wincenty Choremalski (1890–1960) polski rzeźbiarz i artysta malarz.

Wspominając pomnik Powstańca Śląskiego z lat międzywojennych, warto również szerzej opisać artystów, którzy doprowadzili do powstania takiej formy pomnika oraz postaci, która posłużyła do utrwalenia wizerunku powstańca. Artysta rzeźbiarz Stefan Zbigniewicz był uczniem Xawerego Dunikowskiego. Po ukończeniu krakowskiej ASP przebywał we Włoszech oraz Paryżu. Powrócił do kraju w 1930 roku. Był prezesem Związku Polskich Artystów Plastyków w Krakowie. Aresztowany w czasie okupacji, został rozstrzelany przez Niemców podczas zbiorowej egzekucji ludności polskiej w 1942 roku pod Ścianą Straceń w KL Auschwitz. Dzieła rzeźbiarskie tworzył różnymi technikami. W swojej krótkiej, bo tylko międzywojennej twórczości, oprócz opisanego pomnika Powstańca Śląskiego, stworzył kilka wybitnych dzieł, między innymi był twórcą wykonanej z blachy miedzianej, siedzącej sześciometrowej postaci św. Barbary, która w 1939 roku ozdobiła szczyt gmachu Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Po wkroczeniu Niemców do Krakowa pomnik św. Barbary został usunięty przez okupanta. Odtworzony przez artystę rzeźbiarza Jana Sieka trafił ponownie na szczyt gmachu AGH 29 maja 1999 roku.

Wincenty Choremalski podczas Wielkiej Wojny był legionistą, żołnierzem 1 Pułku Piechoty Legionów Polskich. Ukończył Uniwersytet Lwowski, kontynuował naukę i przebywał w Niemczech, Francji, Czechosłowacji i Austrii. Po powrocie do kraju zamieszkał w Sosnowcu. W okresie międzywojennym obok pomnika Powstańca Śląskiego jego dziełem było jeszcze siedem pomników wystawionych na Śląsku, wśród nich pomnik Stanisława Moniuszki w Katowicach.

Podczas wojny Wincenty Choremalski jako jeńiec przebywał w stalagu na Rugii. Większość jego przedwojennych prac została zniszczona w czasie wojny. Likwidacją przez Niemców dotknięte zostały również jego znane pomniki Powstańca Śląskiego oraz Moniuszki, które po wojnie zostały odbudowane. Po zakończeniu wojny Choremalski zamieszkał w Będzinie i tworzył nadal. Ta jego powojenna twórczość rzeźbiarska to między innymi realizacja takich zleceń, jak – niedawno zniesiony – pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej w Sosnowcu. Zmarł w roku 1960 w miejscu zamieszkania.

Juliusz Ligoń, którego twarz i sylwetka oraz zawód posłużyły artystom rzeźbiarzem do stworzenia postaci Powstańca Śląskiego, był kowalem, działaczem społecznym i publicystą na Śląsku. Urodził się w roku 1823 w Prądach (obecnie gmina Koszęcin). Pracował jako kowal w ojcowskiej kuźni; był samoukiem. W wieku 18 lat zatrudnił się jako kowal hutniczy w Królewskiej Hucie. Tutaj zasłynął jako działacz społeczny w Towarzystwie Wstrzemięźliwości. W 1848 roku podczas klęski głodu na Śląsku zorganizował polską pomoc charytatywną dla poszkodowanych. W 1851 roku zwolniony z pracy przeniósł się do huty „Andrzej” w Zawadzkiem.

Kilka lat później założył „Kółko Czytelnicze”, przekształcając je w pierwszą polską Bibliotekę Ludową na Górnym Śląsku. W założonej przez Ligonio bibliotece dostępne były wszystkie polskie czasopisma wydawane z zaborze pruskim. W 1869 roku założył – wraz z działaczami polonijnymi z pomorskiego i poznańskiego – „Towarzystwo Pożyczkowe” umożliwiający robotnikom polskim pomoc finansową.

W roku 1870 został ponownie zwolniony z pracy za szerzenie „antyniemieckiej propagandy”. Po utracie pracy powrócił do Królewskiej Huty, gdzie rozpoczął działalność w „Kółku Polskim” założonym przez Karola Miarke, był nawet wiceprezesem tego „Kółka”. Juliusz Ligoń pisał również artykuły i wiersze. Jego pierwszy wiersz ukazał się w 1858 roku w „Gwieździe Cieszyńskiej”. Współpracował z wieloma czasopismami wydawanymi w języku polskim w zaborze

pruskim. W latach 1868–1872 pisał do „Zwiastuna Górnośląskiego”, wydawanego w Piekarach Śląskich. Był wszechstronny, oprócz publicystyki i wierszy pisał gawędy i opowiadania, które cieszyły się uznaniem wśród czytelników.

W 1875 roku władze pruskie przeprowadziły w jego mieszkaniu brutalną rewizję. Skonfiskowano mu bibliotekę, często nakładano kary finansowe, co powodowało, że żył bardzo skromnie z żoną i sześciorgiem dzieci. W 1877 roku uległ wypadkowi, co spowodowało zwolnienie go z pracy. W 1879 roku założył katolicką organizację zawodową – Towarzystwo Wzajemnej Pomocy. Zmarł po ciężkiej chorobie w Chorzowie w 1889 roku. Juliusz Ligoń, mimo że nie był powstańcem, to całe życie walczył czynem i piórem o polskość Śląska. Jego synowie to poeta Jan Ligoń, dziennikarz Adolf Ligoń, a wnuk to malarz, pisarz i ilustrator Stanisław Ligoń.

Pomnik Powstańca Śląskiego, a faktycznie „Pomnik ku czci poległych Powstańców Śląskich” przedstawiał okazałą postać kowala o regularnych rysach twarzy, trzymającego w lewej ręce kowalski młot wsparty na kowadle, a w prawej ręce wykuty miecz. Miecz ten, symbol rycerskiej walki, był skierowany ostrzem za sylwetkę pomnika w stronę niemieckiego Bytomia.

1 września 1939 roku wybuchła wojna. Już 3 września wojska niemieckie wkroczyły do Chorzowa, który – włączony 5 września do niemieckiej Rzeszy – otrzymuje nazwę Königshütte. W niedługim czasie pomnik Powstańca Śląskiego został usunięty. 26 stycznia 1945 roku armia Radziecka wkroczyła do Chorzowa. 20 października 1946 w nowej, „rządzonej przez lud” rzeczywistości na pozostałym po pomnikach Germanii i Powstańca Śląskiego cokole został odsłonięty pomnik – statua Orła Białego ku czci wszystkich powstańców, którzy oddali życie za ojczyznę. Ten prawidłowy, jak na owe czasy, orzeł nie miał korony. Oprócz chorzowskich przedsiębiorstw promotorami statui był Związek Weteranów Powstańców Śląskich oraz wicewojewoda płk Jerzy Ziętek. Pomnik Orła Białego stał przed budynkiem poczty do lat siedemdziesiątych. Obecnie w miejscu, gdzie stały te trzy pomniki, została wybudowana fontanna (1998), a na gmachu poczty wmurowano pamiątkową tablicę o treści:

W TYM MIEJSCU STAŁ POMNIK
POWSTAŃCA ŚLĄSKIEGO,
ZBURZONY W 1939 ROKU
PRZEZ HITLEROWCÓW.
W 1946 ROKU WZNIESIONO TU
STATUĘ ORŁA BIAŁEGO...

1 września 1971 w Chorzowie na placu gen. Aleksandra Zawadzkiego, a obecnie placu Powstańców Śląskich – z okazji

32. rocznicy agresji hitlerowskich Niemiec na Polskę oraz uczczenia 50. rocznicy III Powstania Śląskiego – odsłonięto odbudowany pomnik Powstańca Śląskiego. Autorami projektu pomnika byli śląscy artyści Henryk Goraj i Tadeusz Slimakowski. Pomnik miał być kopią tego wzniesionego w 1927 roku przed gmachem poczty, ale różnił się od niego tym, że postać kowala trzymała miecz wsparty o podłoże ostrzem do przodu.

Na tym można by skończyć historię pomnika Powstańca Śląskiego, ale jest jeszcze mało znany epizod związany z pomnikiem. W 2002 roku Pan Janusz Modrzyński świętował swój jubileusz – pięćdziesięciolecie pracy zawodowej. Był on wieloletnim dyrektorem Muzeum w Chorzowie, pasjonatem numizmatyki i medalierstwa, założycielem Stowarzyszenia Miłośników Chorzowa im. Juliusza Ligonia. Okrasą jubileuszu była wystawa w murach chorzowskiego Muzeum, prezentująca dorobek muzealny jubilata.

Wśród zgromadzonych eksponatów były zabytki z dziedziny numizmatyki, sztuki medalierstwa, militaria oraz malarstwa. Jeszcze przed oficjalnym otwarciem wystawy Pan Janusz oprowadził mnie po salach wystawowych. Zatrzymaliśmy się przed małą szklaną gablotą, w której był wystawiony rulon pośliskiego papieru zapisanego nazwiskami.

W połowie lat 1950., kiedy władze PRL zezwoliły na wyjazdy Ślązaków chcących się Niemcami do RFN, do muzeum kilka dni przed wyjazdem przyszedł niemłody już mężczyzna. Przyniósł ze sobą rulon pośliskiego, rozspującego się papieru, aby pozostawić go w muzeum. Była to lista imienna powstańców śląskich z Królewskiej Huty zawierająca 281 nazwisk, która została w dniu odsłonięcia pomnika (27.10.1927) umieszczona wewnątrz monumentu.

Ten wyjeżdżający z Polski Niemiec w pierwszych dniach września 1939 roku jako robotnik brał udział w budowaniu pomnika. Przypadkowo znalazł pamiątkowy rulon ze spisem powstańców i ukrył go, tym sposobem ratując ich przed represjami. Wręczając rulon ówczesnemu pracownikowi muzeum, Januszowi Modrzyńskiemu prosił, aby pozostał anonimowym darczyńcą.

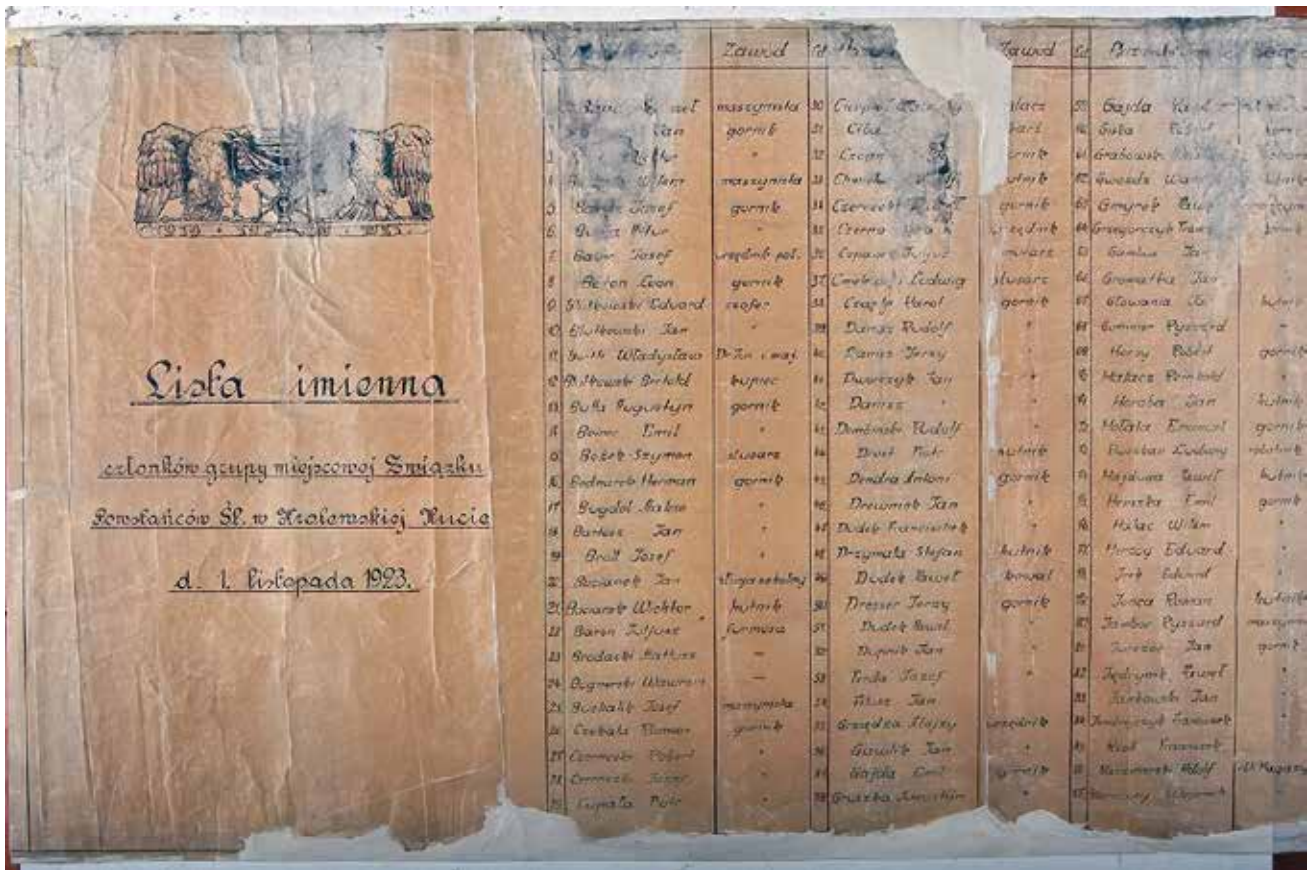
Dokument na swoim wstępie ozdobiony jest rysunkiem orłów polskich, trzymających w dziobach wstęgę krzyża Virtuti Militari. Pod krzyżem daty 1919–1920–1921 oraz tytuł: „Lista imienna członków grupy miejscowej Związku Powstańców Śl. w Królewskiej Hucie – 1. listopada 1923”. Na blisko dwumetrowej wstędze papieru wymieniono w porządku alfabetycznym 281 nazwisk powstańców. Obok wyszczególniono zawód. Nazwiska – typowe, do teraz często spotykane na Górnym Śląsku, a zawody to większość górników, potem hutników, ślusarzy, kowali, młynarzy, murarzy... Do rzadkości należy zawód kupiec czy urzędnik – jedynym zdaniem prosty lud śląski, dla którego przynależność Śląska do Polski była sprawą życia i śmierci.

Na końcu podpisy kilkudziesięciu oficjalistów. Te, których z rozpadającego się papieru nie wykrył ząb czasu – przeważnie mało czytelne (pisownia oryginalna) to: prezes Zw. Powst. Śl. gr. Miejsc., sekretarz, przodownik, zast. Prezesa, dowódca garnizonu – Tadeusz Wołkowiak ppułk, prezes Zw. Hallerczyków – Lasczuk, prezes Sokoła, burmistrz miasta, radca miasta, prezes gł. Zarz. Zw. Powst. – Karol Grzesik, były dow. 4p.p. Pow. Karol Gajdzik, proboszcz dr Ks. Wojciech, prezes Zw. Obr. Kr. Zach., były komisarz pleb., poseł i osiem jeszcze widocznych nieczytelnych podpisów. ■



Uroczystość odsłonięcia pomnika Powstańca Śląskiego, Królewska Huta, rok 1927.

ze zbiorów Muzeum w Chorzowie MChH/2629)



Lista imienna powstańców śląskich z Królewskiej Huty, 1923 rok. Muzeum w Chorzowie MChH/1457



Ustroński DWORZEC DOBRZYCH MYŚLI w dniu uroczystego otwarcia



W objęciach dworcowego niedźwiedzia



Kataryniarz umila czas zwiedzającym

– *Uczmy dzieci kochać misie, aby one w przyszłości umiały kochać ludzi* – głosi wzruszający napis na drzwiach wejściowych DWORCA DOBRYCH MYŚLI w Ustroniu. To magiczne i absolutnie niepowtarzalne miejsce u stóp Beskidu Śląskiego. Stary i zaniedbany dworzec kolejowy na popularnej niegdyś trasie Katowice-Wiśła przybrał teraz atrakcyjną postać unikatowego muzeum pluszowych (choć nie tylko) misiów.

Zawiadowcą, a zarazem pomysłodawcą i twórcą całego przedsięwzięcia, jest Bruno Zielonka, wywodzący się z Chorzowa zapaleniec, jakich naprawdę mało we współczesnym świecie. W otwartym pod koniec maja zeszłego roku ustronjskim muzeum zgromadził ponad 3 tysiące misiów, wykonanych z najrozmaitszych tworzyw konstrukcyjnych, w tym m.in. z drewna i porcelany. Warto sobie uzmysłowić, że to tylko niewielka część jego imponującej kolekcji złożonej w sumie z ok. 10 tysięcy eksponatów. W zbiorach dominują jednak zdecydowanie pluszaki.

Kolekcjoner pozytywnie zakręcony

Zielonka uchodzi w niektórych gremiach za ekscentrycznego dziwaka, ale ogromnie zyskuje w bezpośrednim kontakcie. Jest pozytywnie zakręcony na punkcie misiów, które są dla niego źródłem życiowej fascynacji. Najmniejsze cudeńko z jego kolekcji ma 2 mm wysokości. Największy egzemplarz liczy sobie natomiast prawie 10 m.

– *Żaden miś nie był w twoim życiu bez sensu, bo jeden był prezentem, a drugi doświadczeniem* – można przeczytać na jednej z muzealnych gablot z eksponatami. To z pewnością wielce pouczająca refleksja.

Niezwykły miłośnik misiów jest człowiekiem o wielowarstwowej biografii zawodowej. W przeszłości prowadził m.in. firmę transportowo-budowlaną, dysponującą ciężkimi pojazdami inżynieryjnymi. Miał również w swojej gestii prywatne wydawnictwo IT@TIS w Chorzowie. Nakładem tej oficyny ukazały się takie m.in. książki, jak „Pyk, pyk z fajeczki...” Zdzisława Pyzika, poety i autora tekstów lubianych piosenek z repertuaru zespo-



Zawiadowca u boku medalisty

Beskidzkie muzeum misiów Kustosz w roli... zawiadowcy

BRUNO ZIELONKA w rozmowie
ze ZBIGNIEWEM LUBOWSKIM

łu „Śląsk”, czy też „Śląsk pełną gębą” Jarosława Gibasa, felietonisty wyspecjalizowanego w opisywaniu uroków i mankamentów śląskich restauracji.

Od niemal pół wieku poszukiwał jednak nieustająco odpowiedniego miejsca dla ukochanych przez siebie misiów. Przed laty wyjawiał swoje credo życiowe na łamach jednej ze śląskich gazet lokalnych:

Nazywam się BRUNO, co oznacza niedźwiedz brunatny. Więc moje przeznaczenie jako pasjonata niedźwiedzi zostało wyznaczone już w dzieciństwie. Pomimo takiego imienia nie jestem aż tak niebezpieczny, jak to piękne zwierzę, ale mamy jednak ze sobą wiele wspólnego.

Najpierw pluszowe, a potem żywe misie zawsze były moimi przyjaciółmi. Podziwiam ich cechy. Mają wspaniały węch, a pomimo potężnej budowy i niezgrabnego chodu potrafią szybko biegać, zrećnie się wspinać i doskonale pływać.

Gdy ktoś je zaatakuje, potrafią stanąć na dwóch łapach i zaprezentować całą swoją potęgę. Niewiele jest stworzeń, które nie byłyby przerażone takim widokiem. Jednak pozostawione w spokoju poruszają się powoli i tak jak ja uwielbiają wygrzewać się na słończku i poleniuchować. Głodny niedźwiedz poluje lub łapie

w rzece smakowite łososie, ale chętnie też częstuje się słodkim miodem, nie zważając na rozwścieczone pszczoły. Zimą po prostu zasypiają w swoich gawrach i nie przejmują się chłodem i nieprzyjemnymi warunkami.

Kiedy na nie patrzę, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w niektórych aspektach moglibyśmy się czegoś od tych pięknych stworzeń nauczyć – powiedział niegdyś Zielonka w szczerzej rozmowie z chorzowskim dziennikarzem.

Misiowe zwierzenia zawiadowcy

Jego mozolne poszukiwania obiektu dla misiów obejmowały nie tylko teren Śląska. Zdołał ustalić, że na terenie kraju znajduje się aż 68 miejscowości i geograficznych zakątków, których nazwy zawierają w sobie słowa „miś” lub „niedźwiedz”. Postanowił przyjrzeć się im z bliska.

– *Czy to były dla Pana odległe podróże?* – zapytałśmy misiowego zapaleńca.

B.Z.: Dotarłem m.in. do małej wsi Misie na Lubelszczyźnie. Chciałem tam zaadaptować budynek starej szkoły do swoich potrzeb, ale okazało się, że będzie to niemożliwe. Rozważałem również pomysł muzealnego wykorzystania



Widowiskowi akrobaci



Dystyngowany kucharz

Jaskini Niedźwiedziej w masywie Śnieżnika w Sudetach. Z tego też nic nie wyszło. Ostatecznie wybrałem Ustroń, kierując się względami turystycznymi. Jest to przecież beskidzkie uzdrowisko odwiedzane przez licznych turystów. Uznałem, że muzeum misiów w takim miejscu może wzbudzić duże zainteresowanie społeczne.

– Kiedy rozpoczęły się prace remontowe w budynku ustrońskiego dworca?

– Stosowną umowę z kolejarzami w Katowicach podpisałem w listopadzie 2019 roku. Wybuch ogólnoswiatowej pandemii w marcu 2020 roku skomplikował mi jednak bardzo realizację zadania. Pochodzący z 1888 roku wysłużony obiekt był w dużej części zgnity i spróchniały. Adaptacja dworca dla potrzeb muzealnych okazała się dość kosztowna. Trzeba było m.in. zbudować wewnętrzne schody w budynku. Zainwestowałem sporo własnych pieniędzy w renowację obiektu. 29 maja 2021 roku DWORZEC DOBRYCH MYŚLI został wreszcie otwarty.

– Na terenie Ustronia są 3 stacje kolejowe. Żadna z nich nie pełni jednak swojej roli komunikacyjnej, bo nie kursują w ogóle pociągi z Katowic do Wisły. Czy sytuacja w tym względzie ulegnie zmianie?

– Wieść niesie, że pod koniec bieżącego roku komunikacja kolejowa na trasie do Wisły ma podobno zostać wznowiona. Dość zaawansowane są prace przy modernizacji wiślańskiej linii kolejowej. Mam cichą nadzieję, że po ewentualnym uruchomieniu pociągów w Beskidy nastaną dobre czasy dla ustrońskiego DWORCA DOBRYCH MYŚLI. Obiekt powinien wtedy zostać dostrzeżony przez pasażerów przyjeżdżających z Katowic, Warszawy i innych dużych miast. Osoby wysiadające z pociągów i kierujące się w stronę miasta będą przecież przechodzić obok budynku.

– A jak jest obecnie? Czy muzeum przyciąga uwagę zwiedzających?

– To zależy od wielu czynników, w tym zwłaszcza od pogody. Bywają jednak dni, w którym nie brakuje chętnych. Najwięcej jest wśród nich rodzin z małym dzieckiem. Oferujemy im bilety w preferencyjnych cenach. Wpływy ze sprzedaży biletów nie wystarczają czasami na pokrycie wszystkich istniejących kosztów. To wcale nie jest intratny biznes, jak twierdzą niektórzy.

– Skąd pochodzą misiowe eksponaty?

– Z całego niemal świata, m.in. z Australii, Meksyku, Wenezueli. Pierwszego misia otrzymałem od swojej prababci. Miałem wtedy 10 lat. Rozprułem go, by zobaczyć, co jest w środku. Bardzo potem żałowałem tego kroku. Nigdy później nie zdarzyło mi się zniszczyć żadnego z moich misiów. Kupowałem je m.in. podczas swoich podróży po świecie. Nie mało misiów trafiło do moich rąk od różnych ofiarodawców. Opowiadam o tym podczas oprowadzania po DWORCU DOBRYCH MYŚLI.

– Dlaczego nadał Pan akurat taką niekonwencjonalną nazwę swojemu muzeum?

– Na co dzień jesteśmy zabiegani i zestresowani. Stworzyłem więc enklawę ciszy i spokoju, pozwalającą na odpoczynek od kłopotów życia powszedniego. Kontakt z misiami zapewnia wspaniałą rekreację. Towarzyszą mi one od czasów wczesnej młodości, a tu w Ustroniu mam misie grube i chude, radosne i smutne, gadające i śpiewające. Są niedźwiedzie stołowe, biurkowe, kanapowe, łazienkowe (a także toaletowe), kuchenne i ogrodowe. Jest nawet miś „Anioł Stróż”. Były one obecne w życiu moich dzieci. Jessica i Sebastian chętnie się nimi bawiły i je przytulały. Dziś mają je moje wnuki. Misie są pięknym źródłem dobrych myśli.

Miłość bezgraniczna

Dziennikarska rozmowa z muzealnym kustoszem oryginalnego dworca przy padła na krótki okres przerwy w jego służbowych zajęciach. Zajmuje się on nie tylko oprowadzaniem zwiedzających po ustrońskim królestwie misiów, ale również obsługiwaniem klientów



Gitarzysta

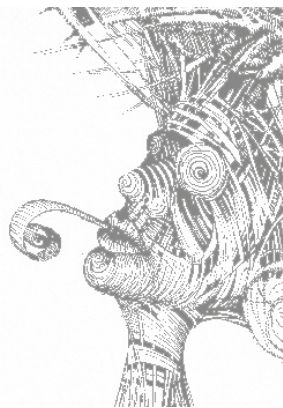
muzealnej kawiarenki oraz dworcowego sklepiku z sentymentalnymi pamiątkami. Nie brakuje mu rozmaitych (czasochłonnych) obowiązków. Nie traci jednak ani na chwilę pogodnego nastroju i uśmiechu na twarzy.

Bruno Zielonka kocha misie w sposób bezgraniczny. Nie ukrywa swoich uczuć. Nie zostaje się za swoją charakterystyczną czapką opatrzoną wymownym napisem: MAKE LOVE, NOT WAR. To nieśmiertelne hasło epoki hippisowskiej wpisuje się wyjątkowo trafnie w aktualne realia polityczne w Europie. Jest jednak przede wszystkim zapisem charakteru i osobowości niecodziennego kolekcjonera misiów, a jednocześnie właściciela największej na kontynencie europejskim niedźwiedziej kolekcji zabawek i przytulanki. Żegna się z wysłannikiem ŚLĄSKA niezwykłymi słowami:

– Czasami wolałbym być niedźwiedziem. Życie mogłoby być wtedy przyjemniejsze, a na pewno o wiele zdrowsze...



Parterowa część muzealnej kolekcji



ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

Mam wielki sentyment do Jastrzębia-Zdroju, bo od roku 2006 jestem patronem tamtejszej Szkoły Podstawowej nr 21, leżącej w rejonie miasta, który się nazywa *Dubielec* i sąsiaduje z *Dębinką*. To pierwsze określenie jest tak silnie utrwalone, że nawet przy imieniu i nazwisku długoletniego proboszcza parafii NMP Matki Sprawiedliwości i Miłości Społecznej Gerarda Grzesika w *Encyklopedii. Historii Kościoła na Śląsku* wydrukowano formułę „proboszcz w Dubielcu”, a nie „proboszcz w Jastrzębiu-Zdroju”.

Parę nazewniczą *Dubielec* – *Dębinka* odbieram tak jak pary typu *Mielno* – *Mielenko*, *Darłowo* – *Darłówek*, *Mosty* – *Mostki*, *Warszawa* – *Warszewka*, *Żyglin* – *Żyglinek*, *Kłodawa* – *Kłodawka*, *Osiek* – *Osieczek*, *Zary* – *Zarki*, *Tapkowice* – *Podtapkowice*, czyli jak nazwy blisko położonych obszarów, wzajemnie się semantycznie motywujące.

W *Dubielcu* i *Dębince* widzę określenia nawiązujące do realiów terenowych, a mówiąc ściślej – do *dębów*, przylegające znaczeniowo do takich nazw topograficznych, jak *Dąb*, *Dąbrowa*, *Dąbki*, *Dąbie*, *Dąbrówka*, *Dąbrówno*, *Dębe*, *Dębica*, *Dębno*, *Dębowiec*, *Dębsko*. „Podstawa *dąb-*, *dęb* – jest najpopularniejsza ze wszystkich drzew, bo aż ponad 700 razy powtarza się w nazwach topograficznych *Dębica*, *Dębno*, *Dębsko* itp.” – napisał w swym „Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL” z roku 1984 Stanisław Rospond.

Tę produktywność *dębu* widać także w licznych nazwiskach: *Dąb*, *Dąbski*, *Dębski*, *Dąbał*, *Dąbała*, *Dąbich*, *Dąbik*, *Dąbczak*, *Dąbek*, *Dąbka*, *Dębak*, *Dębisz*, *Dęboń*, *Dębor*, *Dębosz*, *Dębowiak*, *Dębowiec*, *Dębczak*, *Dębczyk*, *Dębek*, *Dębik*, *Dębiarz*, *Dębiec*, *Dębina*, *Dębin*, *Dębny*, *Dębniak*, *Dębnik*, *Dębowy*, *Dąbrowa*, *Dąbrowski* (Kazimierz Rymut: „Nazwiska Polaków”, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991, s. 106–107). Oczywiście – możliwe są pisowniane warianty z *-om-*, *-em* – (*Dombik*, *Dem-bik*), a także – zwłaszcza na Śląsku – z *-am* – (*Damboń*).

Dubielec i Dębinka w Jastrzębiu-Zdroju

We wszystkich tych tworach nazewniczych – geograficznych i osobowych – widzimy typową alternację (wymianę) samogłoskową *ą* : *ę* – znaną dobrze i wyrazom pospolitym: *dąb* – *dębu*, *ząb* – *zęba*, *krąg* – *kregu*, *wiązać* – *więź*, *piąty* – *pieć*, *dziesiąty* – *dziesięć*, *cząstka* – *część*, *piąstka* – *pięść*, *rączka* – *ręka*, *zakąsić* – *kęs*, *wstążka* – *wstęga* itp.

Ale tak jak w szeregach wyrazowych *Kęty* – *Kąty* – *Kutno*, *Kuty* (miejscowość na Ukrainie), *smęcić się* – *smuć się*, *smutek* – *smutek* albo *poręczyć* – *porucznik* dostrzegamy trzeci możliwy element tej alternacji głoskowej, a mianowicie samogłoskę *u*, tak widzimy go i w *Dubielcu* należącym do ciągu nazewniczego z „*u*”: *Dubielec* – jak *Dubicze*, *Dubiecko*, *Dubienka*, *Dubna*. Obecność w Jastrzębiu *Dębiny* obok *Dubielca* jest według mnie argumentem za „dębowym” pochodzeniem nie tylko pierwszej, ale i drugiej nazwy – również nawiązującej do realiów terenowych. Czytamy zresztą na s. 110 „Słownika etymologicznego języka polskiego” Wiesława Borysia z roku 2005: „*dąb* – rzadko też *dęb* i *dub*, czeski i rosyjski *dub*, prastawański *dąbr* – z praindoeuropejskiego *dhumbo* – „ciemny, koloru dymu, dymny” (por. gocki *dumbs*, staro-wysoko-niemiecki *tumb* „niemy” – z dawn. „niezrozumiały”, wcześn. „ciemny”; nazwa barwy od praindoeuropejskiej nazwy dymu *dhumo* (por. *dym*); drzewo nazwano zatem ze względu na charakterystyczne ciemnawe zabarwienie jego drewna”. Ileż tu zatem mamy form z „*u*” – z tą prymarną praindoeuropejską na czelu!

Z *Dubielcem* jednak trudno nie skojarzyć ewentualnej podstawy słowotwórczej *dubiel*. Rzeczownik ten to według Aleksandra Brücknera pożyczka z niem. *Doebel*, *Duebel*, dziś zapomniana, oznaczająca kiedyś „prostaka”, „głupka” („Słownik etymologiczny języka polskiego” Kraków 1927, s. 101). Znaczenie to potwierdza „Podręczny słownik dawnej polszczyzny” Stefana Reczka z roku 1968, hasło *dubiel* zaopatrując staropolskimi przykładami: „Głupi a grubi prości ludzie, dubielowie” (Słownik Jana Mączyńskiego z r. 1564), „Jeszcze się k temu naśmieję z prostego dubie-la” (Mikołaj Rej 1505–1569).

A i w przywołanych już dzisiaj „Nazwiskach Polaków” Kazimierza Rymuta czytamy na s. 110: „*Dubiel* 1785 – od *dubiel* „głupiec”: *Dubiela*, *Dubielak*, *Dubielczyk*, *Dubielko*, *Dubielecki*, *Dublasiewicz*, *Dublewicz*”.

Nie podważając tych wywodów, powtórzę: bliższa mi jest motywacja *Dubielca* od *dubu//dębu* – zarówno w kontekście „drzewnych” etymologii nazw typu *Dubiecko*, *Dubienko*, *Dubna*, jak i przede wszystkim z powodu położenia koło niego *Dębinki* – nazwy bezdyskusyjnie do *dębiny*, *dębu* nawiązującej. Jestem też prawie pewien, że niemieckie postacie *Doebel*, *Duebel*, od których według Brücknera pocho-

dzi *dubiel*, też oznaczały najpierw – zgodnie z rodowodem praindoeuropejskim (p. wyżej) – „coś ciemnego”, a dopiero wtórnie „kogoś ciemnego, prostaka”.

A skoro jesteśmy dziś w *Jastrzębiu*, dołączmy do niego strukturalnie identyczne nazwy *Turze*, *Orle* i *Wróble*, utworzone przyrostkiem *-e* od podstaw *jastrzęb*, *tur*, *orzeł*, *wróbel*. Pierwszy zapis *Jastrzębia* z roku 1467 – *Jastrzambie* – można z kolei skojarzyć z przytoczoną wyżej formą nazwiskową *Damboń*. Obie kryją w sobie literowe połączenie – *am-*, oddające dźwięk „a nosowe”. Bo był taki czas w polszczyźnie (mniej więcej XIV–XV w.), kiedy zniknęły z niej „e nosowe” i „o nosowe”, a w ich miejsce pojawiło się właśnie „a nosowe” (takie, jakie dziś staliśmy w wyrazach typu *awans*, *pasjans*, *mezalians*, *fajans*, *kwadrans*). Potem wróciły „e nosowe” i „o nosowe”, ale to dawne „a nosowe” znajdujemy w takich typowo śląskich nazwiskach, jak *Damboń* czy *Panchyrz*, *Bambynek*, *Stanchły*, *Kandzia*, *Kampa*, *Kansy*, *Gansiniec*, *Pandzioch*. Piętnastowieczny zapis *Jastrzambie* to również graficzne potwierdzenie dawnej wymowy (ciagle żywa jest ona na Opolszczyźnie, gdzie słyszy się brzmienia „gans”, *gansi*”, „zamb”, „zamy”, „Żandowice” – *gęś*, *gęsi*, *záb*, *zęby*, *Żędowice*).

I na koniec o pisowni *Jastrzębia-Zdroju*. Między dwoma członami tej nazwy umieściłem kreskę (łącznik), bo obowiązuje mnie oficjalne ustalenie, potwierdzone przez współczesne słowniki ortograficzne. Ale napisałem tak z bólem serca, bo jeszcze niedawno obowiązywały zapisy bez kreski, czyli *Jastrzębie Zdrój*, *Lądek Zdrój*, *Kudowa Zdrój*, *Polanica Zdrój* itp. Były one logiczne: wszak człon *Zdrój* jest podrzędny w stosunku do członów pierwszych, a takiej relacji nie wyraża się łącznikiem między dwoma elementami (piszemy przecież *Piekary Śląskie*, *Miasteczko Śląskie*, *Chełm Śląski*, *Chełm Lubelski*, *Tomaszów Mazowiecki*, *Tomaszów Bolesławiecki* bez kreski, bo będące przymiotnikami drugie człony tych nazw są podrzędne wobec wyrazów *Piekary*, *Miasteczko*, *Chełm*, *Tomaszów*). Co innego, gdy dwie odrębne miejscowości decyzyjną administracyjną scala się w jeden twór. Powstają wtedy zapisy *Bielsko-Biała*, *Skarżysko-Kamienna*, *Chełmno-Świecie*, *Kędzierzyn-Koźle* z łącznikiem logicznie wyrażającym współrzędność dwu członów składowych. By ludziom nie mieszać w głowach (???), nakazano przed paroma laty powrót do nieszczyśnej kreski w nazwach takich jak *Jastrzębie-Zdrój* czy *Świeradów-Zdrój*, choć podobno – jak głosi plotka funkcjonująca od lat w środowisku językoznawczym – pojawiła się ona w pierwszym ustaleniu tylko na skutek pomyłki protokolanta. Nie mam sił, a przede wszystkim cierpliwości, by po raz kolejny to komentować.

MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Kultura ludowa Bystronia

W 1947 roku nakładem zasłużonej oficyny „Trzaska, Evert, Michalski” ukazała się – dziś już niestety zapomniana – praca pt.: **Kultura Ludowa**. Było to drugie wydanie. Jej autorem był wybitny polski historyk, socjolog i etnograf **Jan Stanisław Bystron** (1892–1964). Postać prawdziwie zasłużona dla polskiej nauki i kultury. Autor wielu znakomitych prac, napisanych z początku XX wieku, jak i te fundamentalne ze schyłku międzywojnia, jak *Megalomania narodowa*, *Komizm* czy zwłaszcza *Dzieje obyczajów w dawniej Polsce. Wiek XVI–XVIII*. O jego zasługach przy opracowaniu pieśni śląskich (*Pieśni ludowe z polskiego Śląska*) ustawicznie przypominali Józef Ligęza, i Stefan Marian Stoiński. Przywołaną zaś książkę z 1947 **J. S. Bystron** dedykował pamięci trzem ważnym dla niego postaciom – dziadka po kądzieli, ojca i brata.

Upamiętniony dziadek to **Andrzej Cinciała**, znakomity śląski badacz kultury regionalnej, etnograf, wydawca, a także działacz narodowy na Śląsku Cieszyńskim, który urodził się w 1825 roku w Kozakowicach Górnych, a zmarł w 1898 roku w Cieszynie. Przyczynił się między innymi do powstania „Tygodnika Cieszyńskiego”, a ponadto był autorem cennych prac ludoznawczych, jak wy-

dane w 1885 roku *Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna czy Przystawia, przypowieści i ciekawsze zwroty językowe ludu polskiego na Śląsku, w księstwie Cieszynskiem*. I wspomnieć też należy cenne pamiętniki wydane już przez jego wnuka J. S. Bystronia w 1931 roku.

Jan Stanisław Bystron dedykuje przywołaną wyżej **Kulturę ludową** także **ojcu Janowi**, który też pochodzi z cieszyńskiej rodziny chłopskiej. Urodził się w 1860 roku w Dolnych Datyniach w powiecie Karwina, a zmarł w 1902 roku w Krakowie. Był językoznawcą i ludoznawcą. Dodajmy, że zawarł związek małżeński z Marią, córką wspomnianego Andrzeja Cinciały. I właśnie z tego związku urodził się syn – Jan Stanisław Bystron.

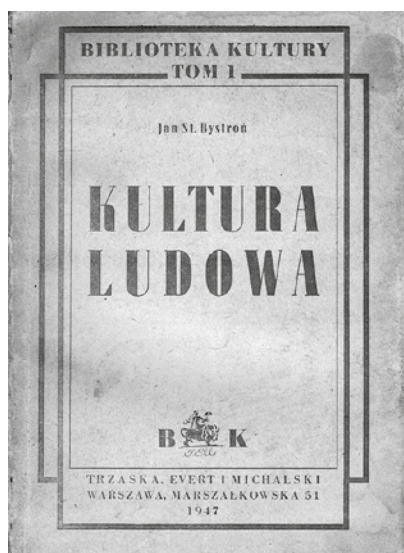
Intrygujące jest to, że Jan Bystron ojciec po ukończeniu szkół studiował slawistykę, germanistykę i filologię klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim, a już w 1886 roku obronił doktorat na podstawie pracy „O mowie polskiej w dorzeczu Stonawki i Łucyny w Księstwie Cieszyńskim”. To też – przypomnijmy – autor ciekawego studium „Rozbiór porównawczy znanych dotąd najdawniejszych tekstów Modlitwy Pańskiej, Pozdrowienia Anielskiego, Składu Apostolskiego i Dziesięciorga Przykazań” z 1885 roku. Pracował pod kierunkiem znakomitego Lucjana Malinowskiego, językoznawcy i badacza gwar śląskich. I dodajmy ojca **Bronisława Malinowskiego**, wybitnego etnologa w skali światowej, badacza Oceanii, którego dzieła – nie tylko *Życie seksualne dzikich* – z uporem studiowałem w jedynej w Polsce katedrze Oceanii zorganizowanej w Uniwersytecie we Wrocławiu, kierowanej przez prof. Aleksandra Lecha Godlewskiego, który też peregrynował i badał ludy na morzach południowych, pasjonująco o tym wykładał. Ale też opowiadał o swoim dziadku Mściławie Godlewskim, redaktorze naczelnym „Niwy” i „Słowa”; przyjacielu Henryka Sienkiewicza.

Swą pracę o kulturze ludowej Jan Stanisław Bystron dedykował także bratu, czyli prawnikowi, dr. **Andrzejowi By-**

stroniowi, który rodził się w 1891 roku w Ustroniu, a zginął w czasie I wojny światowej nad Togliamento w 1918 roku.

Jan Stanisław Bystron przywołując te postaci pisze: „Wspominając rodzinny Śląsk poświęca Autor”. Dodać tu trzeba, że dla tego wybitnego socjologa i etnografa Górny Śląsk był zawsze bardzo ważny, zarówno w kategoriach sentymentalnych, jak i naukowych oraz... patriotycznych.

Przywołując tę książkę należy kategorycznie stwierdzić, że dziś, mimo swoich wartościowych myśli, jest niestety zapomniana. Szkoda. Zawiera bowiem stwierdzenia i uwagi znaczące i ważne dzisiaj, dotyczy kanonów tradycyjnej kultury ludowej, ale jej autor sygnalizuje też dynamikę zmian zachodzących i odnotowanych współcześnie w pracy Roberta Garstki i Aleksandra Lyski pt.: *Czas niezwykły. Obrzędowość doroczna na Górnym Śląsku* wydanej w 2018 roku. Autorzy dostrzegają zachodzące zmiany w kulturze tradycyjnej, ich dynamikę i przyczyny, zauważają proces przeobrażeń obrzędowości, ich teatralizację. Dostrzegają, co sygnalizował w 1947 roku słynny etnograf, mianowicie „to, że życie jest niepowtarzalne; nowe warunki życia podrywają sens istnienia dawnych form i zmuszają do tworzenia nowych. Pewnie, że te warunki nie zmieniały się szybko, ale zawsze jednak ulegały one ewolucji, a wraz z nimi musiała także zmieniać się i tradycyjna kultura”. Badacz widział te zmiany już w latach międzywojnia, potem w latach gehenny II wojny światowej i niewątpliwie tuż po jej zakończeniu. To, co Bystron silnie zaakcentował i zarazem wskazał kierunek nowych badań wspomniani katowiccy autorzy dokumentują po badaniach empirycznych na przykładzie górnośląskim. O ile w dobie Andrzeja Cinciały i Jana Bystronia, częściowo nawet Jana Stanisława Bystronia, dominowała jednak kultura tradycyjna z kanonicznymi strukturami obrzędowości, zarówno dorocznej jak i rodzinnej to obecnie – żyjemy w dobie rozchwiania tradycji, dawnego systemu aksjologicznego, a także niestety i religii. ■



Poufny memoriał śląskich przemysłowców

JAN MALICKI

Buszowanie po niegdysiejszych antykwariatach, owych lamusach zawierających relikty świetności kultury dawnej książki; miejscach jej seniorowej godności, ma swój niepowtarzalny urok. Sięganie po coś nadgryzionego już zębem czasu, oczekiwanie odkrycia i... charakterystyczny a niezapomniany zapach. Obojętnie, czy w szalonym, nieuporządkowanym antykwariacie nieopodal Campo dei Fiori w Rzymie, czy na ogromnym placu w Kerkirze, czy w Katowicach u Pana Lacha przy ulicy Gliwickiej. Ten „antykwariat po schodkach” już nie istnieje. Idąc tam po książeczki dla dzieci, znaczki pocztowe, nie wiedziałem wtedy o tajemnicach tego przybytku; o poszukiwaniach w różnych miejscach, a zamawianych przez biblioteki cennych pozycji, których dzieje wyznaczały autografy dawnych właścicieli, wpisy i pieczątki stawiane na kartach tytułowych, tak trudno odczytywanych. A stąd już krok do frapujących badań nad proveniencją zabytku. Jednak wśród niezliczonych ksiąg i książek zawsze było takie miejsce, które rzadko było nawiedzane przez przypadkowych poszukiwaczy. Półki, gdzieś z boku, przyciągające wzrok swą niezliczoną ilością pozycji oraz kilkunastostrońnicowym, związłym tekstem. Cieniutkie broszury, drukowane na szarym papierze, już w momencie druku

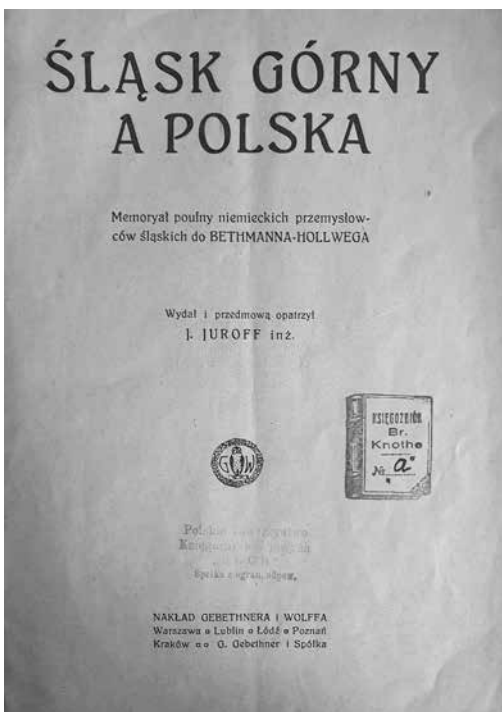
naznaczone piętnem unicestwienia. To groźny, niczym epidemia, kwaśny papier. Historyk literatury powie: literatura okolicznościowa, stara jak historia pisma. Dla mnie, bardziej precyzyjne byłoby określenie: okazjonalna. Jej przeznaczeniem jest bowiem uzupełnianie, przypomnienie, objaśnianie, odkrywanie przez znawców historycznych imponderabiliów, jakże często odległych od uniwersalnych prawd wielkiej historii.

Taką broszurą jest „Śląsk Górny a Polska. Memoriał poufny niemieckich przemysłowców śląskich do Bethmanna-Hollwega”, którą wydał w Warszawie w 1919 roku inż. Józef Juroff (1878–1950). To czas niezwykle ważny, acz poprzedzający późniejsze dyskusje, które tak interesująco i precyzyjnie przedstawił prof. Alojzy Czech w „Biuletynie PTE”. A jeśli jeszcze zwrócimy uwagę na zbieżność daty podpisania wstępu przez wydawcę – 15 maja 1919 roku i podpisanie traktatu pokojowego w Wersalu 28 czerwca 1919 roku, to wtedy wartość dokumentu niepomernie wzrasta. A przecież napisany we wrześniu 1916 roku i złożony na ręce Theobalda von Bethmann-Hollwega (1859–1921), kanclerza Rzeszy Niemieckiej i premiera Prus w latach 1909 do lipca 1917 roku, odnosił się wszak do rzeczywistości przeszłej. „Memoriał więc ten powinien był już chyba stracić swą aktualność. Tak zdawało by się! – pisał tłumacz – Że jednak żyjemy w czasach raptownych zmian i nieoczekiwanych zrządeń losu, a przede wszystkim przeżywamy czasy kształtowania się stosunków naszych do państw ościennych, przeto wszystko to, co niedawno nam zagrażało i co wczoraj zaledwie zmieniło się, nie powinno pójść w zapomnienie”. Czas pokazał, że tezy ogłoszone przez Górnośląskie Stowarzyszenie Górniczo-Hutnicze z Katowic oraz Izbę Handlową powiatu Opolskiego będą jeszcze długo powtarzane zarówno w przestrzeni: Rzesza Niemiecka – Polska (rosyjska – Rosja; jak też węższej: Górny Śląsk – Polska. Wyeliminowane są z tych rozważań Austro-Węgry. Nie da się w pełni streścić całego i w miarę precyzyjnie opracowanego wywodu, rozwa-

żającego różne sytuacje w zależności od skuteczności działań wojennych. Powstanie Państwa Polskiego jest już w poważnym stopniu deliberowane. I to na długo przed słynnym wystąpieniem Wojciecha Korfanteo przed parlamentem Rzeszy 25 października 1918 roku, gdy mówił: „Mamy roszczenia do polskich powiatów Górnośląska i Średniego Śląska – żadnego niemieckiego powiatu! – do Poznania, polskich Prus Zachodnich i polskich powiatów Prus Wschodnich”. Na co replikował przewodniczący: „Powinien Pan rozumieć, że nie wypada w niemieckim Reichstagu omawiać z tej trybuny kwestii podziału niemieckiej ziemi”. Jesteśmy jednak w roku 1916. Przemysłowcy i kupcy proponowali coś zupełnie innego. Po pierwsze – granica musi być przesunięta na wschód i objąć powiaty: będziński, wieluński, częstochowski, olkuski. Po drugie – musi być zapewniony zbył towarów do Rosji. W tym celu główne linie kolejowe włąb Polski i dalej do Rosji muszą znajdować się pod nadzorem Niemiec. Po trzecie – żywność ze wschodu przesyłana do stacji przeładunkowych w Sosnowcu i Mysłowicach (słynne lubelskie świnię) bez przeszkód trafiać miały do Niemiec. Te lubelskie były ponoć o niebo lepsze od świni z głębi Niemiec. Jaka była skuteczność owego memoriału? Nie wiem.

Ale mnie zainteresowały inne rzeczy. Dwie pieczątki na stronie tytułowej. Jedna – to znak własnościowy Bronisława Knothe (1881–1950), sosnowiczana wmięszkanego; od 1918 przez trzy lata wykładającego – pisze Tomasz Fortoński – język polski, łacinę oraz historię w Gimnazjum Macierzy Szkolnej. Komisarz Państwowego Urzędu d/s Jeńców na powiat będziński, członek Komitetu Głównego Niesienia Pomocy Ślązacom Zagłębia Dąbrowskiego poseł na Sejm z roku 1922. To jego egzemplarz. Zastanawia mnie jedynie wpisana jego ręką litera „a”.

Druga pieczętka już nie zaskakuje: „Polskie Towarzystwo Księgarni Kolejowych RUCH sp. z o. o.”. Zawsze jednak z sympatią myślę o pociągu bibliotecznym ze stacji Katowice Piotrowice. Symbolu przedwojennego szacunku dla książki i promocji czytelnictwa w całym województwie. ■



Jak czuje się Pan Profesor w pokojach, mieszkaniach bez książek? Muszę przyznać, że ja nieswojo i zawsze rozglądam się za nimi.

Nie przeżywam takich sytuacji, tak się składa, że trzy miejsca, w których najczęściej jestem, pełne są książek. Tytuły z grzbietów książek, nazwiska autorek, autorów krzyczą do mnie, upominają się o fragment lektury. Powiedziałbym, że nerwowo, ciągle ode mnie czegoś chcą.

Czy Dyrektor Biblioteki Śląskiej ma swoją bibliotekę domową? Jak wygląda? Ile pokoi zajmuje?

Wracamy zatem do sytuacji krzyku z półek: mam, można powiedzieć, w trzech miejscach trzy księgozbiory. Należałoby to wszystko pomnożyć o tysiące, mielibyśmy wtedy chór głosów. A w tej chwili najmocniejsze byłyby na przykład Idziego Rzymianina *Twierdzenia o istnieniu i istocie*, Jarka Szubrychta *Życie, bierz mnie*, *Biografia Andrzeja Zauchy* i Erica Voegelina, amerykańskiego myśliciela, *Świat polis*. Chyba najbardziej niezwykle jest to, że każda książka, tak mi się wydaje, chce ode mnie tyle samo uwagi, tyle samo czasu.

Od jak dawna korzysta Pan Profesor z e-booka? Czy jutro należy do cyfryzacji, a kontakt z papierową książką to już kwestia przeszłości? Co z jej zapachem? Z przyjemnością przeglądania, studiowania z tym, że grzbiety książek wabią nas z półek?

Z czytelnika e-booków korzystam intensywnie od grudnia zeszłego roku, między innymi dlatego, że pogarsza mi się wzrok. Zaczęłam moją namietność e-bookową od wielkiego zjawiska, jakim jest biografia Paula Celana *Tam, za kasztanami, jest świat* autorstwa Anny Arno.

Nie wiem, czy książka tradycyjna, papierowa zwiększa zmysłowość. Lektura jest dla mnie zmysłowa. W niej spotykam dawnych poetów, świeże zapachy, egzotyczne ptaki i łacińskie słowa albo te niemieckie Paula Celana, choć jak gdyby wypowiedziane spoza jakiegokolwiek języka.

Jak zatem będzie wyglądała biblioteka przyszłości? Kiedy wpisałem to hasło w wyszukiwarkę, zawsze obok pojawiało się słowo „konkurs”. Mamy więc do czynienia jeszcze z ideą?

Idea cyfryzacji, procesy związane z digitalizacją to nie przyszłość, to teraz. Kwestią jest tylko, jak my będziemy czytać, odnosić się do danych, konstruować nasze relacje i dialogi. Digitarium to nie duma, to wielki wysiłek przenoszenia świata w świat. To narzędzie, które dumaniu, interpretacji, porównywaniu danych pomaga i rozwija naszą wiedzę.

Umberto Eco w swoim świetnym, prześmiewczym wykładzie O bibliotece w dziewiętnastopunktowym wzorcu złej biblioteki napisał: „w sytuacji idealnej czytelnikowi nie powinno przysługiwać prawo wstępu do biblioteki; zakładając jednak, że wtargnął, nadużywając w małosłowny i mało sympatyczny sposób swobód przyznanych mu na podstawie zasad roku 1789, które jednak nie zostały jeszcze przyswojone przez zbiorową wrażliwość, w żadnym razie nie może i nigdy nie będzie mógł mieć



Biblioteka jak dawne Toledo

Z prof. ZBIGNIEWEM KADŁUBKIEM – dyrektorem Biblioteki Śląskiej w Katowicach rozmawia PIOTR SKOWRONEK

dostępu do półek z książkami – poza pośpiesznym przemknięciem przez bibliotekę podręczną”. Dzisiaj nowoczesne księżnice nagradzane są za realizację idei przestrzeni publicznej. Czy to nie kolejna skrajność?

Nie, przecież Umberto Eco by się nie mylił. Ale całkiem serio: biblioteka jest funkcją, a nie zbiornikiem tekstów, książek, publikacji. Funkcja ta się zmienia i bardzo wiele zależy od bibliotekarek, bibliotekarzy, jakie stworzymy miejsca spotkań czytelników i książek. Bibliotekarze są tymi, którzy przynoszą tylko zaproszenia do czytania. Od czytelników zależy, jak bardzo chcielibyśmy powiększać biblioteki, czynić je prawie nieskończonymi. **Jak radzi sobie z przyszłością Biblioteka Śląska? Na jakie funkcje rozpisuje swoje nowe zadania?**

Z przyszłością sobie nikt nie radzi, bo wiemy, że jest nieoczekiwana. Mamy natomiast strategię, chcielibyśmy w kilku polach zwiększyć aktywność naszych czytelników – zwiększywszy wprawdzie aktywność naszych pracowników. Chcielibyśmy, żeby do Biblioteki Śląskiej w jej stulecie przychodzili czytelnicy na stare, odskulowe spotkania z uniwersalną sztuką słowa, czyli literaturą. Ale chcielibyśmy też działać w obszarach nieoczywistych. Chcielibyśmy również sprawniej, bardziej elegancko, bardziej komfortowo obsługiwać czytelników w tradycyjnym udostępnianiu książek, stąd między innymi pomysł na księżkomat, stąd wiele remontów i naprawa infrastruktury Biblioteki Śląskiej. Chcemy być stuletnią biblioteką, ale całkowicie młodą, pełną kondycji, zdrowia, werwy.

Ważną funkcją jest funkcja translatorska. Biblioteka to rodzaj pracowni przekładu jak dawne Toledo. To nasza ambicja, żeby dawne, zapomniane

albo napisane w mniejszych językach teksty przedstawiać publiczności we współczesnej polszczyźnie. Zawalczyć w ten sposób o tradycję i jednocześnie widnokregi przyszłości.

Jak przygotowuje się młodych czytelników do korzystania z nowoczesnej biblioteki? Czy może stać się ona dla nich przegadą?

Na przykład młodych czytelników zapraszamy na cykliczne spotkania z komiksem w ramach Śląskiej Akademii Komiksu. Dajemy miejsce obrazowi, bo wiemy, jak ważna byłaby w dzisiejszym odbiorze ikona. Ale nie odpuszczamy ze słowem. **Jak łączy Pan Profesor pracę dyrektora instytucji i naukowca?**

Lubię patrzeć na makolągwy. A na Wydziale Humanistycznym, teraz już poza ornitologią, ale dalej o śpiewaniu, prowadzę zajęcia na Międzynarodowych Studiach Polskich, które się nazywają Europa wspólnot i regionów. Bardzo mi się podoba formuła tego wykładu, w którym uczestniczą młodzi ludzie z kilkunastu krajów świata. Opowiadamy sobie o miejscach, w których żyjemy, o dziwnych językach, w których mówimy i śmiejemy się z tego, co wydawało nam się naszą unikatową tożsamością. Ale Europa pozostaje interesującą wspólnotą, a nawet, powiedziałbym, rodzajem daru.

Największe marzenie dyrektora Biblioteki Śląskiej?

Przeczytać spokojnie, wolno, po grecku *Obronę Sokratesa* Platona i może spróbować ją przełożyć na jakiś inny język, jeszcze nie wiem jaki.

Czego życzyć Bibliotece Śląskiej w rocznicę stulecia jej założenia?

Mądrych, dobrych, miłych, uprzejmych, mówiących różnymi językami, kochających sztukę oraz rozmowę bibliotekarek i bibliotekarzy.

Zdługiej listy redaktorów naczelnych „Dziennika” najbardziej na przypomnienie zasługuje red. Bronisław Schmidt-Kowalski, najdłużej panujący, za którego szefowania gazeta przechodziła swój renesans. Niewątpliwie założyciel DZ, red. Stanisław Ziemia byłby z tego bardzo rad.

Bo jeżeli ktoś wywarł duży wpływ na oblicze „Dziennika Zachodniego”, to na pewno był nim redaktor Bronisław Schmidt-Kowalski, który panował – tak to właściwe słowo – „Dziennikowi” przez niemal 25 lat.

„Mógłbym przytoczyć mnóstwo faktów i zdarzeń, wstrząsających i znamienitych, ponurawych, ale też komicznych, a jeszcze więcej anegdot, lecz już poza protokołem lub gdy DZ doczeka się swojej monografii, bo tego wart” – pisał z szelmowskim uśmiechem niezapomniany B. Schmidt-Kowalski.

Kim była postać, która wywarła tak ogromny wpływ na kształt gazety? Bronisław Schmidt-Kowalski, związany m.in. z „Gazetą Poznańską”, propozycję kierowania DZ przyjął w listopadzie 1956 roku. Formalnie został zatrudniony na stanowisku redaktora naczelnego od 1 lutego 1957 i pełnił tę funkcję aż do 31 sierpnia 1981 roku. Umowa została podpisana ze Śląskim Wydawnictwem Prasowym. Kowalski miał wtedy 31 lat. Urodził się 8 lutego 1926 roku w Środzie Wielkopolskiej. W Brynowie zamieszkał na ul. Drozdów 96.

Mimo młodego wieku, Schmidt-Kowalski miał już spore doświadczenie zawodowe. Warto wspomnieć, że w czasie wojny zatrudniony był w charakterze pomocnika biurowego w Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Środzie (lata 1941–1943). Natomiast od marca do grudnia 1945 pracował w redakcji „Głosu Wielkopolskiego”. W redakcji „Polski Ludowej” był kolejno aplikantem (od 1 grudnia 1945 r. do 1 grudnia 1946 r.), dziennikarzem (do 29 lutego 1948 roku), a następnie redaktorem działu. W 1948 roku prowadził w „Expressie Poznańskim” dział rolniczo-ogrodniczy. Był także komentatorem politycznym i gospo-



...a z kim się to redaktor naczelny B. Schmidt-Kowalski nie znał?! Tu na zdjęciu bruderszafik z towarzyszem Grudniem...



Bronisław Schmidt-Kowalski, redaktor totalny i jego dziennikowa orkiestra

Dwie kosy Dziennika Następca

GRZEGORZ SZTOLER

darczym tego dziennika. Od 1948 roku aż do 1952 roku pracuje w Wojewódzkim Urzędzie Kontroli Prasy.

Czym zastąpił się „Dziennikowi”?

Za jego kadencji (w sumie niemal ćwierć wieku redaktorskiej harówki, od 1957 do 1981 roku) DZ potroił przeciętny, dzienny nakład gazety do 200 tysięcy egzemplarzy. A dokładnie, jak twierdził naczelny, „średni nakład DZ został podniesiony z 52 tys. egz. jednorazowo do 240 tys. egz. jednorazowo, a wydań niedzielnych ze 112 tys. egz. do 340 tys. egz.” Uruchomiono osiem oddziałów lokalnych na terenie województwa i Opolszczyzny (tam ukazywał się „Opolski Dziennik Zachodni”). Z opinii o naczelnym dowiadujemy się, że DZ poprawił swoje notowania m.in. poprzez „...inicjatywy organizatorskie, upowszechnianie dobrych przykładów, twórczą krytykę, zyskał duże zaufanie i poczytność..., zajęcie piątego miejsca pod względem zyskowności wśród dzienników RSW Prasa-Książka-Ruch”. Z jego inspiracji DZ patronował dwóm stałym imprezom kulturalnym: „Katowickiej Ziemi” – dorocznemu przeglądowi twórczości kulturalnej oraz „Tygodniowi Kultury Beskidzkiej”. Do tej charakterystyki dochodzi cała przyznana mu kolekcja medali i odznaczeń.

„Pozyśkałem 300 stałych współpracowników ze środowisk inteligentnych – wymienia dalej Schmidt-Kowalski. – Doprowadziłem pismo do dużej zyskowności, przygotowałem do zawodu około 200 absolwentów

różnych kierunków studiów etc.” To robi wrażenie. Naczelny był tytanem pracy. Do 1981 roku, kiedy z powodów politycznych pozbawiono go tej funkcji. – Zbiegło się to w czasie ze strajkami, czasami Solidarności – wspomina emerytowany dziennikarz. – Kowalski trzymał zespół twardą ręką. Nie liczył się ze zdaniem kolegium. To właśnie mu wypominano. Miał silne oparcie w komitecie i nikogo się nie bał. Mawiał, że teksty „serwitutowe” w gazecie muszą być, bo takie są czasy. Ale za niego gazeta wyrosła i nabrała charakteru. Pisał do niej m.in. Wilhelm Szewczyk, który tak jak naczelny znał się na sprawach niemieckich i umiał je w sposób wyważony podać.

Wotum nieufności

Na jednym z zebrań zespół redakcyjny wyraził wotum nieufności dla swojego wieloletniego szefa. Miał mu za złe autorytaryzm. Przemawiali kolejno podwładni Kowalskiego, koledzy i koleżanki po piórze. Wypominano mu nawet, że w jego garażu stoi redakcyjny pojazd. Owszem stał, ale na kołkach, na wszelki wypadek jako pojazd zapasowy, bo naczelny poruszał gruchotem, który w każdej chwili groził awarią. „A co ja załatwię, jak nie będzie czym jeździć? Skąd wziąć dewizowe części?” – usprawiedliwiał się Kowalski. Protokół ze spotkania zwołanego 23 kwietnia 1981 roku przez Podstawową Organizację Partijną działającą przy redakcji DZ liczył kilkanaście stron. Dyskutowano o realizacji uchwały POP z 23 stycznia 1981



... a tu na 25-leciu „Dziennika” w 1970 roku z towarzyszem Edwardem Gierkiem. Dodajmy, że Maryla Rodowicz też była i śpiewała...

roku, która dotyczyła zapewnienia kolegalności w kierowaniu gazetą. Kowalski, któremu zarzucano autokratyczne rządy, bronił się: „– To próba demonizowania mojej osoby, wyolbrzymiania moich możliwości i mojej złej woli... W naszej Redakcji mieliśmy wielu okłaskatorów polityki sukcesu, których musiałem chwalić i nagradzać. A mój autokratyzm był dla nich wygodny, skoro nie starali się go przełamać... Dotychczas było tak, że większość Kolegium Redakcyjnego pilnowała własnej karty wierszówkowej. A przecież ani wtedy, ani dziś nie ma warunków na to, by zadowolić wszystkie apetyty... Byłem zawsze rzecznikiem integracji zespołu. Mówiłem: unikajmy wzajemnych ataków, zmian personalnych. W odpowiedzi słyszałem: »Wszędzie się zmienia, a u nas nie«. Padł zarzut pod moim adresem o zastraszaniu pracowników... Kolegalność rozumiem jako współmyślenie i współtworzenie gazety. I tego musimy się wciąż uczyć. Bo nadal trudno na przykład wygzekwować propozycje tematyczne od tych, którzy powinni je dawać... Nie przeraża mnie fakt przekazania materiałów w zebrań partyjnych w dniu 23 stycznia, 27 lutego i 23 kwietnia oraz posiedzenia Egzekutywy w dniu 27 lutego do Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Złożę tam szersze wyjaśnienia... Czy to ma być rozliczanie redaktora Kowalskiego, czy Egzekutywy z jej pracy?... Mam ludzką prośbę. Proszę nie próbować robić ze mnie przestępcy, demona, człowieka złej woli. Ostatnie 10 lat nie było dla mnie łatwe. Deptano mi po mózgu. Byli w redakcji tacy, którzy w tym pomagali... Jeszcze we wrześniu 1980 roku nikt nie upominał się kolegalność. Jak myślę dlatego, bo wygodnie się żyło... Ja sam burzę mózgow nie zrobię. Potrzeba do tego wielu. Naczelny nie jest cudotwórcą... Oświadczam, że bardzo trudno przychodziło mi realizować postanowienia uchwały zebrania partyjnego. Wiele osób nie chciało ze mną współpracować... Chciałem odejść ze stanowiska naczelnego redaktora

na wiosnę 1978 roku, kiedy to nie zgadzano się dość powszechnie z polityką w skali ogólnopolskiej, a z polityką Zdzisława Grudnia w szczególności. Grozono mi wtedy wyrzuceniem z Partii... Staram się o odejście. Chcę, żeby mi to umożliwiono. Ale nie w charakterze bezrobotnego redaktora naczelnego... Gorzki jest ten bilans. Płacę za to, że byłem zbyt lojalny. Po 36 latach mojej pracy dziennikarskiej, w tym 33 latach na stanowiskach kierowniczych, należy chyba mi się, abym nie myślał z goryczą o moich tu spędzonych latach. Nie dopuszczę jednak, żebym odszedł stąd upokorzony i ośmieszony. Będę się bronił.”

Te obszerne cytaty z wypowiedzi Schmidta-Kowalskiego, świadczą o tym, że atmosfera zebrania była ciężka. Decyzja o jego odwołaniu ze stanowiska szefa DZ była właściwie przesądzona. I był to też gwóźdź do jego trumny. Dziennik był dla niego wszyst-



Naczelny DZ czuł się animatorem życia literackiego w Katowicach. To jeden z przykładów. Otyły jegomość obok red. Schmidta-Kowalskiego to sam Wilhelm Szewczyk przecież, pisarz którego felietony gościły przez lata na łamach DZ

kim. Poświęcił mu szmat swojego życia. Dla tego schorowanego człowieka decyzja ze społu – który przecież stworzył – była głęboko niesprawiedliwa.

Jeszcze kilka lat po wyrzuceniu, w 1989 roku, Schmidt-Kowalski domagał się przywrócenia go do pracy dziennikarskiej, argumentując: „Ponieważ kierownictwu Wydawnictwa nadto dobrze znane są warunki i okoliczności, w jakich pozbawiono mnie możliwości wykonywania umowy o pracę, nie widzę powodu szerszego uzasadnienia niniejszego wystąpienia. Mam 63 lata, jestem w pełni sprawny, chciałbym więc czas do osiągnięcia faktycznego wieku emerytalnego przepracować w swoim zawodzie”. Odpowiedź Śląskiego Wydawnictwa Prasowego była jednak negatywna.

Mistrz i uczniowie

Wieloletni naczelny „Dziennika” wychował kilka dziennikarskich pokoleń.

– Kiedy jest mi ciężko, chodzę na cmentarz przy ul. Francuskiej w Katowicach na grób mojego pierwszego szefa, by się pomodlić – wspominała mi swego czasu Jadwiga Jenczelewska-Różycka, ulubiona dziennikarka „Bronka”. – To był wielki człowiek. Pamiętam, że niektórych z nas raził autorytarny sposób rządzenia gazetą. Kiedy naczelny pojawiał się w naszym pokoju, proponowałam, by usiadł w fotelu. Mówił wtedy: „Dziękuję, jestem u siebie”. Taki właśnie był. Całą redakcję traktował jak swoją własność. Młodsze pokolenie dziennikarzy, których zresztą sam wychował, miało mu za złe, że nie dzielił się decyzjami, odpowiedzialnością za nie z całym kolegium. Zresztą kolegium redakcyjne za Kowalskiego to była czysta fikcja. Istniało tylko na papierze. Sytuacja polityczna w kraju w 1981 roku sprzyjała zmianom. Przewrót się dokonał i Kowalski już w sierpniu tamtego roku musiał odejść na wcześniejszą emeryturę, choć na pewno robił to z ciężkim sercem. Zresztą „wy-

wrotowcy” też długo nie porządzili, bo po wprowadzeniu stanu wojennego partia znowu zacinęła cugle i skończyły się krótkie czasy dziennikarskiej swobody.

„Był człowiekiem legendą – pisał we wspomnieniu o nim Stanisław Bubin. – Funkcjonował w wielu anegdotach dziennikarskich pokoleń. Sam też uwielbiał tworzyć i opowiadać zabawne historie”.

Witold Pustułka: – Dzieliła nas 40-letnia różnica wieku, mimo to rozmawiało mi się z nim, jak z rówieśnikiem. Wypytywał ostatnio, na jakim komputerze pracuję, w jakim piśmie programie, czy korzystam z internetu. Zwracał uwagę na błędy i uchybienia w moich tekstach. Mimo że nawet przez sekundę nie był moim przełożonym, przyjmowałem jego uwagi z największą pokorą, przyznając mu w duchu rację. Miał jedną, jedyną szczególną cechę, którą zapamiętam do końca życia. Miał osobowość...

– Myślał perspektywicznie i tego wielu nie było w stanie pojąć. Na tym polega jego wielkość. Umiał przewidywać trudne chwile – wspomina emerytowany dziennikarz.

Ale dlaczego nie przewidział swojego końca? – To była trudna demokracja – podkreśla emerytowany dziennikarz. – Ale była. Naczelny musiał liczyć się z związkami zawodowymi, stowarzyszeniem dziennikarzy jak i opinią odpowiedniej komórki partyjnej. Teraz nie ma nawet związków zawodowych, a stowarzyszenia nie mają takiej siły przebicia.

Wiadomo, że jedną z pasji redaktora Kowalskiego były zajęcia ze studentami. Prowadził bowiem wykłady na specjalizacji dziennikarskiej Uniwersytetu Śląskiego. Przykładał się nawet do napisania pracy doktorskiej, ale nic z tego nie wyszło. – Poznałem Go na studiach, gdzie uczył mnie prawa prasowego i etyki dziennikarskiej. Zamiast kodeksów i przepisów uczył mnie jednak reporterskiego życia – wspomina Witold Pustułka, dziennikarz DZ.

Mimo całej surowości, Kowalski był życzliwym człowiekiem. Potrafił na przykład napić się z solenizantem wódki i najnormalniej w świecie pogadać. Nie stwarzał dystansu. Ale też jego podwładni doskonale wiedzieli, na ile sobie mogą pozwolić. – Każdego zdolniejszego dziennikarza kupowała „Trybuna Robotnicza”. Tam były lepsze wierszówki. Można było dostać talon na samochód. Wysyłało korespondentów na placówki zagraniczne np. do Pragi czy Szanghaju. A w „Dzienniku” nie można było na to liczyć. Kowalski mawiał: „potrzebuję dziennikarza tu na miejscu, a nie zagranicą” – opisuje ówczesne realia jeden z byłych dziennikarzy.

Jadwiga Jenczelewska-Różycka: – Był autorem wielu dosadnych powiedzeń. „Dziennikarz tak jak prostytutka pracuje na ulicy, bo za to mu płacą” lub: „Nie ma złych tematów, są tylko źli dziennikarze” – mawiał.

Krzysztof Franek, były publicysta DZ:

– To był twardy szef i nieraz miałem problemy, a że lojalność mam we krwi, więc mnie uodpornił. To był świetny fachowiec...

Danuta Troszeńska, sekretarka naczelnego w latach 1965–1981:

– Był wymagającym, a nawet surowym szefem, ale wiele się od niego nauczyłam. Mogę powiedzieć, że ukształtował moją osobowość.

Wieloletnia publicystka, Teresa Czarnik-Sojkowa podkreśla, że Schmidt-Kowalski „jako naczelny pozwalał publicystom na dużą swobodę. Zdawał sobie sprawę, że jeśli publicystyka będzie wiernopoddańcza, to nie trafi do czytelników. Dlatego, na ile to było możliwe w ówczesnej sytuacji, dopuszczał dużą dozę krytycyzmu wobec opisywanej rzeczywistości. Dlatego DZ był czytany, a jego publicystykę honorowano prestiżowymi nagrodami stowarzyszeniowymi, a także przyznawanymi podczas ogólnopolskich konkursów dziennikarskich”.

Niezależność zespołu dziennikarskiego Schmidta-Kowalskiego umocniona była jego znajomością z ówczesnymi notablami partyjnymi, jak choćby z wojewodą Jerzym Ziętkiem, który bardzo szanował naczelnego. Dlatego, jak pisze Stanisław Bubin, Kowalski nie lękał się żadnych „komitetowych pieszków”, choć – jak już powiedziano – doskonale wiedział, że tzw. teksty serwitutowe wobec przewodniej siły narodu w gazecie muszą się znaleźć. Tak by uciszyć cenzurę, a swoim dziennikarzom pozwolić na luźniejszą publicystykę. Za jego kadencji gazeta nie stała się partyjną gazetą, pełną sprawozdań z egzekutyw i posiedzeń partii komunistycznej, ale prawdziwym dochodowym przedsiębiorstwem, efektywniejszym od niejednej kopalni. Jak podkreślają jego dawni współpracownicy, zasługą Schmidta-Kowalskiego jest to, że niewielki „Dziennik” zdeptyany przez lata stalinizmu wyrósł ponownie na gazetę pewną, solidną i dochodową. Naczelny udowodnił, że na prasie można zarabiać...

Schmidt-Kowalski, mimo swojego autokratyzmu, stworzył prawdziwie rodzinny zespół dziennikarski, którym umiał kierować i w razie czego bronić.

– My, młodzi dziennikarze, wiedzieliśmy, że możemy na niego liczyć w trudnych chwilach. Jeśli Redaktor był pewien, że racja leży po stronie dziennikarza, bronił go za ciekłe. Miał ciężką rękę od tych, co się lenili w robocie, ale potrafił docenić pracowitych i zdolnych – podkreśla Stanisław Bubin.

Schmidt-Kowalski, nawet jako emeryt, pełen był niespożytej energii. W latach 90. był twórcą i redaktorem naczelnym samorządowej gazety „Gminne Racje” w Pawłowicach. Można go było zastać na każdej sesji, a byłego naczelnego DZ szczególnie setnie bawiły wszelkie zabawne sytuacje związane z reakcjami radnych na materiały zamieszczane w jego (tak, właśnie tak) niemal autorskiej gazecie. Nie wiadomo jak władzom Pawłowic udało się ściągnąć do gminy takiego fachowca...

„Po przejściu na emeryturę nadal aktywnie uczestniczył w życiu środowiska dziennikarskiego – zapisano w nekrologu. – Zawsze chętnie służył radą i pomocą młodszym kolegom, dzielił się swym wielkim doświadczeniem zawodowym i życiowym. Uczył dziennikarstwa na Uniwersytecie Ślą-



Redakcja DZ mieściła się przez dekady, od końca lat 60. w Domu Prasy w Katowicach aż do piętnego marca 2009 roku. Czy przeprowadzka do Sosnowca-Milowic była dobrą decyzją? Autor artykułu nigdy nie ukrywał tęsknoty za dawną siedzibą i czasami...

skim. Brał czynny udział w pracach Stowarzyszenia Dziennikarzy RP. Swoim odejściem zaskoczył nas tak, jak zaskakiwał przez całe życie. Jakby chciał, aby i jego śmierć obrosła legendą...

Nie odbyło się wiele oczekiwanych rozmów i spotkań. Takie jak to, z Małgorzatą Wereką, którą były naczelny zapraszał w wolnej chwili na dłuższą rozmowę. Prosił, by o nim pamiętać. Niestety, życie pisze własne scenariusze. Redaktor Bronisław Schmidt-Kowalski zmarł nagle w sobotę 3 czerwca 2000 roku. Kilka miesięcy wcześniej uczestniczył jeszcze w jubileuszu 55-lecia gazety, której był wieloletnim szefem. „Popłynęły wspomnienia” – zapisał red S. Bubin.

A w wymownym, choć krótkim „Pożegnaniu Bronisława Schmidta-Kowalskiego” jakie znalazło się na łamach „Śląska” z lipca 2000 roku, czytamy:

„Był wieloletnim redaktorem naczelnym »Dziennika Zachodniego« (o którym ciągle mówił »mój Dziennik«) i wykładowcą Uniwersytetu Śląskiego. Redaktorem naczelnym został w 1956 roku i kierował tą gazetą do września 1981 roku. Stał się jeszcze za życia legendą. Wielką popularnością cieszył się nie tylko w środowisku dziennikarskim. Stworzył kuźnię talentów dziennikarskich, zwaną »szkołą Kowalskiego«. Uczył nie tylko podstawowych zasad dobrego dziennikarstwa ale także etyki i odpowiedzialności za słowo. Miał wśród swoich wychowanków i współpracowników opinię twardego szefa, ale potrafiącego docenić dobry warsztat i pracowitość. Na wiadomość o śmierci »Szefa«, jak go nazywali, mówili zgodnie: dziś takich szefów już nie ma. Powszechnie szanowany, tak w kręgach dziennikarskich jak i politycznych, odszedł na zawsze, zaskakując po raz kolejny. Spełniło się to, o czym mówił za życia, że nigdy nie chciałby od nikogo zależeć. Tę maksymę stosował przez wszystkie lata swego życia”.

Nic dodać, nic ująć.

Zagłębianin, nieustrudzony patriota, wielki duchowny Służył Bogu i Polsce

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

W sierpniu br. w bazylice Matki Boskiej Anielskiej w Dąbrowie Górniczej zostanie odsłonięta tablica pamiątkowa abp. Jana Cieplaka (1857–1926), Sługi Bożego, który przyszedł na świat w dąbrowskiej kolonii Reden. Był profesorem Akademii Duchownej w Petersburgu, sufraganem i administratorem archidiecezji mohylewskiej w Rosji, arcybiskupem nominatem Archidiecezji Wileńskiej. Za działalność patriotyczną został skazany w 1923 r. na śmierć przed sądem bolszewickim. Zmarł w czasie wizytacji parafii w USA, został pochowany w katedrze w Wilnie. Był nieustrudzonym patriotą i uosobieniem męczeństwa Kościoła katolickiego w Rosji.

Wielki Zagłębianin

Jan Cieplak urodził się 17 sierpnia 1857 r. w Dąbrowie Górniczej w rodzinie górniczej o patriotycznych tradycjach. Jego dziadek – Ignacy – schronił się na pewien czas przed prześladowaniami władz rosyjskich na Górnym Śląsku i zmienił nazwisko z „Ciepliński” na „Cieplak”. Rodzice Jana mieszkali w Dąbrowie Górniczej w kolonii Reden, należącej wówczas do będzińskiej parafii pw. Świętej Trójcy. Przyszły duchowny przyjmuje chrzest w tym kościele 23 sierpnia 1857 r.

Ks. abp Jan Cieplak od początku jest związany z Ziemią Zagłębiowską. Także mszę św. prymicyjną odprawia w kościele św. Aleksandra, dziś jednej z kaplic dąbrowskiej bazyliki NMP Anielskiej 15 sierpnia 1881 r. (święcenia kapłańskie przyjmuje 24 lipca 1881 r.). W 1898 r. podpisuje akt wmurowania kamienia węgielnego pod budowę tej świątyni. Tablica pamiątkowa poświęcona wybitnemu patriocie i wielkiemu duchownemu zostanie odsłonięta w czasie uroczystości w sierpniu br. Przygotowuje ją IPN w porozumieniu z ks. Andrzejem Stasiakiem, kustoszem dąbrowskiej bazyliki, ks. Krzysztofem Pożarskim, postulatorem procesu beatyfikacyjnego abp. Cieplaka i „Rycerzami Kolumba” z Sosnowca. W uroczystości weźmie udział ks. Grzegorz Kaszak, biskup sosnowiecki – tłumaczy zagłębiowski działacz społeczny Piotr Dudała, pomysłodawca upamiętnienia.

Skazany za „podżeganie do buntu poprzez zabobony”

Ks. Cieplak po ukończeniu seminarium zostaje adiunktem Akademii Duchownej w Petersburgu. Wykłada archeologię biblijną, liturgię, teologię moralną, uczy też śpiewu kościelnego. W 1901 r. otrzymuje stopień doktora teologii. W 1908 r. zostaje konsekrowany na sufragana mohylewskiego, a w 1914 r. zostaje administratorem archidiecezji mohylewskiej. Później zostaje arcybiskupem tytularnym Ochrydy. Za wygłaszanie patriotycznych kazań i udział w manifestacjach narodowych jest wielokrotnie karany przez

władze rosyjskie. W latach 20. jako najstarszy rangą przedstawiciel Kościoła Rzymskokatolickiego w Rosji Sowieckiej zostaje aresztowany. Od 21 do 25 marca 1923 r. jest sądzony w Moskwie w pokazowym procesie. Wraz z 14 innymi duchownymi zostaje skazany na karę śmierci za „podżeganie do buntu poprzez zabobony”. Pod naciskiem światowej opinii publicznej i po ostrzeżeniu ze strony rządu polskiego wyrok zamieniono na 10 lat więzienia. W 1924 r. wydany z ZSRR, przez Rygę udaje się 12 kwietnia 1924 do Polski.



Bazylika Matki Boskiej Anielskiej w Dąbrowie Górniczej

fol. Basiel78

Miał wielkie serce dla ludzi

– Ks. abp Cieplak jawi się jako nieustrudzony apostoł Kościoła w Rosji i na Białorusi. Miał wielkie serce dla ludzi, a zwłaszcza dla dzieci i sierot – podkreśla ks. Krzysztof Pożarski, postulator procesu beatyfikacyjnego katolickich męczenników XX wieku w Rosji; który przygotowuje m.in. prawie 1000-stronicową biografię wielkiego patrioty. (Publikacja pod roboczym tytułem: „Niezlomny obrońca Kościoła katolickiego w Rosji i wielki Polak. Sługa Boży abp Jan Cieplak. 1857–1926” planowana jest do końca 2022 roku).

– Zwraca uwagę postulat abp. Cieplaka dla Stolicy Apostolskiej i papieża Piusa XI.

Zaraz po opuszczeniu moskiewskiego więzienia (spędził tam kilka lat) ks. Cieplak pojechał na spotkanie z Ojcem Świętym, aby przedstawić mu potrzeby Kościoła w Rosji i prosić o uwolnienie uwięzionych księży. Chciał jechać prosto z Rygi do Rzymu, omijając Polskę. Gdy dowiedział się jednak, jak bardzo Polacy w kraju czekają na niego, zmienił decyzję. To był dobry krok, na Ziemiach Polskich był witany jako wielki bohater, z którym spotkanie mocno podnosiło ludzi na duchu.

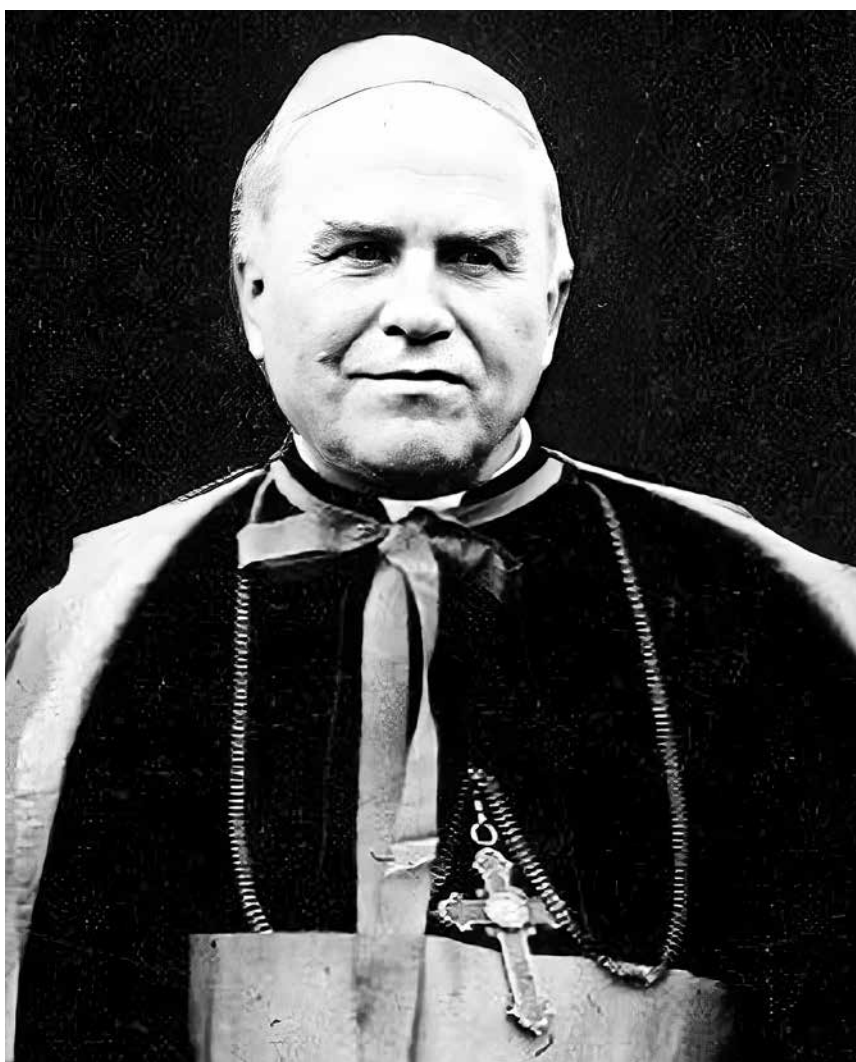
Trzej nieustraszeni przyjaciele

Abp. Jana Cieplaka wymienia się obok abp. Antoniego Maleckiego i prałata Konstantego Budkiewicza jako postać wybitną, która walcząc z carskim reżimem przyczyniła się do odrodzenia Polski w 1918 r., a później podczas terroru bolszewizmu do umacniania wiary.

– Słudzy Boży ks. abp Jan Cieplak, ks. bp Antoni Malecki, i prałat Konstanty Budkiewicz to trzej nieustraszeni przyjaciele, którzy współpracowali ze sobą w Petersburgu i byli ostoją polskości w Kościele, zarówno w czasach reżimu carskiego, jak i krwawych bolszewickich prześladowań – podkreśla ks. Krzysztof Pożarski. – Stworzyli wiele instytucji szkolnych i kulturalnych i dbali, aby jak najwięcej ludzi czuło się Polakami. Dlatego też możemy uczyć się od nich zarówno umiłowania Kościoła, jak i miłości do spraw polskich. Chociaż tylko abp. Jan Cieplak urodził się na terytorium dzisiejszej Polski. Bp Antoni Malecki przyszedł na świat w Petersburgu w Rosji, a prałat Konstanty Budkiewicz w Krasławiu na Łotwie.

Pozostał w Rosji mimo represji

Ks. Pożarski wskazuje, że w biografii abp. Cieplaka najbardziej zainspirowało go to, że duchowny został skazany na śmierć za obronę słusz-



abp. Jan Cieplak

nych praw Kościoła. To wiele mówi o jego osobistej odwadze i umiłowaniu wiary.

– Ks. Cieplak mógł wyjechać z Rosji do odrodzonej Polski, ale nawet o tym nie pomyślał. Chciał być ze swoją ovczarnią do końca w trudnych czasach prześladowań bolszewickich. Trwał w Rosji mimo represji i szykan, a gdy w 1925 r. został z Rosji (w czasie odbywania kary więzienia) wyrzucony, pojechał do Rzymu. Ojciec Święty, Pius XI zlecił mu nowe zadanie, wizytację polskich parafii w Stanach Zjednoczonych, aby umocnić w wierze naszych rodaków. I przez kilka miesięcy ks. abp Jan Cieplak wizytował polskie parafie, spotykał się z ludźmi, odprawiał nabożeństwa. Ta wyczerpująca praca bez chwili odpoczynku, dopiero co wypuszczonego z lochów „czerezwyczajki” – starca – mocno wycieńczyła. Przyniosło to tragiczne skutki – ocenia ks. Pożarski.

14 grudnia 1925 r. biskup Cieplak zostaje wyznaczony na arcybiskupa Wilna, umiera jednak przed objęciem stanowiska – 17 lutego 1926 r. Został pochowany w katedrze wileńskiej.

W pogrzebie uczestniczy m.in. Stanisław Wojciechowski, prezydent RP. Proces beatyfikacyjny abp. Cieplaka zostaje ogłoszony w Rzymie w 1952 r., ale wkrótce upada. Później dopiero w latach 90. XX wieku, po rozpadzie dawnego ZSRR, kilka osób stara się o jego wznowienie. Ostatecznie jednak proces zostaje wznowiony... w Rosji w 2019 r.

Przypisuje mu się prorocstwo

Abp. Janowi Cieplakowi przypisywane jest autorstwo wiersza z roku 1888 lub 1889, które uznaje się m.in. za zapowiedź upadku bolszewickiej Rosji. Wiersz zapowiada I i II wojnę światową, a następnie czytamy w nim: – „Niedźwiedź, co dotąd zżerał własne dzieci,/ Krwią się zachłyśnie własną i upadnie./ Ten niby «olbrzym» przed karłem z północy/ Drugi cios straszny z południa otrzyma,/ A smok ze wschodu dobije olbrzyma./ Wszemocny Pan Bóg kartę dziejów zmieni./ W stolicy Pańskiej tajne dokumenta/ Ze 113 papież wyjmie szafy,/ W Rzymie się pocnie odrodzenie świata”. (...)

„Ojczyzna to ziemia i groby. Narody tracąc pamięć, tracą życie”

54. rocznica śmierci Zofii Kossak-Szatkowskiej

MAGDALENA SMYCZEK

Nazwisko Zofii Kossak-Szatkowskiej szerokiej publiczności kojarzy się przede wszystkim z literaturą religijną i historyczną, a także ambitną twórczością dla młodego czytelnika. Jej pisarstwo, choć nie tak już popularne jak za życia autorki, wciąż znajduje nowe grono czytelników, urzeczonych kunsztem warsztatu literackiego i uniwersalnymi wartościami. Mimo iż pisarka zmarła 9 kwietnia 1968 roku, jej życie, również to „pozaliterackie”, wciąż interesuje wielu badaczy, a pamięć o niej jest podtrzymywana nie tylko w środowisku naukowym. Tegoroczne obchody 54. rocznicy śmierci Zofii Kossak-Szatkowskiej zbiegły się z 80. rocznicą utworzenia Rady Pomocy Żydom „Żegota”, której pisarka była inicjatorką. Z tej okazji Instytut Pamięci Narodowej odznaczył miejsce pochówku autorki wpisując je do ewidencji grobów weteranów walk o wolność i niepodległość Polski. 9 kwietnia br., podczas uroczystości na terenie cmentarza parafialnego w Górkach Wielkich, zastępca Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej dr Mateusz Szpytma na mogile umieścił plakię „Grób weterana walk o wolność i niepodległość Polski”. Ten symboliczny gest jest nie tylko wyrazem uznania wobec patriotycznej działalności Zofii Kossak-Szatkowskiej, ale przede wszystkim wynika z potrzeby zachowania i przywrócenia wzorów, przypominania kolejnym pokoleniom, że historia jest nauczycielką życia. Obchody rocznicy śmierci współorganizowali: Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, Starostwo Powiatowe w Cieszynie, Gmina Brenna oraz Ośrodek Promocji Kultury i Sportu w Brennej. Wartę honorową przy grobie pisarki pełnili harcerze. Jest to nie bez znaczenia, gdyż sama Zofia Kossak-Szatkowska była związana z harcerstwem, spotykała się z harcerzami, wygłaszała gawędy przy ogniskach, przyjaźniła się z instruktorami, nosiła mundur z harcerskim krzyżem. Jej książka *Laska Jakubowa* jest pięknym pomnikiem postawionym polskiemu harcerstwu. Niedaleko domu Zofii Kossak w Górkach Wielkich w folwarku Bucze w latach 30. XX wieku

mieściła się stacja harcerska prowadzona przez Józefinę Łapińską, a obok dworu Kossaków była Szkoła Instruktorów Harcerskich prowadzona przez Aleksandra Kamińskiego, autora słynnych *Kamieni na szaniec*.

W obchodach rocznicy śmierci Zofii Kossak-Szatkowskiej uczestniczył też wyjątkowy gość, prof. François Rosset, wnuk pisarki, będący nauczycielem akademickim specjalizującym się w literaturze francuskiej na Uniwersytecie w Lozannie. Wśród grona osób pragnących upamiętnić i uhonorować postać Zofii Kossak-Szatkowskiej znaleźli się przedstawiciele IPN, powiatu cieszyńskiego i samorządu Brennej, środowiska naukowego, parafii, a także mieszkańcy Górek Wielkich, miejsca z którym pisarka była szczególnie związana. To tam mieszkała od 1923 r. aż do wybuchu wojny oraz po powrocie do kraju w 1957 r. Jak podkreślił Mieczysław Szczurek, starosta cieszyński: „Gdyby popatrzeć na życiorys Zofii Kossak to doliczylibyśmy się około dwudziestu miejsc w których mieszkała, a mimo to Górki zawsze uważała za to najważniejsze miejsce (...). Tutaj też po okresie powojennym spędzonym na emigracji wróciła znajdując schronienie w domku ogrodnika. W wywiadzie do »Głosu ziemi cieszyńskiej« w okresie powojennym mówiła, że Górki to miejsce gdzie spędziła najszcześniejsze, mimo że i najtragiczniejsze z powodów rodzinnych, chwile”. Nie sposób się dziwić, że beskidzki krajobraz, którego piękno i sielskość zachowały się do dziś, tak zapadły w serce pisarki. Uczestnikom uroczystości nie było jednak dane rozkoszować się widokami, które przysłonił niemiłosiernie lodowaty deszcz, a nawet śnieg. Zdało się, że samo niebo postanowiło wyrazić swój żal. Mimo tej niesprzyjającej i odstraszałającej aury, zebrany tłum zdawał się nieczuły na warunki atmosferyczne, poddając się w pełni podniosłej atmosferze, a samo oznaczenie grobu spotkało się z ciepłym przyjęciem wszystkich zaangażowanych.

Obecny na uroczystości dr Mateusz Szpytma podkreślił wyjątkowość Zofii Kossak-Szatkowskiej jako pisar-

ki, uczestniczki konspiracji niepodległościowej w czasie II wojny światowej i powstania warszawskiego oraz więźniarki Auschwitz-Birkenau, nazywając ją jedną z największych Polek XX wieku. Mówił: „(...) Pani Zofia, w momencie kiedy (...) setki tysięcy Żydów warszawskich były głądzone, to ona nie pozostała cicho, jej głos był wyraźnie słyszalny. To z jej inspiracji powstał bardzo ważny tekst w polskich dziejach, protest w którym sprzeciwiała się jako Polak i jako katolik temu co dzieje się z Żydami, sprzeciwiała się temu milczeniu, które na ten temat panowało. Ale nie ograniczyła się tylko do słów. Słowa są oczywiście ważne i powinny wybrzmiewać w ważnych momentach historycznych. Ale ona wprowadziła te słowa w życie”. Dr Szpytma przypomniał też o pośmiertnym odznaczeniu pisarki przez prezydenta Andrzeja Dudę Orderem Orła Białego. Jerzy Pilch, wójt gminy Brenna, w imieniu społeczności górreckiej złożył wyrazy wdzięczności za starania wszystkich osób, które od lat dbają o pamięć i spuściznę Zofii Kossak. Pierwszą część obchodów rocznicy zwiędziła wspólna modlitwa oraz złożenie kwiatów na grobie, będące wyrazem wdzięczności dla pisarki.

Druga część obchodów, w formie sympozjum poświęconego losom Zofii Kossak w czasie II wojny światowej, miała miejsce w Centrum Kultury i Sztuki „Dwór Kossaków”, dawnym domu rodziny pisarki. Przybyłych powitał żywiolowy koncert pieśni patriotycznych w wykonaniu Grupy Śpiewu Tradycyjnego „Sójki” z Brennej. Prowadzący spotkanie Jan Kwaśniewicz, naczelnik Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa w Katowicach, na wstępie przytoczył *Dekalog Polaka* Zofii Kossak-Szatkowskiej, opublikowany po raz pierwszy w grudniu 1940 roku jako tekst otwierający kalendarzyk Komendy Obrońców Polski na rok następny. Podkreślił też aktualność i wagę słów pisarki we współczesnym świecie. Wydarzenia ostatnich miesięcy i rosyjska agresja na Ukrainę, a także groźby w stosunku do Polski sprawiają, że apel pi-

sarki jest szczególnie aktualny, podobnie jak 80 lat temu.

Również dr Joanna Jurgała-Jureczka, literaturoznawca, biografka pisarki i znawczyni całego „rodu Kossaków”, rozpoczynając swoją prelekcję na temat losów Zofii Kossak w trakcie II wojny światowej, nazwała pisarkę patronką czasów trudnych, czasów z którymi i nam przychodzi się mierzyć. Historia bowiem zdaje się zataczać koło, a ludzkość wciąż popełnia te same błędy. Zofia Kossak, jako nieformalna patronka Górek z pewnością spogląda i na mieszkających w gminie ukraińskich uchodźców, którym, podobnie jak jej samej, przyszło porzucić ginące w „pożodze” i wojnie własne domy. I podobnie jak pisarka, tak i oni dziś znajdują się na wygnaniu, czekając na dzień powrotu do ojczyzny. Dr Jurgała-Jureczka w swoim wystąpieniu opowiedziała o heroizmie i zdeterminowaniu charyzmatycznej kobiety, która nie tylko wiedziała, co robić w tych czasach trudnych, ale i wprowadzała słowa w czyn. W trakcie wystąpienia biografka Zofii Kossak przytoczyła fragmenty korespondencji pisarki i Jana Karskiego, emisariusza podziemnego państwa polskiego, który poinformował Zachód o dokonującej się zagładzie Żydów. Odniosła się również do pojawiających się wobec Zofii Kossak oskarżeń o antysemityzm. W trakcie wojny Zofia Kossak zawiesiła prywatną działalność pisarską, w całości poświęcając się sprawom polskiego podziemia i narodu. To ona była autorką wydanego w 1942 r. *Protestu*, będącego odpowiedzią na akcję likwidacji warszawskiego getta odezwy konspiracyjnego Frontu Odrodzenia Polski, wzywającego Polaków i katolików do potępienia zbrodni dokonywanej na Żydach. Za swą działalność pisarka została aresztowana, więziona w Auschwitzu i skazana na śmierć. Jurgała-Jureczka, przytaczając korespondencję autorki *Z otchłani* oraz wypowiedzi jej bliskich i znajomych, przedstawiła nie tylko działalność i losy Zofii Kossak w czasie II wojny światowej, ale przede wszystkim niezłomność i umacnianą przez głęboką wiarę determinację w niesieniu pomocy potrzebującym.

Świadectwem zaangażowania, ale i własnych tragicznych przeżyć był list Zofii Kossak skierowany do prezydenta Władysława Raczkiewicza, w którym czytamy, że „najcięższą udręką pobytu w lagrze był widok straszliwej tragedii żydowskiej rozgrywającej się na oczach całego lagru”. Więc nie własne cierpienie, a widok cudzego cierpienia i bezsilność wobec niego były najbardziej porażające. Interpretacji listu dokonała Joanna Gruszka, aktorka Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim



Cieszynie, która przerażającemu opisowi Zagłady dodała dodatkowy, emocjonalny wymiar. List ten, zawierający szczegółowy opis traumy, jaką pisarka przeżyła w Auschwitz-Birkenau jest wyrazem niezwyklej odwagi i zdeterminowania. Zofia Kossak pokonała bowiem lęk i naturalną chęć wymazania koszmaru obozu z pamięci, uznając wiarygodny opis świadka za konieczny, jedyny który może poruszyć serca i skłonić do działania.

Zofia Kossak była w pełni oddana działalności pomocowej, starając się wyjść poza aktywności lokalne i prywatne. Jej rolę w powstaniu Rady Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj Żegota przedstawiła dr Aleksandra Namysł z Oddziału IPN w Katowicach. Badaczka podkreśliła społeczną działalność pisarki oraz zaangażowanie w organizację pomocy Żydom. Zofia Kossak pragnęła, by jej działalność była bezstronna i skierowana do wszystkich środowisk, niezależnie od przynależności światopoglądowej. Entuzjazm i wiara w ludzi zdawała się siłą napędową pisarki, pokonującą przeszkody w „świecie który się kończył”.

Uroczystość na cmentarzu, która zgromadziła liczne grono przedstawicieli instytucji, świata nauki i osób prywatnych, a także sympozjum od-

krywające przed uczestnikami kolejne karty z historii niezwyklej kobiety były wyrazem pamięci, ale i potrzeby odtwarzania historii. Swego wzruszenia i wdzięczności za to nie krył wnuk pisarki prof. François Rosset. Wojna odcisnęła znaczące piętno na losach jego rodziny, pozostawiając każdemu z jej członków nowe blizny. Kończąc niejako sympozjum, głos zabrała też prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, znawczyni twórczości Zofii Kossak, która podkreśliła, że mimo ponad pół wieku od śmierci pisarki, ta niezwykła kobieta wciąż inspiruje i fascynuje kolejne pokolenia badaczy, odsłaniając im nowe tajemnice swego niezwyklej lecz niepozbanionego tragizmu życia, zmuszane imperatywem wewnętrznym do odpowiadania na pytanie: „Czy wiemy, kim była Zofia Kossak?”. Wydarzeniu towarzyszyła też prezentacja wystawy „Akcja »Żegota« Polski Podziemnej”, poświęconej Radzie Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj Żegota, przygotowanej przez dr Marcina Urynowicza i dr Pawła Rokickiego z IPN, którą można było zobaczyć w Centrum Kultury i Sztuki „Dwór Kossaków”.

Gdy wychodziliśmy po zakończonych uroczystościach z „Dworu Kossaków”, deszcz ustał i górecki błękit nieba uśmiechnął się do zebranych.

Huczny spad

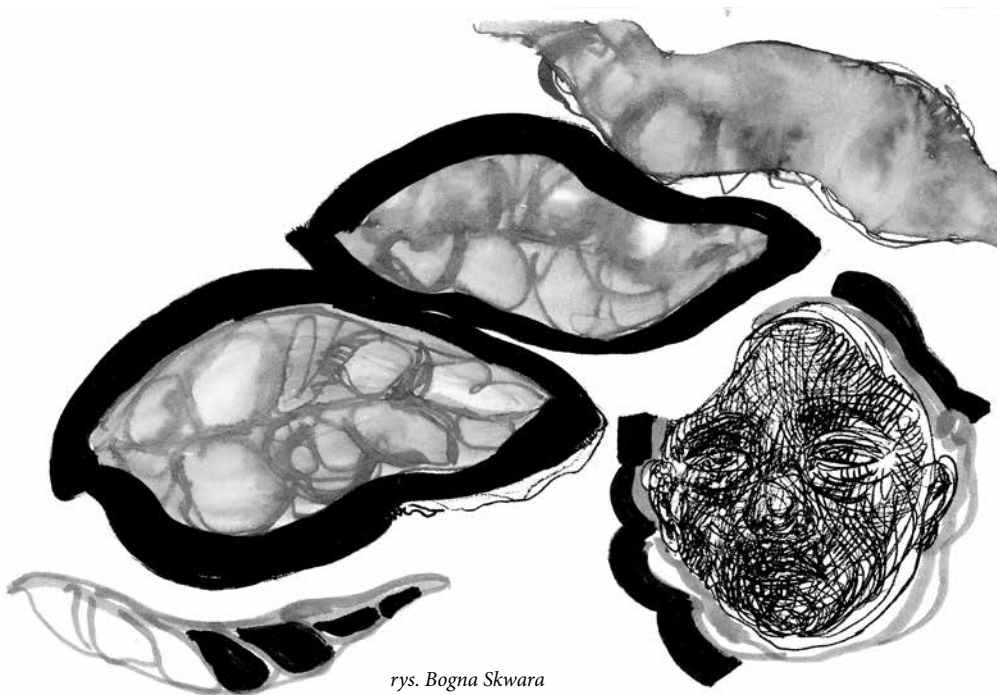
Co spada na nas wedle popłochu?
 Monstrualne słońce stopione w migawkę?

Wyłoczka ciszy na dno serca? Błyska słowa?
 Tak ciebie widzą, jak po śmierci cudzym opowiedzą.

Wessany w płuca wiatr juczcy kroki.
 Można by się pokusić i oskrobać z miki zawilgły klif.

Co stałe, wciąż głodne, a skojarzonemu krzepko wydzieli łam.
 Śniedź na przedtakt. Nadto mówiąc o tobie, myślę o dwojgu.

Morze jak harmonia, za brzegiem sztorm.
 Znikąd donikąd powłóczy szkwał. Teraz ty mnie nieś!



rys. Bogna Skwara

Zbiegiem okoliczności

pękata czerń (co ćmi co dmie co tnie) jak tekstura spod głowy

Czemuś poskąpił wielkiej litery?

ów wers grzmi i wrze
 po horyzont migruje
 kosmaty

żyje na wiareę

dlatego

Kierlesz

Do cna do głębi na skroś poprzez obok albo w poprzek: wiatr żenie
na zakos Gdy nie szepcesz cierpią usta Cierpną usta kiedy szlochasz
Kimże mieszkaniac zbywający majątek? Cóż za nieruchomości podległa
bezdomności? Na powrót utykanie Obieranie ran do rzeźnego szpiku

Według wyliczenia i określonych stawek Tyleśmy sił sterali
Przysięga pod młotek Za wysługę premia Kartkowanie nocy za dnia
Z nagła czujesz się jak kapsel dryfujący na płytkiej wodzie
Mawiało się A powinno się rzecz Raz a równo Sam wybór to mało
Wycisnąć soki zanim kierat powie basta i zrobi się cicho

Finalnie dla pociechy zmyśl eksplicytny wątek Rychło ekspens wpadnie
w żleb Uśmiejesz się Na żądanie raz się godzi Przepić kompotem
z rabarbaru smażone pierożki gyoza i uromaki z marynowanym tofu
Domów sos tonkastu Niech skropi krewetki w tempurze Z marszu tusz
na kupon ku ucieście Z marszu wiosenny raut Antresola w rysografii słońca

Ktoś na odchodne przypali papierosa Ktoś wypluje dzikie sny
Dość na tym Żyjemy żeby wybierać Byle nie zrujnować salda
I z czego na odchodne utoczysz metrum zbawiennego zdania?
Połóż osad Rozdziel na pół Kluczem doliczony czas Racz nam dać

Test napędu albo linie demarkacyjne

Włączyć do całości! Rozpołować ulicy ton!
Pokłask rytmu, drogowcy fedrują szlakę spod niwy.
Na poboczu defoliacja gałązek.

Za lata młode drzewo jak wytarta pałuba ciśnięta w ką.
Odjęty sobie jednorazowy zaledwie wiór.
Na opak prawo zwyczajowe. Minus na konto.

Nabiera wiatru chmura, sypka niczym skruszony twaróg.
Ostatni akord snu. Siła po stronie utraty.
Polimery leż smaczne jak kwarc.

Póty wbrew, póki dnie jak wersja dla obłąkanych.
Naonczas żeby dociec, strzęp cytatu pisze historię pożogi.
Pełną pulę każdy w ciemno, za pan brat. Wódka na rozchodne!

Nazwiska z pierwszych stron gazet robią różnicę
Jedna znamienita linijka dla ciebie, druga mniej skoczna dla mnie.
Żeby dopiec oczy, przetrzeć ze zdumienia.

Jaki pan życie, podobnaż pani śmierć.
Żużel pod grób! Żużel pod grób! Zakąszasz?
Łopata przyzywa gwizdem grom, gdy się spaźnia jasny.

**Prezentowane wiersze pochodzą z pisanej książki „Widmo Brockenu”.*

Tomasz Hrynac (ur. w 1971 r.) – poeta. Wiersze drukował m.in. w paryskiej „Kulturze”, „Akcencie”, „Arkadii”, „brulionie”, „Czasie Kultury”, „Frondzie”, „Kresach”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Odrze”, „Res Publice Nowej”, „Studium”, „Toposie”, „Twórczości”, „Tytule”, „Zapisie”. Wydał tomy wierszy: *Zwrot o bliskość* (1997), *Partycje oraz 20 innych wierszy miłosnych* (1999), *Rebelia* (2001), *Enzym* (2004), *Dni widzenia* (2005), *Praski raj* (2009), *Prędką przędza* (2010), *Przedmowa do 5 smaków* (2013), *Noc czerw* (2016), *Dobór dóbr* (2019), *Pies gończy* (2021), *Emotywny zip* (2021). Jego wiersze znalazły się w kilku antologiach m.in. *Antologia nowej poezji polskiej 1990–1999* (Kraków 2000), w amerykańskiej antologii polskiej poezji *Contemporary Writers of Poland* (Orlando 2005), *Između Ohrida i Buga. Antologija slavenskih umjetnosti* (Krosno 2011), hiszpańskiej antologii współczesnej poezji polskiej *Poesía a contragolpe. Antología de poesía polaca contemporánea (autores nacidos entre 1960 y 1980)* (Saragossa 2012), *„Rozkład jazdy. 20 lat literatury Dolnego Śląska po 1989 roku* (Wrocław 2012) oraz *Przewodnik po zaminowanym terenie. Helikopter, antologia tekstów z lat 2011–2015* (Wrocław 2016). Tłumaczony m.in. na angielski, chorwacki, czeski, kataloński, niemiecki, rosyjski i serbski. Mieszka w Świdnicy Śląskiej.

Uliczna epopeja. Zmiany nazw ulic Lwowa na przestrzeni dziejów

ANTONI WILGUSIEWICZ

Do podjęcia tego tematu skłoniła mnie najnowsza uchwała Rady Miejskiej Lwowa o tzw. „derusyfikacji”, czyli zmianie nazw 53 ulic miasta w jakikolwiek sposób związanych z Rosją, jej dziejami czy kulturą. Oczywiście, nie należy mylić tej uchwały z dekomunizacją czyli usunięciem nazw bezpośrednio związanych z „minioną epoką”, gdyż ta dokonała się we Lwowie już dawno, wraz z upadkiem pomnika Lenina stojącym w samym sercu miasta, przed Teatrem Wielkim. Jedną z głównych ulic Lwowa, dobrze znana Polakom Łyczakowska nosiła jego imię od grudnia 1944 roku i straciła je na rzecz nazwy tradycyjnej od razu w 1990 roku (oba te fakty w innych miastach Ukrainy, bardziej na wschód, wcale nie były takie szybkie i oczywiste). Lenin miał zresztą dwie ulice – jedna z nich, zwana dla odmiany Prospektem, czyli aleją (dziś Prospekt Swobody) wiodąca od jego pomnika do pomnika Mickiewicza (ostał się w czasach sowieckich, być może dzięki wierszowi „Do przyjaciół Moskali”) nazwy tradycyjnej Wały Hetmańskie nie odzyskała – polscy hetmani w wolnej Ukrainie byli nie do przyjęcia! Podobnie ulice noszące nazwy takie jak Moskiewska, wprawdzie nie komunistyczne, ale wyraźnie kojarzące się z rosyjską dominacją, zostały przemianowane: w tym wypadku na Braci Michniowskich, narodowych działaczy ukraińskich (nazwa przedwojenna polska, Króla Leszczyńskiego, ze zrozumiałych powodów nie wchodziła w grę!) – podobnie przepadła do niej Leningradzka (zresztą sam Leningrad, jak wiadomo, wrócił do tradycyjnej nazwy); ulicy tej także nie przywrócono polskiej nazwy – ks. Kordeckiego, lecz nadano imię innej ukraińskiej działaczki narodowej, Oleny Stepaniwny.

Już sam ten wstęp sygnalizuje, że zjawisko zmian nazw ulic we Lwowie jest wyjątkowo skomplikowane. Oczywiście, nie jest to wyłącznie specyfika tego miasta; jako urodzo-

ny w Zabrzu mieszkałem przy ulicy Generała Świerczewskiego (niegdyś Michaelstrasse, potem Horst-Wesselstrasse), obecnie Marszałka Piłsudskiego. W wypadku Lwowa jednak mamy do czynienia ze znaczną ilością zmian polityczno-administracyjnych, wywierających wpływ także na nazewnictwo ulic – nie wszystkich i nie w jednakowym stopniu oczywiście. Dla wyjaśnienia tego faktu weźmy przykład jednej ze znanych dobrze ulic centrum Lwowa, Petra Doroszenka. Niegdyś stanowiła przedmieście Lwowa (tak jak w Warszawie Krakowskie Przedmieście, co dziś wzięte dosłownie brzmi absurdalnie), znane od początku XVI wieku jako Droga Mikulczyńska (prawdopodobnie od właściciela tutejszych nieruchomości). W XVI wieku ulica otrzymuje nazwę Sykstuska, pochodzącą od rodziny Sykstów, którzy założyli w okolicy folwark. Nazwa ta jako obojętna w sensie ideologicznym przetrwała bardzo długo, bo utratę Lwowa przez Polskę i rządy Habsburgów, a potem czasy II RP. Dopiero pod koniec niepodległości, w 1938 roku, kiedy to nadano nowe nazwy wielu ulicom Lwowa, jej część otrzymała nazwę Obrońcy Lwowa. Pierwsza okupacja rosyjska, po 17 września 1939, przynosi nazwę Październikowa (Żowtniewa), oczywiście zmienioną przez Niemców na Sikstusstrasse. W grudniu 1944 roku wraca nazwa sowiecka, by w 1992 roku zostać zmieniona na obecną, na cześć kozackiego hetmana. W ten schemat wpisują się również nazwy wielu ulic Lwowa. Tak na przykład sąsiednia ulica, nosząca na podobnej jak Sykstuska zasadzie nazwę Majerówka, w 1885 roku otrzymuje nazwę 3 Maja (było to możliwe tylko w Galicji, w ramach jej autonomii politycznej i kulturalnej) – co naturalnie nie uległo zmianie w latach II RP. Okupacja sowiecka zmienia nazwę na 17 września, a Niemcy, na zasadzie analogii na 29 czerwca (1941, data zajęcia przez nich Lwowa). Na krótko wraca nazwa 3 Maja,

by od grudnia 1944 aż do końca epoki sowieckiej (1991) ulica nazywała się 17 września. Ostatecznie Ukraińcy nadają jej nazwę swoich bohaterów, Strzelców Siczowych.

W epoce autonomii galicyjskiej szereg ulic otrzymał nazwy typowo polskie, w wypadku niektórych patronów jak się okazało uniwersalne, bo nie zmienione przez władze sowieckie i obecne ukraińskie (jedynie z krótkim epizodem niemieckim). Są to ulice Matejki – od 1885, Chopina – od 1883, Kościuszki – od 1871, Kopernika – od 1871 (tej nie zmienili nawet Niemcy, uważając go za swego rodaka). Większość tego typu nazw uległa jednak zmianie po 1939 roku, jak np. ulica Kraszewskiego, za czasów sowieckich Czernyszewskiego, a od 1993 Salomei Kruszelnickiej (wybitna śpiewaczka ukraińska). Niektóre nazwy zmienione przez władze sowieckie zostały przywrócone przez Ukraińców, np. Aleksandra Fredry (od 1950 do 1991 Gawryłuka). Z kolei nadana po śmierci genialnego matematyka nazwa ulicy Stefana Banacha (1946) zmieniona do dziś nie została.

Osobnym przypadkiem jest pryncypalna ulica Lwowa, wspomniany już Prospekt Swobody. Podlegał on wielu zmianom; trzeba tu wspomnieć, że powstał na zasypanym korycie rzeki Pełtwi. Był to w zasadzie kompleks składający się z dwóch równoległych ulic i plant między nimi, czyli Wałów. Ulica od strony Starego miasta nosiła nazwę Hetmańskiej, od stojącego tu pomnika hetmana Stanisława Jabłonowskiego (potem przeniesiony, zaginiony podczas II wojny światowej); ulica od zachodu to ulica Karola Ludwika (od 1855 roku, nazwa od brata cesarza), w 1919 roku nazwa zmieniona na nazwę polską – Legionów. Od kwietnia 1940 była to ulica 1 Maja, za czasów niemieckich naprzód ulice Operowa i Muzealna, a potem Adolf Hitlerring. Nazwa 1 Maja powróciła w 1945 roku, by w 1959 ustąpić Leninowi. 1 Maja z kolei zastąpił legendarnego party-



Ul. Króla Leszczyńskiego – widoczne wieże kościoła św. Elżbiety



Ul. Króla Leszczyńskiego – Braci Michniowskich, róg Ks. Kordeckiego – Oleny Stepaniwny (centralnie w dół)



Ul. Lyczakowska obok domu Zbigniewa Herberta, po prawej kościół św. Antoniego



Ul. Akademicka – prospekt Tarasa Szewczenki

zanta Czapałewa na ulicy Gródeckiej – dawniej i znowu od 1990 (przy czym przed wojną jej odcinek od Teatru do kościoła św. Anny nosił nazwę Kazimierzowskiej – ulice połączono w jedną w 1964 roku).

Wspomnieć też trzeba o nazwach, które żadnej władzy nie przeszkadzały; taką np. była i jest niewielka ulica Furmańska w centrum Lwowa, a także o nazwach, które, choć zmienione, są bardzo do siebie podobne. Taką jest np. ulice Dekerta (prezydenta Warszawy), którą nazwano w 1946 roku ulicą Dekarta (Kartezjusza) i taką została do dziś, czy ulica Tarnowskiego (polskiego hetmana) zmieniona na Tarnawskiego (ukraiński generał) – w czasach sowieckich Kutuzowa.

W wyniku przemian lat 1990–1993 ukształtowała się sieć ulic Lwowa wolna od pozostałości sowiecko-komunistycznych, których miejsce zajęli przede wszystkim ukraińscy działacze polityczni, a także naukowcy, artyści, wojskowi. Na ich czoło wysunęli się przywódcy nacjonalistyczni – Stepan Bandera i Roman Szuchewycz „Generał Czupryńka”, którzy pojawili się – po czasach sowieckich – w miejsce patronów jeszcze galicyjskich i przedwojennych – Leona Sapiehy i Andrzeja Potockiego. Uzupełniła ich ulica Bohaterów UPA, którzy w 2008 roku zajęli miejsce rosyjskiego pisarza Turgieniewa (ten z kolei zamienił w 1944 roku Lwowskie Dzieci – chodzi o słynny pułk piechoty). Na Starym Mieście zachowały się w dużej części nazwy tradycyjne, jak Rуска (od co najmniej 1472), Ormiańska (od końca XVII wieku) nadano też nazwy do tradycji nawiązujące, jak Starożydowska (niegdyś Wekslar-

ska, potem Boimów – główna ulica dawnej dzielnicy żydowskiej) albo Staropigijska (dawniej Dominikańska) – od dawnego bractwa prawosławnego czy też Iwana Fiodorowa, pierwszego drukarza w języku ruskim (dawna Blacharska).

Po 2014 roku nie odczuwano już potrzeby zmiany nazw (taka nastąpiła we wschodniej Ukrainie, gdzie obalano stojące jeszcze pomniki Lenina); pojawiła się jedynie ulica Bohaterów Majdanu – niegdyś Kadecka, potem zmieniona na Gwardyjską. Dopiero obecna faza wojny z Rosją i związany z nią wzrost nie tylko niechęci, ale wręcz nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie, skłonił Radę Miejską do podjęcia wspomnianej na wstępie uchwały. Na liście 53 ulic, których nazwy mają być zmienione, znalazły się ulice, których nazwy dotyczą obiektów topograficznych, jak: Kurylska, Czuwaska czy Dagestańska, w jakikolwiek sposób łączą się z socjalistyczną industrializacją, np. Metalowców, ale przede wszystkim mają za patronów Rosjan. Może nie dziwić nazwa ulicy Gagarina, który z ZSRR się kojarzy, ale są tu nazwiska powszechnie znanych w świecie artystów, jak Lew Tołstoj czy Piotr Czajkowski, malarz Ajwazowski, Mendelejew (ten od tablicy), albo postępowi na swoje czasy działacze jak Rylejew (Szlachetna szyja Rylejewa, Któram jak bratnią ścisłał, carskimi wyroki Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa); także Hercen.

W pierwszej kolejności wybrano 14 nazw ulic, przy czym odpowiednia komisja wybrała do każdej z nich kilka propozycji. Zostały one poddane pod głosowanie internetowe, w którym każdy – nie tylko mieszkańiec

Lwowa – mógł wziąć udział, z której to możliwości skorzystałem. Pomijając ewentualne protesty humanistów, którym może nie podobać się zmiana nazw ulicy Czechowa czy Tołstoj, trzeba zauważyć, że były to nazwy nadane przez władze sowieckie w ramach rusyfikacji Lwowa. Dla Polaka pojawiła się nie tylko absurdalna, wydawałoby się, jeszcze niedawno możliwość wpływu na nazewnictwo ulic Lwowa (zapewne iluzoryczna, ale jednak!) ale też przywrócenia dawnych nazw. I tak ulica Czechowa nosiła nazwę Opat Hofmana, a ulica Niekrasowa – Pijarów, które to nazwy są brane pod uwagę jako jeden z wariantów mającej nastąpić zmiany. Prócz tego pojawiły się propozycje ulicy Stanisława Ulama (wybitny matematyk), Stanisława Lema, Janusza Witwickiego (twórca słynnej Panoramy Dawnego Lwowa) czy Luny Drexlerówny (rzeźbiarka, jej dziełem jest m.in. nagrobek Marii Konopnickiej na Cmentarzu Łyczakowskiem). Nie jest to mało, tym bardziej, że dotyczy pierwszych 14 ulic. Spośród działaczy nacjonalistycznych jest propozycja ulicy Wasyla Kuka, ostatniego dowódcy UPA, na pewno nie jest natomiast kontrowersyjna nazwa ulicy Obrońców Mariupola, nawiązująca do ostatnich wydarzeń wojennych.

Trwający od XV wieku proces nazewnictwa ulic Lwowa wszedł w kolejną fazę, czy ostatnią? Być może kontrowersyjna w niektórych propozycjach, stanowi ona jednak ostateczne oderwanie się od rosyjskich, a w gruncie rzeczy sowieckich wpływów we Lwowie; uwzględnia też polską tradycję, choć oczywiście podkreśla przede wszystkim fakt, że Lwów jest miastem ukraińskim. ■

Panorama Lwowa. Fot. Stanisław Kosiedowski



In memoriam

Czesław Głombik (1935–2022)

ALOJZY CZECH

W lekko deszczowy majowy dzień pożegnań został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Katowicach prof. Czesław Głombik, znacząca postać dla śląskiego środowiska naukowego. Był pracownikiem kilku uczelni z Uniwersytetem Śląskim na czele, także aktywnym członkiem licznych instytucji i towarzystw naukowych oraz propagujących kulturę świecką. Odcisnął piętno swej osobowości i życzliwej postawy we wszystkich tych miejscach. Ze wszech miar – przyjmując za punkt odniesienia wagę Jego nie tylko naukowych dokonań – zasługuje na pamięć w środowisku tak regionu, jak też kraju. Kilka przechowywanych w osobistym wspomnieniu scen, z różnych okresów historii, niech będzie skromnym przyczynkiem do pełnego obrazu poczynań prowadzonych przez Profesora na licznych polach Jego niezwykłych działań.

Urodził się w Pawłowie. Podkreślał po latach jak ważne to było dla Niego miejsce, w przeciwieństwie do osad położonych wtedy kilka kilometrów dalej na zachód – już leżących w granicach innego państwa. Uruchoimiło pewnie postawę patriotyczną, wyznawaną przez wszystkie nadchodzące lata. Wychował się jednak w familokowym klimacie Czerwionki. Ze świadectwem maturowym w kieszeni rozpoczął w 1953 roku studia z zakresu filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, co było wydarzeniem niepojętym. Zdolna młodzież z Górnego Śląska swoje kroki kierowała z reguły na bezpieczne pod każdym względem studia techniczne. Ale na filozofię? W dodatku do takiego miejsca? Tam obowiązywały szczególne kryteria kwalifikacyjne. Może akt przyjęcia był przejawem otwartych drzwi dla kandydatów pochodzenia robotniczego? Trudno to dziś będzie rozstrzygnąć, w każdym razie studia były owocne pod wieloma względami. Do ich ukończenia w 1958 roku obserwował i uczestniczył w przejściu od ortodoksyjnej doktryny marksizmu pierwszej połowy lat pięćdziesiątych do chwilowej odwilży popaździernikowej i przywrócenia do nauczania odsuniętych profesorów ze szkoły lwowsko-warszawskiej. Pozostanie im wierny przez wszystkie nadchodzące dekady swego życia. Władysławowi Tatkarkiewiczowi (2003 i 2005) i Janowi Legowiczowi (2001) poświęci sesje naukowe i w ślad za tym zbiorowe wydawnictwa naświetlające ich twórczość w kolejnych odmianach interpretacyjnych przypomnień. Planowane było oddanie hołdu Tadeuszowi Kotarbińskiemu – postaci o dużym wpływie na wybory światopoglądowe prof. Głombika – do czego z przyczyn mi nieznanych nie doszło. Za to były konferencje i edycje honorujące ks. prof. Konstantego Michalskiego (1999), o. prof. Józefa Marii Bocheńskiego (2004) i Romana Ingardena (2006), wybitnych przedstawicieli zróżnicowanej w stanowiskach i zapatrywaniach myśli filozoficznej w Polsce.

W 1970 roku równoległe z uzyskaniem stopnia doktorskiego objął kierownictwo utworzonego przy Instytucie Ekonomii Politycznej Zakładu Filozofii i Socjologii. Usługowy przedmiot „marksistowska filozofia i socjologia” był obligatoryjny na wszystkich kierunkach i trybach studiów. Wykład stał się w praktyce przeglądem głównych poglądów filozoficznych w ujęciu chronologicznym. Co prawda miał się zwięzczać jak w nazwie przedmiotu, ale nie zawsze do tego dochodziło. Było coś ujmującego w formie przekazu, czy to plenarnej czy seminarijnej. Omawiane kierunki i poglądy stawały się tak sugestywnie zobrazowane, iż słuchający miał wrażenie, że podziela w pełni omawiane zapatrywanie. To umiejętność rzadko spotykana. Powodowała ogromną popularność zajęć z prof. Głombikiem. Surowa w prostocie swego wystroju i duszna w mocnym doświetleniu Aula Maior wypełniała się w godzinach wykładu po brzezi. Do tego doszły kameralne zajęcia z doktorantami. Gdy wprowadzono obowiązek zdawania z filozofii egzaminu w procedurze doktorskiej, niemal wszyscy obecni pracownicy uczelni, a także wielu doktorantów z zewnątrz stanęło do rozmowy o zagadnieniach filozoficznych – jeśli to było możliwe, powiązanych z tematem dysertacji – przed obliczem wyrozumiatego i życzliwego egzaminatora. Jednym szło lepiej, innym gorzej. Ale zawsze było to niezapomniane przeżycie. Wkład Profesora w kształtowanie intelektualnego potencjału kadr uczelnianych był nie do przecenienia. Gdy w 1974 roku w sposób nakazowy Zakład Filozofii przeniesiono na Uniwersytet, z dydaktycznego punktu widzenia patrząc, sytuacja nie uległa zmianie przez następnych trzydzieści lat. Co w tej kuriozalnej sytuacji było szczęśliwym trafem dla Uczelni, zarazem dowodem, iż można być dalece zasłużonym nie sprawując funkcji instytucjonalnej.

Już ze wspomnianej wyżej praktyki dydaktycznej rysuje się obraz wykładawcy o pasji historyczno-filozoficznej. W całej rozciągłości potwierdzają to efekty naukowej twórczości. Za pole swojej eksploracji badawczej Profesor przyjął usuwanie niewiedzy o dziejach filozofii w Polsce, przypominając znaczące i zapomniane doko-

W 1970 roku równoległe z uzyskaniem stopnia doktorskiego objął kierownictwo utworzonego przy Instytucie Ekonomii Politycznej Zakładu Filozofii i Socjologii. Usługowy przedmiot „marksistowska filozofia i socjologia” był obligatoryjny na wszystkich kierunkach i trybach studiów. Wykład stał się w praktyce przeglądem głównych poglądów filozoficznych w ujęciu chronologicznym. Co prawda miał się zwięzczać jak w nazwie przedmiotu, ale nie zawsze do tego dochodziło. Było coś ujmującego w formie przekazu, czy to plenarnej czy seminarijnej. Omawiane kierunki i poglądy stawały się tak sugestywnie zobrazowane, iż słuchający miał wrażenie, że podziela w pełni omawiane zapatrywanie. To umiejętność rzadko spotykana. Powodowała ogromną popularność zajęć z prof. Głombikiem. Surowa w prostocie swego wystroju i duszna w mocnym doświetleniu Aula Maior wypełniała się w godzinach wykładu po brzezi. Do tego doszły kameralne zajęcia z doktorantami. Gdy wprowadzono obowiązek zdawania z filozofii egzaminu w procedurze doktorskiej, niemal wszyscy obecni pracownicy uczelni, a także wielu doktorantów z zewnątrz stanęło do rozmowy o zagadnieniach filozoficznych – jeśli to było możliwe, powiązanych z tematem dysertacji – przed obliczem wyrozumiatego i życzliwego egzaminatora. Jednym szło lepiej, innym gorzej. Ale zawsze było to niezapomniane przeżycie. Wkład Profesora w kształtowanie intelektualnego potencjału kadr uczelnianych był nie do przecenienia. Gdy w 1974 roku w sposób nakazowy Zakład Filozofii przeniesiono na Uniwersytet, z dydaktycznego punktu widzenia patrząc, sytuacja nie uległa zmianie przez następnych trzydzieści lat. Co w tej kuriozalnej sytuacji było szczęśliwym trafem dla Uczelni, zarazem dowodem, iż można być dalece zasłużonym nie sprawując funkcji instytucjonalnej.

Już ze wspomnianej wyżej praktyki dydaktycznej rysuje się obraz wykładawcy o pasji historyczno-filozoficznej. W całej rozciągłości potwierdzają to efekty naukowej twórczości. Za pole swojej eksploracji badawczej Profesor przyjął usuwanie niewiedzy o dziejach filozofii w Polsce, przypominając znaczące i zapomniane doko-

niania na tym polu. Od pierwszej monografii poświęconej koncepcji filozoficznej ks. Stefana Pawlickiego (*Człowiek i historia*, PWN, Warszawa 1973), która odbiła się mocnym echem w krajowym środowisku, co kilka lat ukazywała się kolejna książka, nie licząc artykułów, recenzji, komunikatów, sprawozdań, których ilość szła w setki. Do przypominanych z osobna postaci dochodziły opracowania na temat polskiej neoscholastyki, jej związków z neotomizmem, a także koncepcjami filozofów o dużym wpływie formacyjnym, by przypomnieć Martina Grabmanna czy Edmunda Husserla. Obszar dociekań poszerzał się o badanie związków z filozofami krajów południowego sąsiedztwa. Stał się znawcą filozofii i animatorem koope-

racji ośrodków akademickich pogranicza polsko-czesko-słowackiego. W ostatnim swym dziele przypomniął polską recepcję filozofii Rudolfa Euckena, noblisty z zakresu literatury (*Eucken i milczenie czasu*, „Śląsk”, Katowice 2015). Monografia powstawała już w warunkach zmagania się z przypadłościami choroby, zedykował książkę miastu Katowice w jubileuszowym roku jego 150-lecia. Choć mówił, że „zbyt długo powstawała”, publikacja ta, jak w soczewce, po raz kolejny ujawnia wszelkie zalety filozoficznego pisarstwa Czesława Głombika. Pełne tło historyczne każdego zdarzenia, najczęściej podawane na podstawie nieznanymi źródeł archiwalnych, kontekst filozoficzno-teoretyczny, rekonstrukcja samego dzieła/poglądu

w jego relacji do wszystkich czynników go warunkujących, a wszystko to podane rytmem wciągającej narracji i lekkim stylem, z daleka rozpoznawalnym – czyta się jak najlepszą powieść! A przecież jest to opis, zdawałoby się, dawnych i niewiele znaczących przypadków. Byłaby to złudna i krótkowzroczna recepcja. Przypominanie przeszłości, zwłaszcza w odniesieniu do człowieka, ma zawsze sens. Stamtąd pochodzimy, ona nas ukształtowała, poniekąd określa wybory dotyczące przyszłości. Zaś pytania, które stawia filozofia, są zawsze aktualne. Ulegają zmianie czy korekcie odpowiedzi. Historia filozofii jest filozofią samą w sobie, czego po raz kolejny w dziejach dowiodło aktywne na jej polu życie profesora Czesława Głombika. ■



foto. Jan Warchał

Potrzeba przemiany

WOJCIECH LIPOWSKI

Zdania wypowiedziane na scenie, składające się w opowieść przeznaczoną do lektury, w większości przypadków zdają się oczywiste, zrozumiałe, jednak czasem okazuje się, że najprostsze, powszechnie znane fabuły w jednej chwili stają się niejasne, zagnatwane, trudne do przyswojenia i choć staramy się je pojąć okazuje się to niemożliwe. Pozostaje niepokój i powracające pytanie, czy coś można z tym zrobić, usunąć niepewność i sprawić, aby nasza wyobraźnia przestała zawodzić.

Kłopoty twórców każdej adaptacji, a już na pewno opartej na wielkich dziełach, funkcjonujących w powszechnym odbiorze, dotyczą satysfakcjonującego pokazania problemu w nich zawartego, obrania takiej drogi, aby skierować odbiorcę w stronę definitywnych rozstrzygnięć, unikając jednocześnie erozji znaczeń, zmierzając ku szeroko pojętemu zrozumieniu nieprzewidywalnej, przerastającej wszystko rzeczywistości. Z czymś podobnym mamy do czynienia w przypadku nowej premiery Teatru Zagłębia, a mianowicie *Króla Edypa* wyreżyserowanego przez Radosława Rychcika.

Spektakl otwiera bardzo rozbudowana scena, w której niespokojni ludzie biegają nerwowo z jednej strony sceny na drugą na tle zdjęcia półek supermarketu. Czym tłumaczyć ich stres, panikę, brak pewności? Czyżby mieszkańcy Teb, podczas ataku zarazy, chcieli zabezpieczyć podstawowe potrzeby? A jeśli tak, trzeba przyznać, że jest to zbyt oczywiste odwołanie do niedawnych doświadczeń z naszych prywatnych historii. A może chodziło o wywołanie irytacji widzów, którzy długo musieli patrzeć na upór fizyczny, dłużyć się



fot. Paweł Wojteczkowski

obraz. Ten prolog jest przywołany w tym miejscu, bowiem stanowi byt osobny, dla którego próżno będzie szukać kontynuacji w dalszej części teatralnej adaptacji *Edypa*.

Właściwą akcję sztuki Sofoklesa umieścił reżyser w korporacyjnej, odhumanizowanej, do bólu realistycznej przestrzeni biura, którą zaprojektował Łukasz Błażejewski. Od tej pory rozpocznie się rozpisana na głosy, dialogiczna narracja z główną dominantą problemową dotyczącą destrukcji środowiska naturalnego. Zaraza, która trawi Teby, to pochodna wszelkich działań związanych z jego degradacją. Świadczy o tym choćby scena posiłku, który przy dużym stole spożywa mężczyzna. Jest oczywiście mięso, którego produkcja nie pozostaje

bez wpływu na otoczenie. Pulsująca, pełna niepokoju muzyka Michała Lisa towarzyszy dynamicznym obrazom, które znamy z mediów, składającym się na współczesny katalog katastrof ekologicznych: pożary, powodzie, skażenie rzek, zmiany klimatu.

Wśród tego on, Edyp w bardzo oszczędnej, niemal ascetycznej interpretacji Michała Bałagi. Aż prosiłoby się o więcej ekspresji. Edyp to w tym wypadku przede wszystkim strateg, który rozpisuje zło trawiące społeczeństwo Teb na rachunek innych, podległych mu ludzi. Rychcik w tym aspekcie chociaż nie odkrywa niczego nowego, ciekawie pokazuje mechanizm sprawowania władzy, rozmywania odpowiedzialności.

Odpowiedzą inni, nieświadomi tego podwładni: Kapłan (Paweł Charyton poprowadził tę postać w sposób mało wyrazisty jakby nie miał pomysłu na rolę) miotający się pośród napływających doniesień z frontu walki, bezradny choć próbujący zachować powagę wobec sytuacji; ciekawy Chór i Koryfeusz (w wykonaniu Beaty Deutschman, tulącej ebonitową lalkę), momentami zabawny, innym razem tragiczny wobec okrutnych wyroków losu; czy oficjalny, urzędniczy, bardzo przerysowany w emocjach Kreon (Tomasz Kocuj, któremu najlepiej wypadły żywiołowe konfrontacje ze swym zwierzchnikiem); wreszcie Jokasta (bardzo udanie wygrana przez Marię Bienkowską znakomicie zonglującą nastrojem, mimiką); no i czytelnicy, najbardziej odpowiedzialni za dokonującą się katastrofę dwaj pasterze, Posłaniec i niegdysiejszy pomocnik Lajosa oraz Jokasty, ubrani w górnicze stroje (naturalistyczni Grzegorz Kwas

fot. Paweł Wojteczkowski



i Wojciech Leśniak) oni wypowiedzą prawdę i opiszą tragedię.

Dyskusyjnym zabiegiem stało się wykorzystanie na prawach cytatu w spektaklu bardzo długiego filmu z wystąpieniem Greta Thunberg dotyczącym zmian klimatycznych dokonujących się na ziemi. A przecież niedługo po tym Mirosława Żak, dokładnie przypominająca młodą aktywistkę, już jako Tejrezjasz zbuduje bardzo ciekawą przestrzeń spotkania z Edypem. W tej scenie, kluczowej dla interpretacji Rychcika, dokonuje się właściwe nazwanie mitu o Edypie. Opiera się ono na pojemnej w znaczeniu metaforze. Jest zatem miejsce w sensie fizycznym, egzystencjalnym, ale też mentalnym. Jest historia gotowa do opowiedzenia o dużym ładunku potencjalności wystarczy tylko wypowiedzieć z perspektywy współczesnej wszelkie obawy, jakie towarzyszą konfrontacji tego, co znane, zanurzone w empirii z tym, czego sprawdzić nie sposób. Mamy w końcu postać tragiczną, fatalizm podbity lękiem i strachem, stanowiącym naturalną warstwę obronną, ale też punkt wyjścia do przemiana, odnowy, *metanoi*, nawrócenia, co przyniesie zwrot, nowe siły. Edyp, ale nie tylko on, w końcu przejrzy na oczy, zrozumie, że transformacja duchowa i wiedza da spodziewany ratunek tebańczykom. Za późno.

Szkoda, że tak duży potencjał, jaki daje tekst Sofoklesa nie został wykorzystany przez twórców. Poprzez wielowarstwowość przekazu, brak spójności w prowadzeniu narracji, dość swobodne tasowanie znanej na pamięć historii Edypa, na którym ciąży wina związana z zabójstwem ojca i kazirodzym związkiem z matką; trudno skoncentrować lekturę na doświadczeniach człowieka zmagającego się z ekologiczną katastrofą świata, a może destrukcją odpowiedzialnego myślenia o tych wszystkich problemach, jakie dzierżą w swych rękach politycy?

Jakim bohaterem jest zatem Edyp w zreinterpretowanym na potrzeby sosnowieckiej adaptacji micie, ustawiony w kontekście przemian środowiskowych? Wydaje



fol. Paweł Wojciechowski

się, że najważniejszym dłań określeniem byłaby nieobecność. Taka intencja przyświeca postaci usiłującej uniknąć swojego przeznaczenia. Ewazja, ucieczka przed fatum nie uda się, bo nie może udać się projekt oparty na myśleniu destrukcyjnym. W tym sensie jego los staje się dla innych opowieścią o własnej bezradności, bezradności wobec przeznaczenia, osobistej biografii, niepojętej przyszłości. Bardzo udanie w muzycznym monologu, co stało się interesującym pomysłem, Wróżbitka (Mirosława Żak), kresli okoliczności, w jakich Edypowi przyszło sprawować władzę. W skierowanych do niego, sugestywnie wyrażonych frazach uświadamia mu – niczym przywołana w spektaklu Greta Thunberg obojętnym politykom słuchającym jej przemówienia – problem winy za zbrodnię, odpowiedzialności za zło niszczące Teby, choć adresat zarzutów pozostanie wobec nich niewrzuszony. A może starożytny mit i wszelkie uśpione w nim tropy, symbole, możliwości wpisane w tekst, nie do końca stanowią nośną w możliwości płaszczyznę do tak nieoczekiwanych zabiegów reinterpretacyjnych, jakie wykorzystano przygotowując teatralne odczytanie *Edypa*?

Bez wątpienia widzowie zabiorą ze sobą wspomnienie muzycznych, rockowych fraz wspomnianego już Michała Lisa. W poetyce spektakli Radosława Rychcika oprawa muzyczna nie jest tłem, zaznacza swą obecność na prawach osobnego bohatera spektaklu. W tym wypadku, gdy mamy do czynienia z tekstem antycznym w znakomitym, ciągle żywym tłumaczeniu Antoniego Libery, trudno wyobrazić sobie, aby funkcjonował on bez muzycznego komentarza. Wszak chór to nieodłączny element starożytnych tragedii, w tym wypadku dźwięk zastępuje komentarz, buduje nastrój scen, wypowiedzi, podkreśla charakter przestrzeni dialogicznej, jest pulsującym tętnem całości.

Co pozostanie wszystkim, którzy zechcą przyjąć rolę uważnych czytelników tekstu Sofoklesa, jaki zaproponowali w najnowszej adaptacji autorzy? Akceptacja lub odrzucenie pomysłu, aby odczytać go w kontekście katastrofy ekologicznej? Ponowne pochylenie się nad doświadczeniami tragicznego bohatera dramatu skazanego na porażkę za potyczki z fatum? Wymóg zwrotu myślenia, zrozumienia siebie, wewnętrznej transformacji? Na tak postawione pytania trudno znaleźć dobrą, jednoznaczną odpowiedź. W tym mechanizmie nadawania nowych znaczeń zapożyczonym motywom, historiom z zamierzanej przeszłości może jednak chodzić o to, aby pokazać, że ciągle jest możliwe przemyślane, intrygujące obcowanie z antycznym tekstem, dekonstruowanie i składanie na nowo jego znaczeń ustanawiając przy tym własny porządek lektury, który wproważy w ruch nowy ciąg znaczeń, a nam pozwoli lepiej zrozumieć, dokąd w istocie wszyscy zmierzamy. ■

Sofokles
Król Edyp
Reżyseria i opracowanie tekstu Radosław Rychcik
Premiera 7 maja 2022
Teatr Zagłębia

fol. Paweł Wojciechowski



Seria „A to Polska właśnie”

Niezapomniana i piękna kolekcja

JERZY PASZEK

Zacznę nietypowo, bo od kwestii ortograficznej. Otóż seria, ukazująca się w latach 1995–2010 w dwu gabarytach – zwykłym, bogato i barwnie ilustrowanym, oraz albumowym, czyli w większym formacie i jeszcze piękniej ozdobionym – we wrocławskim Wydawnictwie Dolnośląskim powinna być tak zapisywana, jak w tytule tego eseju. A to zgodnie z regułą nr 72, zawartą w *Wielkim słowniku ortograficznym* pod red. Edwarda Polańskiego (Warszawa 2006, s. 45 wstępu, hasło na s. 34). Sam nie dopilnowałem owej sprawy (tytuły odmienne edycji seryjnych są pisane majuskułami, np. „Biblioteka Poezji i Prozy”), gdyż w tomie *Blask arcydzieł* (Katowice 2020) dwa razy podaję w bibliografii nagłówek kolekcji poprawnie (s. 57 i 134), a błędnie także dwukrotnie (s. 210 i 212), bo z partykułą zapisaną dużą literą: „Właśnie”. Nabokov – w tłumaczeniu przez Leszka Engelkinga fragmente dialogu bohaterów w 10. rozdziale *Ady* – rzekłby „Wól-aśnie”, czyli „Egg-zactly”! Nb. popularne słówko „exactly” częściej bywa transportowane i transponowane do polszczyzny jako „dokładnie” aniżeli „właśnie”.

Gdy już uporałem się z kłopotliwym dyblem ortograficznym, to mogę spokojnie wpłynąć na wody dociekań bibliograficznych i kolekcjonerskich. Pewnie nie-

wielu czytelników zdołało sobie skompletować całość omawianej 59-tomowej biblioteczki. Z powodu pojawienia się mojego nazwiska wśród grona autorów książek z serii AtPw (przyjmując taki skrót dla wygody i potrzeb mnemotechniki) próbowałem nabywać kolejne tomy, ale doszedłem zaledwie do połowy kolekcji, gdyż libelle owe cieszyły się takim powodzeniem u moich znajomych i w kręgach rodzinnych, iż „wypożyczano” je u mnie metodą „na zawsze”. Nie mam sprytu prof. Henryka Markiewicza, który nie tylko zapisywał w kalendarzyku fakt wypożyczenia, ale i ścisłą – exactly – datę zwrotu użyczonego dzieła! Tak więc skoncentrowałem się na pozycjach biograficznych, a pomijałem podserię geograficzną (tu tytuły: *Kresy, Karkonosze, Wrocław, Bieszczady, Galicja, Gdańsk, Tatry i Podhale, Górny Śląsk, Warmia i Mazury, Warszawa*) oraz historyczną (tu np. *Reformacja, kontrreformacja, tolerancja; Kosynierzy i strzelcy, My z Napoleonem, Tysiącletnie dzieje, W czasach „potopu”, Dworek, kontusz, karabela; PRL dla początkujących, Drugiej Rzeczypospolitej początki*).

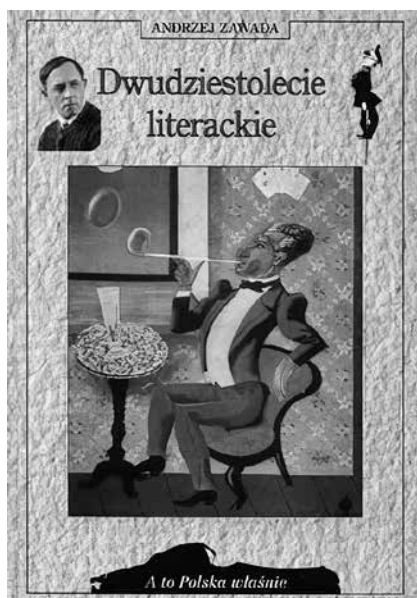
Muszę dodać, że w podserii biograficznej interesowały mnie głównie książki dotyczące naszych poetów i powieściopisarzy. Stąd mniej uwagi poświęciłem tomom typu: *Giedroyc i „Kultura”, Chopin, Matejko, Wojtyła, Jan Paweł II, Kantor czy Wajda*. Wybrałem do lektury – i powracałem do nich wielokrotnie – takie pozycje z tego zbioru, jak: *Mickiewicz* (Jacka Łukasiewicza), *Miłosz* (Andrzeja Zawady), *Kisiel* (Mariusza Urbanka), *Sienkiewicz* (Tadeusza Żabskiego), *Gałczyński* (Kiry Gałczyńskiej), *Szulz* (Jerzego Jarzębskiego), *Leśmian* (Piotra Łopuszańskiego), *Boj-Zeleński* (Henryka Markiewicza), *Herbert* (Łukasiewicza), *Różewicz* (Zbigniewa Majchrowskiego), *Fredro* (Marcina Cieńskiego), *Juliusz Słowacki* (Aliny Kowalczykowej), *Tuwim* (Urbanka), *Gombrowicz* (Jarzębskiego). Tomem 15. jest *Zeromski* (Wrocław 2001) w moim opracowaniu. Do tego mendla libelli należy dodać jeszcze *Dwudziestolecie literackie* oraz *Literackie półwiecze. 1939–1989* Zawady, *Młoda Polska* Justyny Bajdy, *Dzieje literatury polskiej* Jana Tomkowskiego, a pewnie też *Polski Londyn* Rafała Habielskie-

go oraz wspomniany tom o papieżu-pocie. Będzie to więc 21 książek wyborowej biblioteki (Leopold Bloom miał ich 25!).

Oczywista szkoda, że nie posiadamy w opisywanej kolekcji kilku lub kilkunastu jeszcze tomów. Mogłyby to być libelle przedstawiające Jana Kochanowskiego, Ignacego Krasickiego, Zygmunta Kraśńskiego, Cypriana Norwida, Bolesława Prusa, Kazimierza Przerwę-Tetmajera, Jana Kasprówicza, Władysława S. Reymonta, Witkacego, Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Lechonia, Kazimierza Wierzyńskiego, Juliusza Kadena-Bandrowskiego, Juliana Przybosa, Jerzego Andrzejewskiego, Mirona Białoszewskiego, Kazimierza Brandysa, Władysława Broniewskiego, Marię Dąbrowską, Marka Hłaskę, Tymoteusza Karpowicza, Tadeusza Konwickiego, Sławomira Mrożka, Zofię Nałkowską, Marię Pawlikowską-Jasnorzewską, Antoniego Słonimskiego, Wisławę Szymborską i 90-latkę Wiesławę Myśliwskiego. Przede wszystkim brakuje mi „fundatora” serii, czyli Stanisława Wyspiańskiego, autora *Wesela*, gdzie w akcie III, scenie 16 Panna Młoda na pytanie Poety, co Jagusi puka pod gorsetem zgorszy się: „I cóż za tako nauka? / Serce – – ! – – ?”. I wtedy w dopowiedzi ciekawskiego Poety pada pointa: „A to Polska właśnie”.

Być może te propozycje zostaną zrealizowane w innych seriach, w innych wydawnictwach oraz innych czasach. Jako powiada Wiktor (Wielemir) Chlebnikow: „Kuksi, kum muk i skuk” (tłumaczenie palindromowe: „Zaraza, narzeka. – – Sake z rana, zaraz!”). Co odpowiada zapewne naszej piosence z refrenem „Jeszcze poczekałmy, jeszcze się nie śpieszmy” (w indeksie *Skrzydlatych słów* H. Markiewicza i A. Romanowskiego występuje ona pod „znaczącym” numerem B 666, czyli odnosi się do autora słów Bronisława Broka, a nie do wykonawczynie, Magdy Umer, czy kompozytora, Jerzego Wasowskiego).

Serię AtPw wyróżnia z innych publikacji dotyczących literatury (a szerzej – kultury i historii narodowej) sztuka strukturalizacji materiału językowego i fotograficznego. Mamy tu dualizm mowy autora danego tekstu oraz wymowy dodawanych na prawie każdej stronicy ilustracji. Mówiąc za Jonaszem, czyli z „żołądka wielo-



ryba”, mogą powiedzieć, że moja pisani-
na była tylko początkiem produkcji tomu
o Żeromskim. Drugim autorem tomu była
bowiem Monika Żeromska, wybierają-
ca ze swych szaf, szuflad, kufrów, mufek
i fatalaszków (dosłownie: z odzieży oso-
bistej w wielgachnych bielizniarkach) set-
ki różnorakich zdjęć ojca, a także autogra-
fów (w tym: listów pisarza i listów do pi-
sarza). Tom o Żeromskim obfituje w nie-
znane dotąd portrety twórcy *Popiołów*.
Wiem o tym, bo ekipa filmowców, krę-
jących dokumentalny obraz o Żerom-
skim, wymienia wśród źródeł fotografii
właśnie tę książkę. Inne popularne pod-
ręczniki również powołują się na ten tom
(m.in. album pt. *Stefan Żeromski. Budzi-
ciel sumień* z serii „Wielcy Polacy” oficy-
ny De Agostini Polska, Warszawa 2008).

Strona „fotogeniczna” poszczególnych
numerów AtPw była tak ważna, iż kil-
kakroć trwała bitwa redakcyjna, co dać
w kolejnym tomie z materiałów archi-
walnych. W tomie o Leśmianie np. poja-
wiły się zdjęcia dotyczące Żeromskiego (s.
101 – Żeromski siedzi obok Mortkowicza;

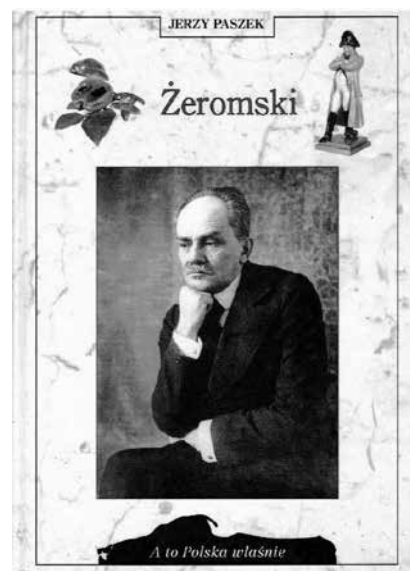
ka uwodziciela”, jak o *Dziennikach* ucznia
gimnazjum powiada Juliusz Wiktor Go-
mulicki. Czynień tu aluzję do s. 48, gdzie
pojawia się dwór w Łysowie Podlaskim
oraz cytaty z *Cierpień młodego Ż.* Felik-
sa Netza, ujawniające erotyczne awantu-
ry przygodnego guwernera. Swoją dro-
gą, pamięć Moniki nie była doskonała
(spotykałem się dwa razy w Konstanci-
nie z podeszłą wiekowo, 85-letnią damą),
stąd niektóre objaśnienia do zdjęć rozmi-
niają się z prawdą historyczną. A to zоста-
wiam już miłośnikom naszych dziejów
i wszelkiej maści szperaczom.

Najcenniejsze w tomikach AtPw są za-
pewne analizy poezji bohaterów poszcze-
gólnych ogniw serii, czyli wywody Łuka-
siewicza o Mickiewiczu i Herbercie. Tak
samo interesujące dla mnie były rozważa-
nia Zawady o twórczości Miłosza, a Maj-
chrowskiego o Różewiczu (tu akcent po-
łożono na dramaturgię poety). Mało no-
wych inspiracji interpretacyjnych przynosi
tom Łopuszańskiego, dotyczący Leśmiana
(chyba przecenia się tu jego wersze rosyj-
skie i „sensacja” związaną z ewentualnym
odkryciem pozostałych dzieł rosyjskich
poety). Zawodzi mnie książeczka Bajdy
o Młodej Polsce, gdyż wynika z niej, iż
malarstwo było podówczas ważniejsze od
literatury (nb. jak mało tu pisze się o Be-
renciel!). Najgrubszym tomem AtPw jest
książka Żabskiego o Sienkiewiczu: w li-
czącym s. 324 opracowaniu (średnia se-
rii to niewiele ponad 200 stron!) mowa
o *Trylogii* jako „dziele kultowym” (s. 91–
183 – sic!). Żabski przytacza opinie kry-
tyków z końca XIX wieku – Prusa, Świę-
tochowskiego, Kraszewskiego, Jeża, Kacz-
kowskiego – ale są to oceny „rywali”, więc
nie liczą się. Czytelnik w końcu nie wie,
czy Jeremi był warchołem i okrutnikiem,
czy też rycerzem Kresów! Dziwne jest zda-
nie: „Oczywiście skali talentu [Dumasa
i Sienkiewicza] nie ma co porównywać”
(s. 175). A przecież za granicą Sienkie-
wicz jest znany li tylko z popularnej wy-
kładni początków chrześcijaństwa, czyli
z *Quo vadis* (nie ma więc takiego powo-
dzenia, jakie towarzyszy bestsellerom obu
panów Dumasów!). Dziwi mnie też brak
w bibliografii znakomitego dzieła Aleks-
andra Wilkonia o języku *Ogniem i mie-
czem* z roku 1976 (przy nadreprezentacji
innych badaczy-sienkiewiczologów). W
przybliżanej przeze mnie serii nie wyzi-
skuje się przypisów u dołu stronicy, więc
tylko w spisie uwzględnionych źródeł mo-
gło pojawić się nazwisko Wilkonia, któ-
re zresztą Żarski zna (w artykule *Trójwy-
miarowa struktura gatunkowa „Ogniem
i mieczem” Henryka Sienkiewicza, z księ-
gi „W krainie pamiątek”. Prace ofiarowa-
ne Profesorowi Bogdanowi Zakrzewskiemu
w osiemdziesiątą rocznicę urodzin*, pod red.
J. Kolbuszewskiego, Wrocław 1996, s. 319
– pada fraza „Gruntowne studia Aleksan-
dra Wilkonia dokładnie charakteryzują
sposoby i funkcje archaizacji języka po-
staci i narratora”).

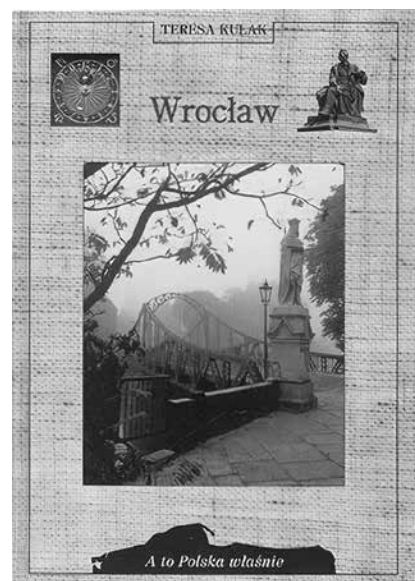


s. 145 – legitymacja legionowa Żerom-
skiego), których nie chciano powtórzyć
we właściwym miejscu, czyli w książce
o autorze *Szyfowych prac*. Musiałem się
nieco potrudzić i pokłócić, by w redago-
wanej w tym samym czasie pozycji (rok
2000; gotowy tom czekał na okazję „dar-
mowej reklamy”, którą była premiera fil-
mu *Przedwiośnie* w reżyserii Filipa Bajona
z początku 2001) pojawiły się owe foto-
grafie. Są tu na s. 159 (Żeromski, Mort-
kowicz, Kuźniar i Czechowicz) oraz na s.
138 (legitymacja wojskowa Żeromskiego).

Edytorzy serii AtPw wiedzieli, że ry-
sunki i fotki z epoki tak samo bywają
wymowne (dla wścibskiego oka lektora),
jak najwyrafinowańsze i najwymowniej-
sze zdania i frazy badacza literatury. Na-
wet podpisy pod portretami pisarza moż-
na bowiem tak sformułować, by znalazły
się w nich „niecenzuralne” (dla różnych
doradców Moniki) informacje z „dzienni-



Podsumowując, kolekcja 15 lub 21
książek o wybranych twórcach polskiej
literatury jest dość reprezentatywna dla
XIX i XX wieku naszego piśmiennictwa.
Mamy tu romantyzm (Mickiewicz, Sło-
wacki, Fredro), pozytywizm (Sienkiewicz),
modernizm (Boy-Zeleński, Żeromski, Le-
śmian), dwudziestolecie międzywojenne
(Schulz, Gombrowicz, Gałczyński, Tu-
wim), okres powojenny (Herbert, Róze-
wicz, Miłosz, Kisiel, Jan Paweł II). Są też
tomy zbiorowe, dotyczące Młodej Pol-
ski, okresu 1918–1939, epoki 1939–1989.
Jest synteza całej polskiej literatury, któ-
rą odważnie zaproponował Jan Tomkow-
ski, spec od takich szerokich panoram pi-
śmiennictwa krajowego i zagranicznego.
Jest to – *summa summarum* – znacznie
więcej niż zaprezentowane w serii AtPw
nasze dzieje oręza i kołowrotu wyda-
rzeń. Szkoda wielka, iż seria istniała tyl-
ko przez 15 lat i poszła w niepamięć, wy-
parta przez Internet i Wikipedię! A tam
to dopiero trzeba się natrudzić, by odsiać
zdrowe ziarno (czyli prawdę) od śmiecio-
wych plew (czyli zmyśleń i pomyłek ukła-
daczy haseł i ich poprawiaczy)! ■



Magdalena Grochowska napisała biografię Tadeusza Różewicza dla tych, którzy chcą – poza wierszami – dowiedzieć się czegoś więcej o ich twórcy. Rekonstrukcję autorka dokonała na podstawie zachowanych wierszy, dramatów, czyli jego twórczości. Do tego można dodać jeszcze listy, fotografie, wspomnienia bliskich i dalekich poety, z którymi los go zetknął, albo skrzyżował drogi. Opisała poetę, powołując do odpowiedzi jego bliskich i znajomych na przestrzeni jego długiego życia. Historia została opowiedziana przez Grochowską swobodnie, czasem nawet mało dyskretnie, ale konkretnie o życiu Polaka, które było kopią życia milionów, traumy wojennej dwóch, a nawet trzech pokoleń.

Poeta pisze o wojennych przeżyciach w czasie teraźniejszym, były one ważnym elementem kształtującym jego osobowość, ale w przeciwieństwie do większości Polaków nie zachował ich tylko dla siebie, a wrześnieją klęskę przyjął również jako klęskę majową, co do niej nie miał żadnych złudzeń. Jak mało kto, potrafił napisać wiersze zwrócone do świata, który wraz z nim stwarzał nową polską rzeczywistość po II wojnie światowej. Jak mało kto, miał wewnętrzną swobodę i zdolność wysłowienia tego, co było nowe w polskiej poezji w drugiej połowie XX wieku. Był nowoczesny, a zarazem duch czasu przeszłego „miał go w swoim posiadaniu”, bo należał do garstki poetów, którzy słyszeli ducha czasu, był jednym z najważniejszych z nich, dźwigający na swoich ramionach wszystkie polskie obciążenia związane z historią i polityką.

Książka w wielu miejscach jest brutalna, niesamowita, zachwycająca, dużo w niej humoru, takiego specyficznego humoru poety, który mówił: „Wojna wybuchała tego dnia, kiedy przypaliły się matce wiśniowe konfitury na piecyku” (s. 46). Jednym z najbrutalniejszych rozdziałów jest rozdział 8 (*Róża wiatrów*) o Różewiczu partyzancie i jego sztuce teatralnej *Do piachu*. Wystawienie sztuki dramaturg odczuł bardzo dotkliwie, nawet został zaatakowany przez środowiska kombatanckie i kościół.

Na pytania jak było w partyzantce, jak było w lesie, wcale nie odpowiada, albo mówi „stare mądrości”, archaiczne doświadczenia żołnierzy wszystkich armii świata – najpierw o onucach, jak ważna była umiejętność ich założenia, bo od niej zależało życie żołnierza/partyzanta, właściciela nóg. Następnie swemu rozmówcy mówi wprost i bez żadnych ogródek, że dzień zaczynał się od polowania na wszy, bo one były wszędzie, a najgorsze były te na jajach, bo się w nie wżerały i nie było łatwo je wyciągnąć. Czy tyle ma tylko do powiedzenia poeta/partyzant o dwóch latach spędzonych w lesie i w ten sposób? Tadeusz żartuje sobie z tych, co zadają mu pytania,

Biografia Różewicza

KSIĄŻKI

dziennikarzy i badaczy literatury, sam z siebie nie żartuje, gdy pisze sztuki teatralne i wiersze o niedawnej przeszłości z lasu i po wojnie.

Doskonale wiedział, że wojna toczyła się nie tylko z wrogiem z Zachodu i Wschodu, była także o Polskę w sercach i głowach, o to, jaka ona będzie, czy NSZ czy AK, a może tych z Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej? Pomiedzy partyzantami dochodziło do takich wrogoci, że jego dowódca oddziału partyzanckiego „Warszyc” zakazał dysput politycznych (s. 241). Społeczeństwo było rozdarte, nie było wiadomo komu ufać, jedni chcieli palić dwory i pałace, inni fabryki i kamienice, jeszcze inni mordować panów i Żydów. Nie brakowało i takich, co strzelali do żołnierzy radzieckich i ukrywających się Żydów. Od kul padali komuniści i Żydzi na stanowiskach w UB, na te stanowiska było łatwo się dostać, wystarczyło skończyć pięć klas szkoły podstawowej, umieć czytać i pisać, i popierać władzę. Polowanie na żołnierzy AK, bratobójcza walka z żołnierzami AL (s. 248). Więzienia władzy robotników i chłopów bardzo szybko zapełniały się każdym, na kogo tylko padło podejrzenie. Rozpocząć się nowe życie w maju, czerwcu czy lipcu 1945 było niesamowicie trudne, nie tylko z powodu władzy ludowej, ale z powodu ludzi, którzy nie mogli odnaleźć siebie w nowych warunkach. O tym też jest ta książka.

Wielu czytelników poezji Tadeusza Różewicza będzie zdziwionych tym, że jego matka była córką rabina i w wieku 12 lat uciekła z domu lub została z niego uprowadzona, bądź też świadomie – jako dziecko – zdecydowała się na życie poza społecznością żydowską. Trafiła do księdza w miejscowości Osjaków koło Wielunia, który ją ochrzcił i wychował,



ADAM LIZAKOWSKI

przyuczył do zawodu, a z czasem wydał za mąż w wieku 18 lat o 10 lat starszego od niej przyszłego ojca poety. Do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego córka/dziecko uciekła lub została odebrana rodzicom. Nigdy nie szukała kontaktu z rodziną, nawet gdy była już dorosłą i samodzielną osobą. Zabrała tajemnicę ze sobą do grobu, za jej życia nikt tego tematu nie poruszał.

Choć był synem córki rabina, która nie chciała być Żydówką, Różewicz też nie czuł się Żydem. Poeta urodził się i dorastał w kulturze polskiej, żadnej innej, po polsku mówił i myślał, żył jak Polak, chodził do kościoła i na lekcje religii, i żadnej innej religii i kultury poza polskością nie znał. A jeśli powstawały wiersze o Holokauście, to nie dlatego, że czuł się człowiekiem, humanistą, którego drugi człowiek rozczarował. Przez przypisywane mu żydostwo wycierpiał niemało w czasie wojny i po niej, ale dzięki życzliwym ludziom on i jego rodzina przeżyła wojnę. Jedno jest pewne, że bracia Różewiczowie, Janusz, Tadeusz i Stanisław byli i czuli się Polakami. Temat ten można zakończyć słowami żony poety, która powiedziała, że ani Tadeusz, ani jego matka nigdy na ten temat nie rozmawiali (s. 61).

Jak pisze autorka książki: „Machina terroru nabrała rozpędu” (s. 271). Skończył się terror hitlerowski, rozpoczął się terror stalinowski, a Różewicz szukał własnej formy poetyckiej, sposobu, jak wyrazić siebie najprościej. Pytał czy jest możliwa poezja po Auschwitz. Koszmar wojny, bolesne doświadczenia, upadek człowieka, a nawet ludzkości, to jeszcze nie wszystko. Powojenny niepokój, który przerodzi się w nieustający, wieczny niepokój. Poezja nie może być protestem przeciw czemuś, skargą małego człowieka, krzykiem duszy,

narzucaniem się Bogu ze swoimi problemem istnienia. Poniżenie człowieka przez człowieka, tortury, zbydlęcenie, udręka i szczucie jednego na drugiego, dzierganie numerków na rękach, które człowiek ma do pracy, którą ma chwalić Najwyższego. Krew przelana, blizny zadane na ciele i psychice, znieczulenie, czy wolno o tym zapomnieć? Jak można o tym pisać? Czy w poezji powinno się oskarżać morderców, wszystkich, którzy są winni? Czy po Auschwitz da się jeszcze pisać wiersze? Różewicz odpowiada twierdząco.

Pod koniec książki autorka powołuje się na autorytet Andrzeja Skrendy, który zastanawia się nad tym, dlaczego Różewicz nazwał Miłosza starszym bratem? (Czytelnicy twórczości Różewicza wiedzą, że było mu o wiele bliżej do Przybosia niż Miłosza). Skrendo odpowiada: To znaczy zaakceptować to, że jest się drugim – po starszym bracie. Dowodem na to, że Różewicz czuł się „drugim” miał być fakt, że Miłosz napisał wiersz *Do Tadeusza Różewicza, poety* (s. 398). A nadto dostał nagrodę Nobla i był bardziej znany w świecie niż Różewicz.

Różewicz nie należał do „żadnego kółka” i od samego początku, od debiutu był sam i pracował na „własną rękę”, mieszkanie na uboczu w Gliwicach było mu na rękę. Najpierw polubił go, a później odrzucił Przyboś, który był jego mistrzem; później Miłosz go polubił i odrzucił, i przestał być jego promotorem; Różewicz sam się „wyrzucił z Krakowa i Warszawy”, ze spotkań z literatami, o których miał jak najgorsze zdanie. Tadeusz był apolityczny, nie uczestniczył w żadnych zbiorowych akcjach literatów, a wiersze i dramaty pisał przede wszystkim dlatego, że rodzina musiała z czegoś żyć. Na pytanie: „Kim jesteś?”, Tadeusz Różewicz odpowiedział przed laty: „Kto mnie uważnie czyta, ten wie”.

Miłosz, jako człowiek był przeciwieństwem Różewicza, bo ten był osobą tajemniczą, nieufną, skrytą, niechętnie mówiącą o sobie, a coś dopiero o najbliższych, czy swojej twórczości. Gdyby żył, biografia taka jak ta nigdy by nie ujrzała światła dziennego. Autor *Trzech zim* „żył, na co dzień w wielkim świecie”, w Ameryce, w której trzeba było codziennie kilka razy odpowiadać na pytanie „How are you?” lub „Where are you from?”. Różewicz tego nie musiał robić, żył w Polsce, gdzie nawet nie wypada pytać znajomych; Jak się masz? Co nowego? A już jest w złym tonie powiedzieć o sobie coś dobrego, pochwalić się, bo zaraz rodacy mają cię za bufona, buraka, chwaliپیę etc. Różewicz żył w kraju, gdzie bajka o kopciuszku, którego znajdzie książkę nadal obowiązuje, gdzie obowiązuje przysłowie: „siedź w kącie a znajdą cię”.



Tadeusz Różewicz

Pamiętam jak przy pierwszym spotkaniu z poetą w 1989 roku, gdy jeszcze mieszkał na ulicy Januszowickiej, gdy duże, ogromne drzwi otworzyła mi żona poety pani Wiesława, a poeta zaprosił do siebie, gdy rozmawiając o wielkim świecie, Kalifornii, San Francisco, w którym wtedy mieszkałem, panu Czesławie w Berkeley, patrząc na wiszące na ścianach obrazy sławnych polskich malarzy, pani Wiesława powiedziała: Ich obrazy dzisiaj dobrze się sprzedają, ale mój mąż, jak jedzie za granicę niczym nie handluje ani nic nie kupuje, wszystkie pieniądze zostawia w muzeach, tak kocha sztukę. Z domu w podróż zagra niczną bierze ze sobą tylko szczoteczkę do zębów i pastę, i z tym wraca do kraju.

Przy pożegnaniu z poetą i jego żoną wyjąłem aparat fotograficzny, aby zrobić kilka zdjęć na pamiątkę. Poeta złapał mnie za rękę, mówiąc ściszym głosem:

Proszę nie robić zdjęć, dam panu swoje. I podarował mi dwa duże czarno-białe zdjęcia autorstwa Adama Hawałęja, wielkości kartki papieru, tłumacząc mi, że tylko on ma prawo do robienia mu zdjęć.

Książkę bardzo cenionej dziennikarki Magdaleny Grochowskiej polecam, z wielką niecierpliwością czekam na drugi tom biografii poety. Muszę też dodać, że czekam wraz z armią poetów, którzy urodzili się i debiutowali po wojnie. Nie ważne – pięć, dziesięć, czy pięćdziesiąt lat temu. Wszyscy jesteśmy żołnierzami „generała” Tadeusza Różewicza. ■

Magdalena Grochowska: Różewicz. Rekonstrukcja. Tom 1. Wydawnictwo Dowody na Istnienie. Warszawa 2021, s. 535.

Mgnienie i wieczność

KSIĄŻKI

EWA BARTOS

Książka gromadzi szkice, jakie powstały podczas lektury poematów Karola Wojtyły – Jana Pawła II w ich pełnym oraz wariantowym kształcie. Przywołując różne wcześniejsze lektury, Marian Kisiel skłania się do takiego modelu interpretacji literaturoznawczej, która znajduje oparcie w refleksji strukturalistycznej i wykorzystuje doświadczenia metafizyki egzystencjalnej. Nieobce są mu też wypowiedzi – zorientowanych chrześcijańsko – teologii literackich. Tę sugestię zawarł autor w krótkim streszczeniu swojej książki.

W rozdziale *Słowo* badacz pyta najpierw o „słowo poetyckie”, które – wyprowadzone ze „słowa rapsodycznego” – przywołuje tradycję polskiego romantyzmu (Juliusza Słowackiego, Adama Mickiewicza, Cypriana Kamila Norwida) i „zobowiązuje do myśli”. Poeta Wojtyła, nadając tak rozumianemu słowu charakter świadomościowy, dokonał w swojej poezji wyboru gatunku monologowego, medytacyjnego. Medytacja jako „transmisja myśli” służyć miała wartościom chrześcijaństwa i narodu, a tym samym ujmować świat i człowieka filozoficznie oraz teologicznie. Ten rodzaj podmiotowości poezji odsyła do racjonalizmu Kartezjusza, a następnie do jego kontynuatorów i oponentów.

Dalej postawione zostało pytanie o prawdziwość i filozoficzną głębię zdania Jana Błońskiego, że „poezja Karola Wojtyły jest poezją ściśle religijną”. Autor książki, odwołując się do Heideggerowskiej koncepcji poezji i jego słynnego eseju *Hölderlin i istota poezji*, opisał medytację jako gatunek poetyckiej mowy, zadając pięć istotnych pytań: 1) kto mówi w poezji Wojtyły, 2) do kogo mówi, 3) w jakiej formie, 4) o czym mówi, a wreszcie: 5) czy mówiąc, jest słyszany? Odpowiedzi na te pytania, zdaniem autora książki, są koniecznym wprowadzeniem do poetyki Wojtyły i pozwalają zrozumieć jej główne problemy.

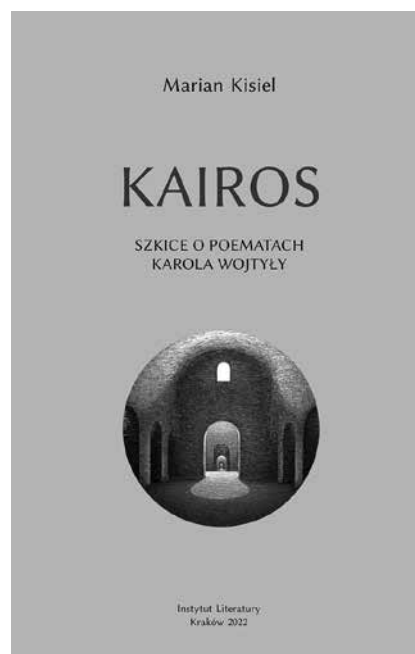
Wyodrębnionych zatem zostało kilka głównych problemów, skupionych wokół ideowych słów kluczy: *Myśl*, *Ojczyzna*, *Kościół*, *Praca*, *Śmierć*. Autor książki wprowadza sens tych zagadnień interpretując konkretne poematy Wojtyły, uznając, że – jak sam pisze – można opowiedzieć o świecie idei poprzez drobiazgowy rozbiór, ponowioną lekturę, czytanie wielokrotne tych samych fragmentów. Ten rodzaj *close reading*, dzisiaj już coraz rzadszy, pokazuje krytyka jako znakomitego interpretatora ukrytych sensów, zaledwie zamierzonych znaczeń. Dlatego ta książka jest lekturą fascynującą, pokazuje jak czytać i czytać powoli. Nie zdąża ku szybkim rozstrzygnięciom, ale ku rozmyślnemu rozumieniu.

W eseju *Myśl* zinterpretowany został poemat *Odkupienie szuka twego kształtu, by wejść w niepokój wszystkich ludzi*. Dotyka on „wspólnoty chwili”, czyli bliskości w cierpieniu, i „ziarna wieczności”, czyli otwarcia na plan zbawienia. Karol Wojtyła powie, że jedno i drugie „nosi w sobie” – „każde spotkanie”. Zdaniem autora książki, mamy do czynienia z poematem myśli, w którym przywołane pojęcia wielokrotnie i w różnych kontekstach mierzą się zarówno z doświadczeniem podmiotu, jak też z ortodoksją. W ten sposób odkrywa się personalistyczna twarz poety, dociekającego istoty rzeczy w „związaniu” bosko-ludzkim.

W rozdziale *Ojczyzna* badacz pochyla się nad poematem *Myśląc Ojczyzna*. Intencją Wojtyły było pokazanie „związania” ziemskiej ojczyzny, „cząstki naszego czasu” z ojczyzną niebiańską; ziemi ojców z ziemią Ojca. Pisząc o dramacie wysłowienia wolności, poeta rozumie wolność jako „dar” i jako „zmaganie”, to znaczy jako wartość, której zachowanie wymaga wielu jednostkowych i zbiorowych starań. Zostanie ona zderzona z „zapłatą”, czyli ofiarą, jaką się ponosi za posiadanie „daru”. Jest to ofiara bez możliwości uniku: „całym sobą płacisz za wolność”, „możesz płacąc ciągle na nowo siebie posiadać”. Z podobnej perspektywy „związania” rozpatrywana jest w książce idea Kościoła. Przywołując dwa poematy, Kisiel twierdzi, że *Kościół* jest medytacją eksternalizowaną i traktuje o przestrzeni bliskiej chrześcijanowi, lecz oddalonej przestrzennie, natomiast *Stanisław* jest medytacją interioryzowaną i traktuje o „ziemi trudnej jedności”, Polsce.

W szkicu *Praca* podjęta została refleksja nad głośnym poematem *Kamieniołom*. Autor książki mówi, że w tym autobiograficznie zorientowanym utworze ujawniają się trzy role podmiotu lirycznego: robotnika, myśliciela i poety. Poszczególne role nie są jednak uwyraźnione, ale zamazane, jakby autorowi nie chodziło o szczegółową ich eksplikację, ale o dokładne ich zatarcie. Poeta pisze o pracy jako trudzie ciała, mając jednocześnie na uwadze pracę myśli i pracę zbawienia. W tym ujęciu praca ma wymiar czysto chrześcijański.

W eseju *Śmierć* podjęto próbę interpretacji *Rozważania o śmierci* Karola Wojtyły jako poematu filozoficzno-religijnego. W utworze zatarte zostały odwołania do literatury pięknej, poeta polemicznie przywołał metafizykę egzystencjalną (Heidegger) i aprobatywnie Ewangelię (listy św. Pawła) jako źródło swojej medytacji. Prowadząc rozważania wokół pojęć „dojrzałości”,



„tajemnicy”, „bojaźni” i „nadziei”, Wojtyła widzi śmierć jako gotowość do „trudnego spotkania” z „Tym, w Kim istnienie znajduje całą swą przyszłość”. Medytacja jest spotkaniem Ja, czyli osoby, wobec której Ty, czyli Bóg, ustawia się na pozycji możliwego dialogu. Jest to relacja określana przez filozofów dialogu jako „możliwość bycia zagadniętym”. Mówiąc o antynomii „ciała” i „duszy”, poeta przeczuwa, że wpisane jest w nią również przeciwstawienie „życia” i „śmierci”. Wykładnię tę potwierdzi po latach, jako papież, w encyklice *Dominum et vivificantem*.

Książkę zamyka rozdział *Corona*, poświęcony *Tryptykowi rzymskiemu* jako *summie* poetyckiej myśli Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Marian Kisiel rozpatruje potencjalny związek poematu z *Traktatem teologicznym* Czesława Miłosza, śledzi recepcję *Tryptyku* i podejmuje próbę jego wyjaśnienia na drodze teologii literackich.

Książka – jak napisał jej autor – „nie jest zbiorem systematycznych debat, raczej komentarzem do bogatej biblioteki analiz i interpretacji poezji Karola Wojtyły. Ta biblioteka stale jest wzbogacana przez nowe spojrzenia krytyczne, a im głębiej wchodzi autor *Kamieniołomu* w historię literatury i historię myśli, tym intensywniej jest odczytywany – poza wierzchnią szatą jego słów”. Przyglądając się wybranym poematom Karola Wojtyły – Jana Pawła II, Kisiel starał się pokazać osobną dykcję i głębię myśli teologicznej, podporządkowaną w całej twórczości Wojtyły regułem inteligibility. Ta poezja, według określenia Jana Błońskiego, „ściśle religijna” – jest każdorazowo poezją myśli. ■

Marian Kisiel: *Kairos. Szkice o poematach Karola Wojtyły*. Instytut Literacki, Kraków 2022, s. 168.

Aleksander Fiut w książce *Po kropce* prezentuje nie tylko sztukę interpretacji najwyższej próby, lecz również udowadnia, że każda konfrontacja z tekstem poetyckim lub prozą musi zostać umotywowana i poprzedzona recepcją wybranych utworów. Poza aspektem przyjemności, jaki niewątpliwie towarzyszy interpretatorom książek uznanych za kanoniczne (a takim poświęcił Fiut wszystkie teksty składające się na publikację), należy określić cel działań analityczno-interpretacyjnych (czy mają one charakter rekonesansowy, czy spowodują zmianę sposobu odbioru twórczości autorki/autora, czy bazując na dotychczasowych ustaleniach innych badaczy, interpretator proponuje komplementarne lub zupełnie inne odczytanie utworu posiadającego już kilka komentarzy, których nie może zlekceważyć). *Po kropce* można więc uznać za książkę, która w sposób wzorcowy wskazuje sposoby postępowania z tekstem literackim. Fiut jasno precyzuje założenia swoich prób interpretacyjnych, jest docieklivy, a przy tym bazuje na wynikach badań poprzedników. W jego książce głos interpretatora jest równie ważny, jak głos czytelnika mogącego uchodzić za uosobienie *everyman*, który z równą pasją podchodzi zarówno do poezji Zbigniewa Herberta, Wisławy Szymborskiej, czy dorobku Witolda Gombrowicza. Fiut komentując kanon polskiej literatury, ujawnia również własne wybory estetyczne (dlatego znaczna część książki została poświęcona twórczości Czesława Miłosza).

Skład osobowy, jaki wyłania się z książki Fiuta, okazuje się nie mniej ważny niż tytuł. Wyjaśniając go, literaturoznawca pisze: „W pisaniu o literaturze – czy nie trochę podobnie jak w życiu? – w pewnej chwili wydaje się, że się dotarło do jakiegoś kresu i definitywnie stawia się kropkę. Po to jedynie, by rozpocząć nowe zdanie – czyli uparcie powracać do dawnych tematów, uzupełniać, korygować i wzbogacać o inne wątki napisane wcześniej książki, szkice i eseje. To dość zrozumiałe, skoro każdy człowiek porusza się w swego rodzaju kokonie wypowiedzi, które aż do końca życia coraz wyraźniej go określają, pozostawiając jednak zawsze jakąś sferę niedopowiedzenia, niejasności i tajemnicy. Było dla mnie zawsze rzeczą ciekawą i intrygującą, jak dalece krytyk literacki czy badacz literatury, podążając za ulubionymi autorami i utworami, pośrednio, nie do końca świadomie albo wręcz nieświadomie, szkicuje własny wizerunek. Jak dalece, pisząc o innych, zdradza swoje, uporczywie i zazdrośnie strzeżone, sekrety” (s. 9).

Fraza „Po kropce” sugeruje więc dalsze interpretacje, uważną kontemplację książek znanych, jednak domagających się dalszych odczytań. Nie przypadkiem Fiut w pierwszej części książki wnikliwie analizuje dorobek autora *Kronik*, czyniąc twórczość Noblisty swoistym wprowadzeniem do dalszych, skromniejszych objętościowo esejów. Jest on autorem trzech książek poświęconych Miłoszowi (*W stronę Miłosza*, *Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza*, *Rozmowy z Czesławem Miłoszem*), a najnowsze eseje zamieszczone w *Po kropce* można uznać za suplement do poprzednich publikacji. Jeśli nawet projekt Fiuta nie prezentuje spójnej kon-

Rozmaitości literaturoznawcze

KSIAŻKI

cepcji, lecz stworzony został na wzór wielotematycznej mozaiki, to jednak należy uznać go za istotny wkład w badania nad recepcją kanonicznych poetek i poetów oraz głos prywatny zabierany w kwestiach najważniejszych (nie przypadkiem eseje dotyczą szeroko pojętej „poetyki doświadczenia”).

Pisanie o tekstach, które już raz zaprzętały uwagę badacza, wymaga nie tylko zmiany perspektywy i ulokowania własnej interpretacji na rozległej mapie komentarzy (jak w przypadku twórczości omawianych przez Fiuta autorów), lecz również dystansu. To właśnie on każdorazowo pozwala na poszukiwanie innych kluczy interpretacyjnych i odkrywanie dotąd utajonego sensu tekstów literackich. Odczytania Fiuta są niepokorne, biegną pod prąd dotychczasowych sądów na temat dobrze rozpoznanej literatury. Można przyjąć, że literaturoznawca wyraża pogląd, że praca interpretatora nigdy się nie kończy.

Pod tym względem badacz deklaruje nieustanną gotowość mierzenia się z nieopisanym (bo każda interpretacja ożywia tekst literacki i wprawia go w ruch) kanonem. Proponuje własne odczytania dobrze rozpoznanej twórczości „klasyków”, jednak daleko mu do apodyktyczności w sposobie wyrażania sądów. Eseje pomieszczone w *Po kropce* cechuje również elegancja wywodu; wszystko ma w nich swoje uzasadnienie. Pomysł interpretacyjny został poprzedzony wnikliwą kwerendą, o której świadczą przypisy, oraz poparty świetnie dobranymi argumentami.

Fiut udowadnia, że sztuka interpretacji nie polega na wyizolowaniu własnych refleksji na temat poezji lub prozy, lecz stałym interferowaniu głosu interpretatora i jego poprzedników, ponieważ rzadko zdarza się by badacz wypowiedział się jako pierwszy o konkretnym utworze (częściej podąża śladem poprzedników w celu skorygowania ich twierdzeń). Fiut opowiada się więc za nieustannym dialogiem (nie tylko między poszczególnymi tekstami po-



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

etyckimi i prozatorskimi, lecz również interpretacjami). W *Po kropce* znalazły się zarówno eseje interpretacyjne, jak również teksty wspomnieniowe, które nie zaburzają spójności publikacji (nie ma ona naczelnej tezy, nie jest monografią). Rozmaitości literaturoznawcze Fiuta nie podlegają więc zasadzie linearnej lektury. Czytelnik może przemieszczać się między poszczególnymi częściami w sposób dowolny, ponieważ żaden z esejów nie stanowi kontynuacji poprzedniego. Również tematyka zbioru nie podlega zawężeniu do jednej dominanty. Rozmach tematyczny książki Fiuta budzi podziw, jednak niektóre eseje mogłyby zostać rozszerzone (m.in. ten o powinowactwach poezji Paula Celana i Herberta, a także tekst o poezji Szymborskiej, w którym zwraca on uwagę na barokowość twórczości autorki *Wielkiej liczby*).

Eseje interpretacyjne Fiuta imponują zarówno ze względu na erudycję autora, który nie przestaje na przywoływaniu pojedynczych opracowań twórczości Miłosza lub Herberta, lecz porusza się swobodnie wśród licznych opinii na temat ich pisarstwa, wybierając te, które warto doprecyzować, poddać korekcie lub potwierdzić ich trafność, a także ze względu na umiejętność pisania o literaturze w sposób zajmujący a przy tym jasny i prosty. Publikacja *Po kropce* nie jest zbiorem esejów skierowanych jedynie do profesjonalistów, którzy zobligowani są do śledzenia pojawiających się wciąż nowych odczytań wierszy Szymborskiej, powieści Gombrowicza, a także Tadeusza Konwickiego i dorobku Konstantego Aleksandra Jeleńskiego, lecz również czytelników poszukujących odpowiedzi na nurtujące pytania i kwestie, które stanowią *differentia specifica* twórczości poszczególnych autorów. ■

Aleksander Fiut: *Po kropce*, Wysoki Zamek, Kraków 2016, s. 352.

„Tak, więc tu przychodzą ludzie, aby żyć, myślałbym raczej, że tu można umierać”; to znamienne, pierwsze zdanie z powieści *Malte* Rainera Marii Rilkego; gdybyśmy nieco zamienili: „Tak, więc tu przychodzą ludzie, aby umierać, myślałbym raczej, że tu można żyć” – mogłoby być mottem debiutu prozatorskiego Jagi Słowińskiej. To zmienione zdanie, imitacja z Rilkego, ma w sobie pierwiastek nadziei, współgra on z intencją głównego bohatera powieści *Czarnolas*, który chciałby powstrzymać wszechobecną śmierć bliskich...

Krytycy odczytują *Czarnolas* jako baśń, słusznie, chociaż ze względu zawartego w nim poetyckiego języka, debiut Słowińskiej nazwałbym – prozą poetycką. W małej książeczce o śmierci, przemijaniu, tęsknocie oraz miłości, pisarka umieszcza wiele motywów z baśni, bajek, ballad, mitów. Jako ilustratorka okładek, artystka, umiejętnie wykorzystuje doznania synestetyczne, podając czytelnikom w swej synkretycznej prozie bukiety aromatów i barw. Często zapachem są świeże bułki, pieczywo, czytamy: „z komińców fabryk uniosły się chmury o zapachu bułek” – gdy Zojka przeczekała śmierć Mikołaja i w tę samą noc urodziła Księcia: „powietrze zapachniało bułkami”.

Aby poczuć zmysłowość tekstu, wsłuchamy się w prozę poetycką *Czarnolasu* Słowińskiej, oto fragment: „Popołudniami ludzie siadywali tu na plastikowych krzesłach. Mówili coś czasem, czasem nawet chichotali. Wstawali też z tych krzesel i chodzili – to tu, to tam. Po chwili przestawali. Ospale przeciągali się i wsparci pod boki zawieszali spojrzenie na horyzoncie, na którym szara kreska ulicy przecinała żółć rzepaku, seledyn owsa i fiolet pierzastych facelii. Wierzchem dłoni przecierali skronie, a potem, mrużąc oczy, spoglądali na niebo. Spodziewali się burzy, zimnej zimy, gorącego lata. Martwili się o pieniądze lub dzieci w Anglii. I trwali albo umierali”. Piękna fraza: „szara kreska ulicy przecinała żółć rzepaku, seledyn owsa i fiolet pierzastych facelii” – w taki oto sposób Słowińska kreśli nastrój wsi. I kolejny poetycki fragment: „Było lato dojrzałe jabłka pękały na ziemi i puszczały sok, sfermentowany i kwaśny. Wszystko z sobą płodziło. Rozbuchany nadmiar objawiał się w szklance do połowy wypitego mleka obsypanej nagle muszymi jajczkami, bzycał w kielichu malwy, wił się w piwnicach kocimi miotami”.

Tytuł książki przywołuje czarnoleskiego poetę renesansu – Jana Kochanowskiego, którego nie ominęły tragedie życiowe. Najpierw pocie umarł starszy brat, nieco później dwie córeczki. Tytuł baśni Słowińskiej nie tylko nawiązuje do przeżyć Kochanowskiego, sama nazwa *Czarnolas* jest zbitką dwóch wyrazów: czerni i lasu. Kontaminacja, która odgrywa niebagatelną rolę w drobnej książeczce – las jako czerni, jako tajemnica, motywy funeralne. Fabuła polega na doświadczeniu śmierci jak w *Grochowie*, z sieliskością *Dukli* oraz fantastycznością *Opowieści galicyjskich* Andrzeja Stasiuka. Wioska, gdzie rzeczywistość płynie nieco innym czasem; ludzie tu siedzą na plastikowych krzesłach, rozmawiają, chi-

Zapach bułek

KSIĄŻKI

choczą, trwają lub umierają. Oto główny bohater *Czarnolasu* – Książę (Strupek), rodzi się i traci w krótkim czasie wszystkich najbliższych: ojca Mikołaja, matkę Zojkę, psa Gustawa, a nawet ostatniego członka rodziny – wujka Józefa. Postanawia „odkręcić czas”, odzyskać umarłych. Nie jest to możliwe, ponieważ struktura życia jest prosta: „Przeszłość należy do przeszłości, teraźniejszość do teraźniejszości, młodość do młodości, starość do starości, życie do życia, śmierć do śmierci”. Jednak główny bohater – Książę (Strupek) myślał inaczej, pojmował innymi kategoriami, chciał „jedno z drugim mieszać, przesuwac, zatrzymywac”. I ta baśń jest o śmierci, z którą Książę chce wygrać. Ale również jest o tęsknocie i miłości do osób najbliższych, którzy odeszli, a chcemy je odzyskać, jak chociażby w micie o Demeter i Korze.

Strupek mieści w sobie kilka cech różnych bohaterów, oczywiście, ma coś z dociekliwoci *Małego księcia* Antoine’a de Saint Exupéryego (motyw o oswojaniu, jest tu wykorzystany z drugim psem Fago, który „od rana siedział przed domem i czekał na Księcia”), ma coś z szekspirowskiego Hamleta: „Mimo to książę spróbował, gdyż był szaleńcem, a jedynie szaleńcy widzą okazję tam, gdzie jej nie ma”. A opisy, gdy wuj trenuje jak ryby zdejmować z haczyka, jak czytać chmury „jak milczeć, jak słuchać, jak mówić, gdy ma się coś do powiedzenia”, przypominają mi nauki *Petera Camenzinda* Hermana Hessego.

W debiucie Słowińskiej dostrzegam wiele podobieństw narracyjnych do małych próz Elizy Kąckiej, zwłaszcza do jej *Elizji* (2017). Ta paralela jest ciekawa, gdyż Słowińska kreśli baśń (nawet bym zaryzykował: balladę w rozumieniu romantycznym) o Księciu, natomiast Kącka napisała bajki o Książniczkach (o Elizjach). W miniaturach Kąckiej dominuje sznyt literaturoznawczy oraz wątki kampusowe, Słowińska – przede wszystkim – posługuje się językiem poezji, językiem zmysłowym.



PAWEŁ MAJCHERCZYK

Narracja prozy poetyckiej Słowińskiej całkowicie mnie ujęła, wypływa z niej nauka o kruchości istnienia, nauka o przemijaniu. Bajka, baśń, mitologizacja czarnoleska o Księciu, życiu i umieraniu, i tym wszechobecnym chichocie. Śmierć, życie jako chichot, rechet historii; ktoś odchodzi nagle, niespodziewanie, wychodzi z domu i już nie przychodzi. Ponieważ bok śmierci i doznań zmysłowych, istotnym elementem jest chichot. Jagi Słowińska swoją książkę kończy zdaniem „I obaj już wiedzieli, że świat się zaczął od chichotu”. „Niosły się lasem dzikie piski: – Hih! – Hih! Po stokroć „Hih!”! Ten chichot jest wydawany przez ludzi, przez las; pojawia się wraz ze śmiercią. Figura chichotu może być inspirowana literaturą sowidrzalską lub – językiem Bachitna – karnawalizacją. Śmiech jest najistotniejszym sensem karnawalizacji, z jednej strony chichot w *Czarnolesie* pojawia się w świecie żywych, a z drugiej pełni rolę pewnego echa po śmierci, pozostaje: „Śmiech, chichot, czas oszołomiony”. Nie odczytuję tu chichotu w kategorii czarnego humoru, jak u Witkacego czy Gombrowicza. A jako coś sprzecznego, ale i niewytłumaczalnego. Gdy zajrzemy do Wielkiego Słownika Języka Polskiego, wyszukując hasła: *chichot losu*, *chichot historii*, *ironia losu* odczytamy definicję: „coś, co w sposób zaskakujący łączy w sobie cechy przeciwstawne i przez to skłania do gorzkich refleksji lub jest zabawne”. W taki sposób rozumieni przedstawiono chichot ludzki i leśny u Jagi Słowińskiej.

Czarnolas na pewno, jeśli na nagrodę jest jeszcze za wcześnie, zasługuje na nominację ważniejszego literackiego konkursu. Wspomniały debiut Jagi Słowińskiej, mała książeczka, która roznieca czytelniczy głód i nadzieje pisarskiej ścieżki do wielkiej literatury. ■

Jagi Słowińska, *Czarnolas*, wyd. Halart, Kraków 2021, s. 88.

Najnowszy tom poezji Doroty Szatters, autorki *Warszawskiego Jeruzalem* i *Szychty* dzieli się na dwie części. Owa dycho-
mia widoczna jest już w samym tytule *Jeruzalem fragment większej całości*. Odnajdziemy ją także w spisie treści, wyraźnie oddzielającym obie części, przy czym *fragment większej całości* poprzedza Jerozolimę, a do tomu wprowadza nas tekst Szewacha Weisa, w którym czytamy: „Jerozolima ma wiele nazw. Nazwy te ilustrują jej dzieje i dzieje jej władców na przestrzeni historii: miast Jebusytów, Miasto Dawida, Uruszalim, Szalem, Syjon i Al-Quds. (...) Hebrajski poeta Jehuda Amihai pisze: «Jerozolima pragnęłaby, aby ci wszyscy, którzy ją kochają, kochali się również wzajemnie, ale wie, że jest to niemożliwe. A może jednak? O takiej Jerozolimie, o ludzkim wymiarze demokratycznej, dążącej do pokoju i porozumienia, matce wszystkich religii mógłbym powiedzieć: *także ja jestem z tego miasta*». O nim, mieście wewnętrznym, w którym toczy się życie wielości, nie jedności pisze właśnie Dorota Szatters. W jej poezji odkryłem podobną do mojej wrażliwość, tę samą świadomość zalegającego w ludzkiej duszy mroku”.

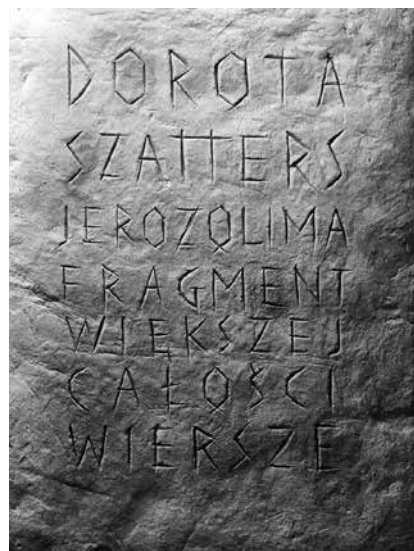
Ale nie tylko struktura tomu jest ważna, autorka wprowadza nas w swój poetycki świat zostawiając wyraźne znaki, sygnały, namia-
ry naszej w nim egzystencji. Już pierwszy, nieco metapoetycki wiersz opatrzony tytu-
łem *Złodziej słów* będzie niczym sztyl informujący, jakie panują tutaj prawa: „oddaję słowa/ których nie powinienam chcieć/ przy-
właszczyłam/ nie wiedząc że/ należą do wia-
tru// nie używałam wcale/ trzymałam scho-
wane// wypływały od spojrzeń/ zeszytniały od dotknięć/ zbutwiały od westchnień//
oddaje w stanie nienaruszonym/ słowa które nigdy nie były moje tak/ jak żadna rzecz która Jego jest”.

Szatters w *Warszawskim Jeruzalem* uczyniła przedmioty perspektywą opowie-
ści o zagładzie miasta, w tomie *Jeruzalem fragment większej całości* takim obiektem staje się słowo, skondensowane, „nieużywane”, „czyste”. Ten zabieg pozwala na wypełnienie go „naszym” znaczeniem, doświadczeniem, sensem. Jej wiersze przypominają zmięte w kulkę kartki papieru. Dopiero ich wyprostowanie, wygładzenie, pozwala słowom odetchnąć i nabrać życia. Trzeba je traktować z wielką uwagą, pozwalać na skupienie, kontemplację, współ-zaistnienie poetki i naszych sensów, bo: „poza słowami/ poza nami/ jest świat/ bez konturów/ czerni bieli// piasek zasypuje usta/milczą o nim”.

Jesteśmy wpisani w ciągłość egzystencji, jesteśmy „fragmentem większej całości”, a nasze doświadczenia powielane po stokroć są jednocześnie wsobne, nasze, jedyne. Dlatego jak pisze recenzując tom Mariusz Jochemczyk: „Rzeczywiście – serce człowieka prawego i empatycznego jest zawsze po stronie tego, by „ratować” nie tylko się da”. I taki jest również protagonista tego lirycznego tomu: uważny i czuły”. Poetyckie spojrzenie przyspila zatem cząstki czasu, obraca je w słowach, przygląda się im z namysłem, uważnie, bo

Rzeczywistość skondensowana

KSIAŻKI



PIOTR SKOWRONEK

Nasze światy są: „odrębne równoległe ledwie zbliżone/ nieskończone/ żaden punkt nie opuści linii bezkarnie/ czasem tylko/ gdy zagina się przestrzeń// gdzieś daleko”.

Czwarty trop, o ile wyliczanie ma sens, odnajdziemy w części zatytułowanej *Jerozolima*. Podobnie jak we wstępie Weiss poetka buduje nie tyle buduje obraz miasta, co stara się uchwycić wzajemną relację z nim. W wierszu *Ja – Jerozolima* podmiot liryczny pojawia się jako przybysz: „gród warowny/ otoczony wiotkim porowatym murem/ gości mnie z obojętnością wiekowych budowli/ poświęcony/ zamknięty na świata cztery strony/ otwarty na niebo i piekło/ skończony (...)”, który błąka się, unika, obawia się, szuka sensu, szuka nadziei, wypatruje twarzy, a „stado posępnych myśli krąży nad głową/ wyczuwa pokarm”. Nagromadzenie czynności podkreśla intencjonalność podmiotu, który szuka dla siebie etycznego rozwiązania i miast operacji intelektualno-estetycznej naturalnie przynależnej poezji (za wyjątkiem zwolenników idei *l'art pour l'art* i jego postmodernistycznej progienitury) wybiera niczym Norwid poszukiwania „wartości” wyznając: „idę więc/ boleśnie zderzam z czasem, potykam/ nie tracąc wiary/ szukam wewnętrznej wieży/ coraz bardziej zmęczona”.

Głos poetycki Doroty Szatters jest gorzki, bowiem kondensacja rzeczywistości sprawia, że przeszłość i teraźniejszość mieszają się ze sobą, tworząc jedno. I dlatego w wierszu *Getsemani (tłocznia oliwek)* będzie mogła powiedzieć za Chrystusem: „Panie/ oddal ode mnie kielich/ miłości/ gorzkiej// dotykasz nim/ warg każesz pić/ dzień po dniu// do zwątpienia/ zatracenia/ przebaczenia/ do dna”. Przerzutnie, telegraficzna kompozycja tekstu podkreślają dramatyzm wyznania. Każde słowo przychodzi z trudem, zawierając w sobie wagę najościwszego z egzystencjalnych doświadczeń. Z kolei *Via Dolorosa* jest relacją z drogi ku niezawinionej śmierci, obrazem absolutnej samotności i bestialstwa,

kiedy: „wzdęte brzuchy matek/ płaczą na Górze oliwnej// w miejscu zwanym Lithostrotos słyszą złowrogie/ Niech żyje Niech żyje/ sędzia umywa ręce// rodzone poddają torturom kroją/ igłami przesywają/ toczą krew i wody/ z cierniową koroną wbitą w skronie/ wyciągają na Via Dolorosa (...)”. Paralelność drogi krzyżowej i tej ku śmierci nienarodzonych prowadzi do pełnego grozy skutku, bowiem sprawcy „nie zmartwychwstają”.

Poetka nie tylko przywołuje obrazy zagłady jak w wierszach *Arbeit macht frei*, *Chyba*, *Całopalenie*, czy chwytającej za gardło, nie opatrzonej tytułem, przejmującej w swojej grozie miniaturze: „oddychaj głęboko/ mamusia jest z tobą/ szeptała gdy puścili/ gaz”, ale próbuje odtworzyć proces powstawania *misterium iniquitatis* w ironicznie zatytułowanym, aluzyjnie odnoszącym się do chrześcijańskiej kazuistyki wierszu *Siedem grzechów głównych*, ukazującym – powtórzmy za Hannah Arendt – „banalność zła”.

Paradoks nazywania narastającego zła kategoriami dobra „im gorsze tym lepsze” dezawuuje sam język. Przypomina to nieco Różewiczowskiego *Ocalonego*, w którym „pojęcia są tylko wyrazami”. Proponowane przez poetkę ćwiczenia z „niezgody na zło”, śledzenia go – bowiem niezauważone narasta – stały się kasandryczną zapowiedzią wydarzeń, które rozpoczęły się 24 lutego w centrum demokratycznej Europy na Ukrainie. Dowodem niech będzie wiersz o pozornie niewinnym tytule *Buchalteria*: „na tony waży amunicję amputowane kończyny/ na sztuki liczy zabitych// w zaokrągleniu podaje ofiary cywilne/ kiedy się wymkną spod kontroli”. Ten rodzaj poetyckiego uniwersalizmu ma szczególnie gorzki smak. ■

Dorota Szatters, *Jeruzolima fragment większej całości*, Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej, Katowice 2021, s. 107.

Od „Górnika Polskiego” do „Górnicy «Solidarności»”

KSIĄŻKI

JACEK OKOŃ

Autor książki *Górnicy „Solidarności” w województwie katowickim 1980–1989*, zmarły na początku 2020 roku Jan Jurkiewicz, był jednym z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS) na Uniwersytecie Śląskim, organizatorem strajków studenckich jesienią 1981 roku, i wkrótce potem uczestnikiem spacyfikowanego strajku w Hucie „Baildon”, gdzie wraz z kolegami-studentami dołączył do hutników, protestując przeciw wprowadzeniu stanu wojennego. Internowany w obozach w Zabrze-Zaborzu i Uhercach. W kolejnych latach wydawał podziemne pismo „Wyzwolenie”. Po pobiciu przez funkcjonariusza SB trafił do szpitala.

W latach 2005–2008 pełnił funkcję dyrektora Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Do ostatniego dnia życia pozostawał redaktorem naczelnym rocznika muzealnego „Górnika Polskiego”. To właśnie on, w okresie swego dyrektorowania, przywrócił ten tytuł do istnienia, wydobywając go z nieodległej dramatycznej historii, w której miał osobisty udział. Pod tym bowiem tytułem ukazywało się w podziemiu w latach osiemdziesiątych XX wieku pismo Krajowej Komisji Koordynacyjnej Górnictwa NSZZ „Solidarności”, drukowane przez Jerzego Sołowiewa (przez redakcję przewinęły się tuż dziennikarstwa niezależnego: Jarosław J. Szczepański, W. Rajski, J. Cieszewski i Z. Zwoźniak). Rocznik muzealny stanowi swoistą kontynuację tamtego tytułu. Zachowano oryginalną winietę wykonaną przez Jacka Fedorowicza (tak, tego właśnie!), a numer pierwszy z roku 2007 otwarty został wspomnieniem Jerzego Sołowiewa o tym samym pierwszym, podziemnym „Górniku”.

„Górnika Polskiego” ma podtytuł „Zeszyty Naukowe Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu”. Jest pismem poświęconym górnictwu w jego wszystkich aspektach (historia, technika, kultura i tradycje górnicze, sport górniczy, literatura i sztuka o tematyce górniczej, wspomnienia i relacje zasłużonych pracowników górnictwa). Waleń kontynuacji wyraził się szczególnie poprzez liczne artykuły poświęcone górnictwu ruchowi związkowemu w jego działaniach na rzecz niepodległego bytu państwowego i przestrzegania praw człowieka w PRL. Temat ten stanowił główne pole prac badawczych Jana Jurkiewicza, których owoce zamieszczał w kolejnych numerach „Górnika”.

W ciągu lat przybywało artykułów. Potraktowane łącznie stanowiły rodzaj mo-

nografii górniczej „Solidarności” z okresu jej rodzenia się i walki aż do zwycięstwa.

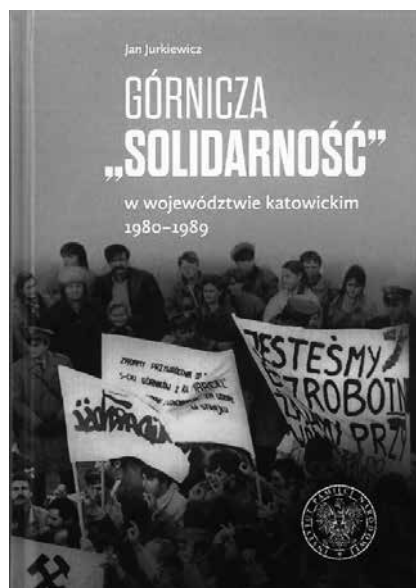
Ten dominujący rys tematyczny tekstów Jurkiewicza dostrzeżony został w katowickim oddziale IPN-u. Jeszcze za życia autora i w porozumieniu z nim podjęto inicjatywę zebrania i wydania wszystkich tych artykułów w jednym woluminie. Tego niestety już nie doczekał. Zmarł nagle, 31 stycznia 2020, tuż przed porannym wyjściem do pracy w Muzeum.

Książka o górniczej „Solidarności” stanowi owoc tamtego zamierzenia, urzeczywistnionego przez IPN-owy tandem badawczo-redaktorski: dr Jarosław Neja i dr Tomasz Kurpierz, ze znacznym zaangażowaniem wdowy po autorze, prof. UŚ Joanny Januszewskiej-Jurkiewicz, oraz redaktorki naczelnej Wydawnictwa MGW, dr Beaty Piechy-van Schagen. Wydana została wspólnie przez IPN Katowice i Muzeum Górnictwa Węglowego. Zawiera obszerny Wprowadzenie pióra dr Jarosława Nei i 8 rozdziałów, z których siedem to artykuły Jurkiewicza zamieszczone wcześniej w „Górniku Polskim”.

W podanej w ten sposób historii górniczej „Solidarności” istniała jeszcze pewna luka, której autor nie zdążył wypełnić osobiście. Chodzi o lata 1984–1987, kiedy to w górnictwie podejmowane były próby reform. By zachować ciągłość chronologiczną przekazu i kompletność tak powstałej monografii, wypełnienia tego braku podjął się jeden z redaktorów książki, Jarosław Neja, o czym poinformował przyjaciół autora i potencjalnych czytelników podczas niedawnej promocji na poziomie 320 metrów kopalni zabytkowej „Guido” w Zabrzu. Spotkanie poprzedzone było mszą świętą w drugą rocznicę śmierci autora, odprawioną w podziemnej kaplicy św. Barbary przez kapelana kaplicy, ks. Stanisława Puchałę. Wspomnienia snuli koledzy Jana Jurkiewicza z NZS-u i „Solidarności”, przypominając jego osobę i jego udział w swym życiu (tę część spotkania prowadził Przemysław Miśkiewicz). Obecni byli górnicy z kopalni „Pias” i przedstawiciele środowiska osób represjonowanych w stanie wojennym.

Książkę otwiera rozdział poświęcony nieco zapomnianemu konfliktowi, który rozgorzał jeszcze przed Sierpniem ’80 w odpowiedzi na odgórnio wprowadzaną w górnictwie system czterobrygadowy.

Istniały już na Śląsku Wolne Związki Zawodowe Kazimierza Świtonia; nie



miały jednak jeszcze wystarczającej mocy sprawczej i możliwości legalnego działania. System czterobrygadowy rzutował na powinności chrześcijańskie, zakłócał rytm życia rodziny górniczej, pozbawiając żony i dzieci obecności ojca w dni świąteczne. Nic dziwnego, że w tamtą sprawę zaangażował się Kościół, świadomy, że w tej materii nie wolno milczeć.

Władze partyjne zobowiązały nawet dyrektorów kopalń do przeprowadzenia rozmów z proboszczami górniczych parafii, w próżnym oczekiwaniu, że ci poprą system czterobrygadowy i zachwala go z ambon. Pielgrzymi piekarscy pamiętają hasło, powtarzane wtedy przez ordynariusza katowickiego Herberta Bednorza: „Niedziela jest Boża i nasza”. To właśnie jest punkt wyjścia i geneza opisanych tu późniejszych walk związkowych legalnej i zdelegalizowanej „Solidarności”.

Ostatnie rozdziały traktują o protestach strajkowych załóg górniczych województwa katowickiego w lecie 1988 roku i ich udziale w przełomie ustrojowym roku 1989, zwłaszcza w dziele ustanowienia pluralizmu związkowego i przywrócenia Związku do legalnego życia i działania.

Książka wydana jest w solidnej twardej oprawie, z charakterystyczną pieczęcią-logo Instytutu Pamięi Narodowej na tytułowej stronie okładki; liczy blisko 450 stron. Rozprowadzana jest przez sieć dystrybucyjną IPN-u, księgarnie internetowe oraz przez punkty sprzedaży Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Starsi górnicy i związkowcy odnajdą w niej swoją młodość i samych siebie, a młodzi poznają swe korzenie. ■

Jan Jurkiewicz, *Górnicy „Solidarności” w województwie katowickim 1980–1989*, red. T. Kurpierz, J. Neja, IPN Katowice – Muzeum Górnictwa Węglowego, Katowice – Zabrze – Warszawa 2022.

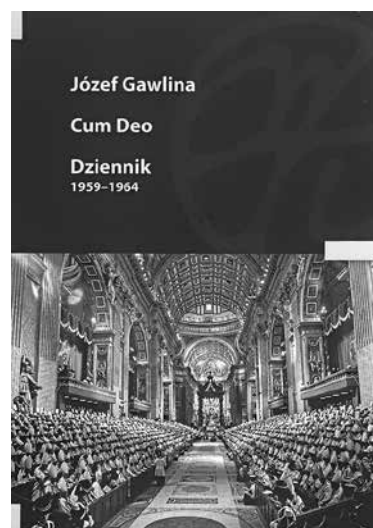
KSIĄŻKI NADESŁANE I NOWOŚCI WYDAWNICZE



Księga upamiętniająca kapłanów, którzy zginęli z rąk hitlerowców w czasie II wojny światowej oraz tych, którzy zostali skazani na śmierć przez reżim komunistyczny tak w czasie wojny jak i również po jej zakończeniu, a także misjonarzy męczenników alumnów i braci zakonnych. Wydawca: Księgarnia św. Jacka Sp. z o. o., Katowice 2022.



Sławomir J. Tabkowski, *Kroniki czasów bezrozumnych*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Józef Gawlina, *Cum Deo. Dziennik 1959-1964*. Wydawca: Centrum Badań nad Historią Kościoła im. ks. Wincentego Myszoza, Katowice 2022.



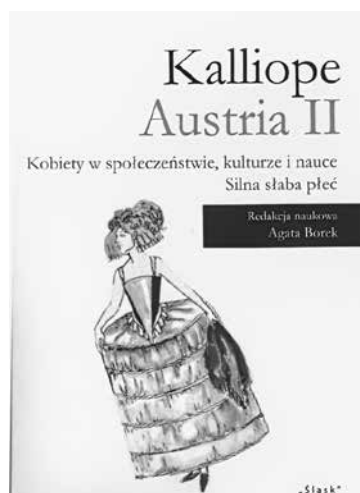
Piotr Roguski, *Wiatr wieje tam, gdzie chce*. Wydawca: Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 2022.



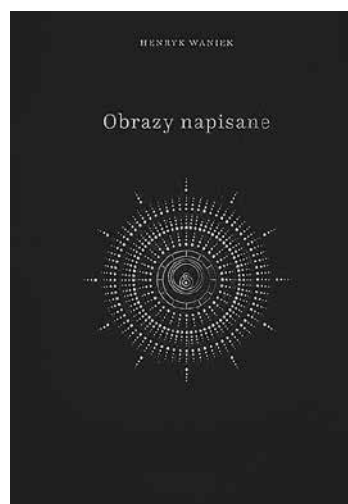
Ryszard Lenc, *My z Koszutki*. Wydawca: Górnośląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 2022.



Światy poetyckie Barbary Gruszki-Zych. Pod redakcją Ewy Bartos i Joanny Kisiel. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Kalliope. Austria II. Kobiety w społeczeństwie, kulturze i nauce. Silna słaba pieć. Redakcja naukowa Agata Borek. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Henryk Waniek: *Obrazy napisane*. Miejska Biblioteka Publiczna, Ruda Śląska 2022.

Podając analizie archiwalia rodzinne jako nośniki pamięci – zbiór listów, dokumentów i fotografii, tworzę pytania o swoją tożsamość. Podejmuję próbę fragmentacji i syntezy części składowych, których poszukuję, by móc zespolić je ze sobą. Badania nad archiwum rodzinnym prowokują w moim odczuciu kolejne obserwacje oraz pytania o więzi rodzinne i międzypokoleniowe, a także miejsce, w którym mieszkam od narodzin i w którym żyli moi przodkowie (Bieruń): Czy mówienie o nieobecności przywołuje do życia? Czy życie przodków ma wpływ na to, kim obecnie jesteśmy? Obrazy, które maluję, tak jak i grafiki, stanowią studium świata przeszłego, znanego mi z opowieści babci, których słuchałam jako dziecko, a także z rozmów z bezpośrednimi lub pośrednimi świadkami wielu wydarzeń w mojej rodzinie. Wdzierają się jednak do niego ułamki świata dzisiejszego: przedmioty, które mnie otaczają i współczesne uczucia oraz nastroje. Ważny jest dla mnie detal i materia: gęsta, nawastrwiająca się, czasem zanikająca (poświadczająca o nieuchronnej utracie trwałości pamięci), a także wewnętrzne nastroje i emocje pojawiających się w kadrze postaci; skupiam się na badaniu gestów i spojrzeń.

Inspiracją do moich prac są fotografie mojego pradziadka Wilhelma Miernika (1903–1945), jedynego znanego w pierwszej połowie XX wieku miejscowego fotografa w Bieruniu oraz ojca jego żony Łucji, a moje go prapradziadka, Hugona Gemborka (1889–1946). Pochodzący z Katowic Hugon przywędrował do Bierunia w pierwszym dziesięcioleciu ubiegłego wieku. W latach późniejszych wprowadził w tajniki fotografii Wilhelma Miernika, a ten w dwudziestolecium międzywojennym założył własne atelier fotograficzne w Bieruniu. Negatywy ich autorstwa przez wiele



Uobecnić nieobecnego

PAULINA BOBAK

lat w mojej rodzinie były uznawane za zaginione i stosunkowo niedawno, gdyż dopiero trzy lat temu, udało mi się dużą ich część odzyskać. Fotografie, które odnalazłam, pozwoliły mi uwierzyć, że moi przodkowie nie tylko istnieli, ale przy analizie ich wizerunków mogłam (choć niewiele i tylko po części) dowiedzieć się, jacy byli i jak wyglądała rzeczywistość wokół nich. Obrazy tworzę głównie w technice malarstwa olejnego na płótnie. Czasem łączę tę technikę z tkaniną, którą przesywam lub pokrywam haftem. Dany wzór najpierw opracowuję w programie graficznym i nanoszę (naszywam) go na materiał za pomocą hafciarki; ten sposób tworzenia obrazów jest moim pomysłem autorskim.

Czasem też tkaninę przesywam ręcznie lub aplikuję na płótnie drobne, gotowe przedmioty, wpisujące się w moim odczuciu w nastrój obrazu

lub wiążące się z historią osób, które maluję. W grafice posługuję się głównie techniką akwaforty, ale na moich pracach pojawiają się także płaszczyzny wypełnione mezzotintą, akwatiną oraz kaszerunkiem nawiązującym do źródła mojej inspiracji – fotografii archiwalnej. Dodatkowym komentarzem do prac są haftowane na tkaninie pojedyncze makatki – widoczne na nich słowa zostały przeze mnie wyselekcjonowane z listów rodzinnych moich przodków. Swoje prace dyplomowe realizowałam w pracowni druku wkleśłego prof. Jana Szmatłocha oraz w pracowni malarstwa prof. Jacka Rykały. Moje odczucia związane z doświadczaniem świata przeszłego za pomocą obrazów, które próbowałam mi przekazać babcia, analizowaniem archiwów, a także odnajdywaniem wielu analogii i powiązań między życiem moim i moich bliskich a życiem krewnych, którzy już nie żyją, odnajduję w słowach Austerlitz, tytułowego bohatera W. G. Sebald w książce „Austerlitz”:

Wydaje mi się wtedy, że wszystkie chwile naszego życia dane są naraz w przestrzeni, jak gdybym przeszłe zdarzenia już istniały, i chodzi tylko o to, byśmy wreszcie znaleźli do nich drogę, tak jak na zaproszenie docieramy o określonej godzinie do określonego domu. A czy można sobie wyobrazić – ciągnął Austerlitz – że mamy umówione spotkanie także w przeszłości, w tym, co już było i po większej części przeminęło, i mamy tam odszukać miejsca i osoby, które niejako poza czasem pozostają z nami w jakimś związku?

Paulina Bobak (ur. w 1996 r. w Tychach) ukończyła studia na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Uzyskała dyplom w pracowni wkleśłodruku prof. Jana Szmatłocha oraz w pracowni malarstwa prof. Jacka Rykały (dyplom dodatkowy). Absolwentka Liceum Plastycznego im. A. Kenera (kierunek lutnictwo). Inspirację odnajduje w człowieku oraz w przeszłości i teraźniejszości, które się nawzajem przenikają. Analizie poddaje archiwa rodzinne: zbiór listów, dokumentów i fotografii. W roku 2020/21 oraz 2014/2015 otrzymała stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Brała udział w wielu wystawach zbiorowych w kraju i za granicą: Rumuni, Bułgarii, Ukrainie, Armenii, Macedonii, Turcji, Hiszpanii, Chinach, Japonii, Tajlandii. Laureatka m.in. w konkursach: the Second International mini print Triennial „Intaglio”, Kijów 2021 (Special award – honorary signs „Silver Corb”), The “Iosif Iser” International Contemporary Engraving Biennial Exhibition, 14th edition, Ploiești 2021 (Prize of the Law Firm “Cristina Dobre”, The 4th International Digital Media Triennial, Radom 2021 (The Juror’s honorary mention), Konkurs malarski „A co z wartościami?”, Wrocław 2019 (II miejsce), Studencka Grafika Roku 2019, Katowice (I miejsce).



Paulina Bobak, Nieobecni III, olej na płótnie, 150x100







Paulina Bobak, Nieobecni XI, olej na płótnie, 100x150



Paulina Bobak, Nieobecni XII, olej na płótnie, 160x160

PSP (Polak Stanowczo Potrafi)

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Heroiczne i w założeniu inspirujące hasło „Polak potrafi” i jego współczesna wersja „Dobre, bo polskie” to srodze pouczające przykłady chorobliwej fantazji oraz niezamierzonego poczucia humoru naszych polityków. Wyobraźnia, inwencja, chęć do eksperymentowania, dobra robota – to przecież powinny być cechy dominujące w codziennym życiu zawodowym. A że tak nie jest nie jest winą tych, którzy w pocie czoła harują za psie pieniądze, tylko tych, którzy te psie pieniądze płacą lub „dotują” praktycznie tak, jak się wspiera żebraków, co np. artyści, nauczyciele i ludzie mediów naukowo-kulturalnych znają z pierwszej ręki; na szczęście jeszcze się sztukę i kulturę toleruje, jako że to „dobrze, panie prezesie, wygląda”. Powołam się tutaj na dowcip rysunkowy sprzed lat, w którym samotny skryba pisze, iż – o ile pamiętam – nasz król doprowadził do rozkwitu państwa, zapewnił mieszkańcom królestwa dobrobyt, zadbał o reformy; wtem na ostatnim rysunku widzimy rzeźbionego króla, który nachylając się nad skrybą mówi: „i jeszcze o tym, że popieram sztukę”. Współcześni niewolnicy muszą niejednokrotnie pracować dłużej i za nic, gdyż pracodawcy stawiają przed podwładnymi wymagania przechodzące siły tych ostatnich, bo tak niby trzeba, bo tak niby jest „normalnie”, bo tak robią „na całym świecie”. A jak nie – wykopimy cię na bruk. To natura współczesnego neokapitalizmu, który doszedł do głosu po upadku tzw. Żelaznej Kurtyny. Zdziałało tu podstawowe kapitalistyczne prawo: monopol prowadzi do zwyrodnienia, monopol systemowy prowadzi do moralnej i materialnej (materialistycznej) degrengolady. Paradoxs: mamy wolność, ale nie możemy się nią cieszyć i korzystać z niej. Zabrzmię jak konserwatysta, którym na pewno nie jestem: widoczne dziś rozluźnienie obyczajów – pandemia poniżającej kobiety pornografii to przykład typowy – utożsamia się z tolerancją (a niech tam!), czyli wolnością, a tak naprawdę jest to nędzny *ersatz* tejez. Wolność ma tę brzydką cechę, że jej cena jest zbyt wysoka na nasze kieszenie, a dostępną jest tym tylko, którzy ją sobie mogą kupić. Biorąc pod uwagę wyraźne ubożenie klasy średniej, powoli ewoluującej w stronę bezwolnego tłumu z powieści Orwella, przyszłość wygląda rozpaczliwie. Czy rzeczywiście tak jest?

Jean-Jacques Rousseau propagował ideę, którą w bezceremonialnym uproszczeniu da się wyrazić jako „małe jest lepsze”. Państw dużych nie uważał za reformowalne, idealnym typem demokracji była dla niego ówczesna Genewa, jednostka administracyjna na tyle mała, że można było w jej przypadku mówić o demokracji bezpośredniej opartej na umowie między obywatelami (tak nie było, ale to nie ma w tej chwili znaczenia). Nieważne są szczegóły – ważny jest pomysł. Przyszłość świata (przynajmniej) zachodniego widzę w rozdrobnieniu, w stawianiu oporu przeciw tym potwornym, bezdusznym międzynarodowym konglomeratom poprzez inicjatywy oddolne, małe przedsiębiorstwa, w których panują przyjazne relacje i każdy z przyjemnością i zapałem dokłada kolejne cegiełki do sukcesu. W takich przypadkach często mamy do czynienia z natchnionymi wizjonerami tworzącymi nie tylko dobra użytkowe, ale też przy okazji – oazy prywatnej wolności. Jakże to trudne – lecz jakże potrzebne.

Wizjonerami, którzy wyprzedzili swój czas są Mateusz Woźniak i Antoni Ożyński, założyciele PSPaudioware, pierwszej w Polsce i jednej z pierwszych na świecie firm, których specjalnością jest cyfrowe (komputerowe) oprogramowanie audio. O co tu chodzi? Obecnie nikt nie podważa przydatności programów komputerowych stosowanych do nagrywania i opracowywania materiału audio (termin angielski: Digital Audio Workstation, w skrócie DAW, czyli dosłownie Stacja Cyfrowej Obróbki Dźwięku/Cyfrowa Stacja Robocza, w rodzaju Ableton Live, Audition, Cakewalk, Cubase, Logic Pro, Pro Tools, Studio One itp.). Wtedy, na początku XXI wieku, była to jeszcze bardzo młoda technologia i całe rzesze profesjonalnych muzyków, od kompozytorów po producentów, wołało o pomstę do nieba. Nie wierzyli w tę technologię, zgryźliwie a złośliwie wypowiadali się o niej, chwalili zalety klasycznego osprzętowania (hardware) używanego w studiach. Jednak od początku (jeszcze w latach osiemdziesiątych XX stulecia) uwierzyłem, iż technologia cyfrowa ma niewyobrażalny potencjał i do niej należy przysłać. Przyszłość to potwierdziła.

Geniusz Mateusza Woźniaka (nb. syna kompozytora i balladzysty Tadeusza, autora m.in. klasycznej już piosenki „Zegar-



fol. arch.

mistrz światła”) i Antoniego Ożyńskiego polega na wierze w możliwość połączenia zalet tradycyjnego, analogowego sprzętu nagraniowego i technologii cyfrowej. Założyli swą firmę jeszcze w roku 2000 w intencji wprowadzania na rynek tzw. wtyczek (plugins), czyli małych programów zapewniających wzbogacenie i urozmaicenie oryginalnego (standardowego) repertuaru barw i efektów, które oferują indywidualne programy DAW. Niektóre wtyczki to emulatory klasycznych już kompresorów, kamer pogłosowych czy korektorów dźwięku; inne oferują efekty specjalne, często niemożliwe (albo niełatwe) do uzyskania przy pomocy tradycyjnej technologii analogowej. Wtyczki instaluje się w ramach systemu operacyjnego (np. Android, iOS, Linux, MacOS, Windows) i działające w danym systemie programy DAW rozpoznają je oraz pozwalają im funkcjonować w swoich ramach.

Przy współdziałaniu kolejnych dwu mistrzów oprogramowania, Adama Taborowskiego i Piotra Dmuchowskiego, PSPaudioware (czyli Professional Sound Projects) osiągnęło na rynku wtyczek dźwiękowych światowe powodzenie. Rynek ten jest tak zatłoczony, że trzeba nie lada umiejętności i (jak zwykle) koneksi, aby się wybić. Nasi panowie tych koneksi nie mieli, polegali wyłącznie na intuicji, wyobraźni, samozaparciu, umiejętnościach i – wysokiej etyce. Zaczynali skromniutko od kilku projektów, które nie wzbudziły entuzjazmu. Zdobyli však doświadczenie, dzięki któremu w 2002 powstał PSP VintageWarmer, cyfrowy kompresor o bardzo szlachetnym, ciepłym brzmieniu, a który od razu wzbudził prawdziwą sensację. Od tamtej chwili trwa wspaniała passa firmy. Dziś wtyczki PSP stosuje armia najwybitniejszych inżynierów dźwięku aktywnych w głównych centrach muzycznej produkcji: Berlinie, Chicago, Los Angeles/Hollywood, Nowym Jorku, Londynie, Toronto, Warszawie.

Polak potrafi. Dobre, bo polskie. ■

Promienie nieprzyzwoite

JANUSZ PLEWNIAK



Wilhelm Conrad Roentgen

Dzisiaj nie ma już nikogo, kto mógłby powiedzieć jakim nauczycielem chemii był ten jegomość, którego nazwisko pominiemy. Wiadomo z historycznych zapisów, jakim był człowiekiem. Złośliwym i pamiętliwym, nieodpuszczającym zniewagi, nieznośnym żartów ze swej osoby. I takiego to nauczyciela jeden z uczniów przedmaturalnej klasy naszkicował na tablicy. Karykaturalnie. Wśród wrzawy i chichotów uczniowskich nie spostrzeżono, że przerwa się skończyła. Gorzej. Niezauważenie wszedł do klasy wykładowca chemii. Karykatura belfra na tablicy „biła” po oczach. Morderczą ciszę przerwało spodziewane, krótkie pytanie: – Kto? Kto śmiał?!

Pechowo, zdolny karykaturzysta, nie był zbyt zdolnym uczniem, a chemia nie była jego ulubionym przedmiotem. W potwornej ciszy pytanie zostało powtórzone: – Miał nicpoń odwagę zak-

pić z nauczyciela, ma mieć odwagę się przyznać. No, kto?!

Niespodziewanie powstał Willi. Szkolny prymus w naukach ścisłych. Wszyscy wiedzieli, że tym sposobem stara się ochronić mniej zdolnego kolegę. Wszyscy wiedzieli, że to nie on był autorem karykatury. Wszyscy, oprócz nauczyciela. Ten o mało nie dostał apopleksji. Najlepszy chemik w klasie wyciął mu taki numer.

– Panie Wilhelmie, z maturą może się pan pożegnać.

Pamiętliwy belfer słowa dotrzymał. Siedemnastoletni Wilhelm ponoił po roku próbę. Nie mógł wiedzieć, że Komisji Maturalnej przewodniczyć będzie tenże sam, w swej pamiętliwości nieugięty pedagog.

Bez matury Wilhelm Conrad Roentgen zaczął studia na Uniwersytecie w Utrechcie jako wolny słuchacz. Po dwóch

semestrach przeniósł się w roku 1855 na Politechnikę w Zurychu. Uczelnia ta przyjmowała studentów wyłącznie na podstawie zaliczenia egzaminów wstępnych. Skończył studia jako inżynier budowy maszyn, a następnie zrobił dyplom z fizyki. Rok później, 24 letni Wilhelm się doktoryzował. Już wtedy był asystentem u swego promotora profesora Augusta Kundta. Razem zaczęli pracować na Uniwersytecie w Würzburgu. Gdy Roentgen chciał się tam habilitować, odesłano go z kwitkiem – przecież nie miał matury! Zatem obaj fizy-





Pierwsze zdjęcie Rtg

bilitacji, zaprosiła profesora Roentgena, by objął katedrę fizyki. Tym razem nikt się o braku matury nie zająknął. Sześć lat później został tam rektorem.

Eksperymentując nadal, przepuszczając w zamkniętych, wypełnionych gazami szklanych pojemnikach prąd, przypadkowo odkrył, że jakieś niewidzialne promienie rozświetlają płytki fluorescencyjne nawet w zupełnych ciemnościach. Tak samo zamknięte w drewnianym pudle płyty fotograficzne ulegały zaświeteniu.

Był rok 1895. Teraz Roentgenowi zdawało się, że odchodzi od zmysłów. Mało co jadł, z nikim nie rozmawiał, nawet ukochana żona Bertha nie otrzymywała odpowiedzi na swe pytania. Aż nadszedł dzień, gdy znów ją poprosił o rękę. Tym razem dostownie. Miała położyć rękę

na zamkniętym pudle, a on naświetlał ją przez wiele minut promieniami, które odkrył, a jeszcze ich nie rozumiał. Gdy na kliszy fotograficznej potem otrzymał obraz kości dłoni swej Berthy, z wyraźnym widocznym pierścieniem i słabym zarysem tkanki, uwierzył, że jest odkrywcą zjawiska niezwykłego. Te niewidzialne promienie o właściwościach przenikania przez tkanki nazwał Roentgen promieniami X.

Dalej zdarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie. Jeszcze zanim lekarze zorientowali się, że aparaty rentgenowskie (a potem po latach ich rozwinięte wersje jak CT-komputery) zrobią furorę w diagnostyce medycznej, wynalazek promieni X zawłaszczyli sprzedawcy butów i jarmarczni kuglarze. W każdym szanującym się domu obuwicznym klient, przymierzwszy buty, miał możliwość wsunięcia stopy do otworu aparatu i na powyżej umieszczonym ekranie zobaczyć jak układają się kości wewnątrz buta. Jeszcze dalej poszli odpustowi ma-

cy przenieśli się do Strassburga, gdzie szybko potoczyła się naukowa kariera przyszłego noblisty. Wilhelm Conrad Roentgen wnet został profesorem, a w wieku 34 lat otrzymał katedrę fizyki na Uniwersytecie w Gießen.

Wykładowcą był bardziej niż przeciętnym, natomiast wybitnym eksperymentatorem. Już jako szesnastolatek opracował dmuchawę, po dziś dzień używaną przez wszystkich bartników do odmyiania pasiek, a bywa, że i jako przyrząd do rozniecania ognia w kominkach. Jako fizyk badający przepływy w gazach zdobył szybko uznanie. Otrzymał propozycje z licznych uczelni w Holandii i Niemczech. Przez dwanaście lat odmawiał. Aż się doczekał. Ta sama uczelnia w Würzburgu, która odmówiła mu ha-



Replika medalu Nobla



Muzeum Roentgena w miejscowości Remscheid-Lennep

gicy. Za opłatą, podpuszczony sloganem „nieprzywoitych promieni” każdy miał możliwość obejrzenia szkieletu bliskiej sobie osoby. Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, jak szkodliwe jest to promieniowanie.

Na Roentgena zaczęły spływać zaszczyty. Był przyjęty przez cesarza, wielu współczesnych proponowało to nowe promieniowanie nazwać jego imieniem, czemu Roentgen każdorazowo się sprzeciwiał.

Gdy 10 grudnia 1901 roku w Sztokholmie fundacja Alfreda Nobla po raz pierwszy przyznawała nagrodę Nobla, tym pierwszym uhonorowanym, „za ponadprzeciętne zasługi związane z odkryciem promieni, które należy nazwać jego imieniem” był Wilhelm Conrad Roentgen. ■

Wszystkie zdjęcia: fot. Janusz Plewniak; wykonane dzięki uprzejmości pracowników w Muzeum Roentgena w Remscheid-Lennep.

NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:
Anna Gaitoer

W Katowicach uczczono po raz pierwszy Narodowy Dzień Powstań Śląskich

KATOWICE. Mija sto lat od symbolicznego wkroczenia oddziałów Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Stanisława Szeptyckiego do Katowic, od którego rozpoczął się proces przejmowania terytoriów, które zostały przyznane Polsce w efekcie walki w trzech Powstaniach Śląskich. W rocznicę tych wydarzeń odbyły się w Katowicach uroczyste obchody.

Uroczystości rozpoczął Apel Pamięci pod Pomnikiem Powstańców Śląskich, w którym wzięli udział m.in. wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński, wojewoda śląski Jarosław Wieczorek, dyrektor Instytutu Śląskiego, pełnomocnik Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Bartosz Kuświk, przedstawiciele władz samorządowych oraz służb mundurowych. Na wstępie uczestnicy wysłuchali Roty, następnie nastąpiło podniesienie flagi państwowej na maszt oraz odśpiewanie Hymnu RP.

Po wystąpieniach gości oddano salwę honorową i odczytano Apel Pamięci, a uczestnicy złożyli kwiaty, w tym wieńiec od Prezydenta RP pod Pomnikiem Powstańców Śląskich.

Znaczek pocztowy na stulecie powrotu do Polski

KATOWICE. Częścią obchodów stulecia symbolicznego wkroczenia oddziałów Wojska Polskiego do Katowic była także uroczysta Sesja Sejmiku Województwa oraz uroczystość wprowadzenia do obiegu znaczka pocztowego z okazji 100. rocznicy powrotu Górnego Śląska do Polski. Znaczek stanowi zwieńczenie emisji wprowadzonych w latach 2019, 2020 i 2021 poświęconych kolejnym Powstaniom Śląskim.

Aleja Polskiego Dziedzictwa Śląska

KATOWICE. Zwieńczeniem obchodów 100. rocznicy powrotu Górnego Śląska do Polski było zasadzenie dębu przy ul. Gospodarczej w Katowicach, gdzie ma powstać Aleja Polskiego Dziedzictwa Śląska. To edukacyjna inicjatywa, która zakłada, że kolejne zasadzone w tym miejscu drzewa będą nosiły nazwy osób szczególnie zasłużonych na rzecz krzewienia polskości Śląska i walki o jego powrót do Polski.

Symbolicznego zasadzenia pierwszego dębu wraz z wojewodą dokonali poseł na Sejm RP Waldemar Andzel, wiceprezydent Katowic Mariusz Skiba, dyrektor Oddziału IPN w Katowicach dr Andrzej Sznajder oraz doradca wojewody śląskiego Czesław Sobierajski, który był inicjatorem utworzenia alei.

Otwarcie Panteonu

KATOWICE. Otwarcie Panteonu uświetniło setną rocznicę powrotu Śląska do Macierzy. 19 czerwca oficjalnie otwarto Panteon Górnośląski – instytucji kultury, która jest prawdziwym kompendium wiedzy o postaciach tworzących przez dekady oblicze regionu. Uroczystości poprzedziła msza święta w Archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach, gdzie już oficjalnie otwarto Panteon Górnośląski. W mszy uczestniczył premier RP Mateusz Morawiecki, który wcześniej miał okazję zwiedzić Panteon. W samym otwarciu uczestniczyli m.in. marszałek województwa Jakub Chelstowski, metropolita katowicki abp Wiktor Skworc, minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotr Gliński, poseł do Parlamentu Europejskiego Jadwiga Wiśniewska oraz liczne grono parlamentarzystów i samorządowców. Panteon Górnośląski to opowieść o ostatnich 100 latach historii Górnego Śląska napisana poprzez sylwetki i osiągnięcia najważniejszych postaci „stąd” – powstańców śląskich, ofiar totalitaryzmów, ludzi Kościoła oraz wybitnych przedstawicieli nauki, kultury i sportu. Panteon powstał w 2020 r. i jest wspólną instytucją kultury Województwa Śląskiego, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Archidiecezji Katowickiej oraz Miasta Katowice. Mieści się w katowickiej Archikatedrze Chrystusa Króla, która jest swoim pomnikiem upamiętniającym powrót Górnego Śląska do odradzającej się Polski po ponad 600 latach panowania czeskiego, austriackiego i niemieckiego. Przedstawione w Panteonie postaci i ich biografie są narratorami w tej podróży przez dekady historii. Jego rolą jest upowszechnianie wiedzy z zakresu historii XX i XXI wieku. Ekspozycję umieszczono na powierzchni ponad 2 tys. metrów kwadratowych. Wybrano podziemia katowickiej katedry ponieważ są to bardzo ciekawe architektoniczne przestrzenie, które przez dziesięciolecia nie były wykorzystywane, a zlokalizowane są w centrum Katowic w reprezentacyjnym budynku wpisanym na listę Pomników Historii. Zamiarem metropolity katowickiego arcybiskupa Wiktora Skworca, który jest pomysłodawcą utworzenia Panteonu, było stworzenie przestrzeni, która będzie łączyć ludzi. W pierwszej kolejności, po konsultacjach z Radą Programową Panteonu Górnośląskiego postanowiono wybrać część osób spośród zaprezentowanych w publikacji „Leksykon Panteonu Górnośląskiego” pod red. Aleksandry Kłos-Skrzypczak i ks. Henryka Olszara. Dodatkowo, aby dotrzeć do nowych środowisk, zorganizowano sympozja medyczne i architektoniczne, podczas których przedstawiciele tych środowisk wyłonili swoich kandydatów i kandydatki. Dołączyły tym samym takie osoby jak: Anna Kozub, Maria Kujawska czy Józef Rostek. Od chwili powstania Panteonu otrzymaliśmy również pisma od różnych instytucji, stowarzyszeń, organizacji lub osób prywatnych, które przedstawiły nam interesujące osoby warte upamiętnienia. Dzięki temu wprowadziliśmy np. postać Sławomira Skrzypka – prezesa NBP w latach 2007–2010, kardiochirurga Zbigniewa Religi czy rzeźbiarza ekumenicznego Jana Hermy. Panteon Górnośląski jest zbiorem otwartym i będzie systematycznie powiększany – mam nadzieję, że z zaangażowaniem różnych środowisk i grup, na co liczymy – wyjaśnił Ryszard Kopiec, dyrektor Panteonu Górnośląskiego.

Bieg Bohaterów

KATOWICE. W ramach obchodów Narodowego Dnia Powstań Śląskich i powrotu części Górnego Śląska do Macierzy odbył się także Bieg Bohaterów z metą na Skwerze Powstań Śląskich w Parku Śląskim, w którym wzięło udział ponad 2 tysiące uczestników.

Tablica upamiętniająca bohaterów trzech zrywów

KATOWICE. Na Westybulu przed wejściem do Sali Sejmu Śląskiego odsłonięto tablicę upamiętniającą setną rocznicę powrotu części Górnego Śląska do Macierzy 20 czerwca, wówczas gdy obchodzony jest Narodowy Dzień Powstań Śląskich.

Podczas obrad, Włodzimierz Czechowski reprezentujący Związek Kombatanów RP przekazał na ręce marszałka historyczny sztandar Związku Powstańców Śląskich Grupy Panewniki. Sztandar trafi do Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach.

W Lublińcu odsłonięto pomnik generała broni Tadeusza Jordana Rozwadowskiego

LUBLINIEC. Staraniem Stowarzyszenia Patriotycznego im. gen. broni Tadeusza Jordana Rozwadowskiego, parafii Kościoła Garnizonowego p.w. Błogosławionego Piotra Jerzego Frassati w Lublińcu, Gliwickiego Klubu Gazety Polskiej oraz Województwa Śląskiego, które wsparło organizację wydarzenia odbyła się uroczystość odsłonięcia popiersia gen. broni Tadeusza Jordana Rozwadowskiego na placu przed świątynią. Życiorys generała broni Tadeusza Jordana Rozwadowskiego to wielka lekcja historii, patriotyzmu i motywacji do działań na rzecz Polski suwerennej i niepodległej, z mocnymi siłami zbrojnymi.

Stowarzyszenie Patriotyczne im. gen. broni Tadeusza Jordana Rozwadowskiego zostało powołane, by służyć promocji Rzeczypospolitej Polskiej, jej historii w kraju i za granicą. Stawia sobie za cel dbanie o jej dobre imię oraz podtrzymywanie i upowszechnianie tradycji narodowej i obywatelskiej, a także postaw patriotycznych. Misją Stowarzyszenia jest szerzenie inicjatyw w zakresie polityki historycznej oraz jej współkształtowanie poprzez realizację konkretnych programów w województwie śląskim.

Generał broni Tadeusz Jordan Rozwadowski był dyplomatą, strategiem wynalazcą i nowatorem. Przewidywał możliwość wojny z Rosją lub Niemcami. Postulował utworzenie „armii wysokiego pogotowia” z lotnictwem, bronią pancerną, samochodami i zmodernizowaną kawalerią. Był prekursorem sił szybkiego reagowania, prekursorem jednostki wojskowej w Lublińcu. Oprócz zasług bojowych, posiadał 3 atrybuty: geniusz strategiczny, zdolność do zgodnej współpracy pomimo różnic poglądów i zdolność przewidywania wydarzeń, w tym posiadania siły szybkiego reagowania.

W czasie uroczystości wielokrotnie podkreślano zasługi dla obronności i suwerenności II Rzeczypospolitej, jakie położył generał organizując formacje wojskowe na terenie ówczesnej Polski tuż po odzyskaniu niepodległości i opracowując skuteczną strategię walki w obronie Lwowa w 1919 roku oraz bitwie warszawskiej i w 1920 roku.

Polska ratyfikowała Konwencję o wartości dziedzictwa kulturowego dla społeczeństwa

WARSZAWA. Prezydent RP Andrzej Duda podpisał Ustawę z dnia 12 maja 2022 r. o ratyfikacji Konwencji ramowej Rady Europy o wartości dziedzictwa kulturowego dla społeczeństwa, sporządzonej w Faro 27 października 2005 r. – poinformowało w Biuro Prasowe KPRP.

Konwencja wprowadza pojęcie „wspólne dziedzictwo Europy”, które stanowi zbiór zasobów (wszelkich form dziedzictwa kulturowego), jako wspólne źródło pamięci, tożsamości, spójności i kreatywności.

Obliuguje państwa do uznania prawa każdego człowieka do korzystania z dziedzictwa kulturowego oraz możliwości jego wzbogacania.

Zobowiązuje też do uwzględniania wymiaru dziedzictwa kulturowego na wszystkich poziomach edukacji i do wzmacniania powiązań pomiędzy edukacją o dziedzictwie kulturowym a kształceniem zawodowym.

Celem Konwencji jest ochrona dziedzictwa kulturowego, wzmocnienie jego roli w budowaniu tożsamości i różnorodności oraz pokojowego dialogu między wspólnotami tworzącymi dziedzictwo europejskiego kręgu kulturo-cywilizacyjnego, a także podkreślenie znaczenia działań związanych z upowszechnianiem dziedzictwa kulturowego dla wzrostu wspólnego poczucia tożsamości europejskiej.

Konwencja wprowadza najszerszą definicję „dziedzictwa kulturowego”, przez które należy rozumieć zbiór zasobów odziedziczonych po przeszłych pokoleniach, które ludzie identyfikują, niezależnie od praw własności, jako odzwierciedlenie i wyraz swoich stale ewoluujących wartości, wierzeń, wiedzy i tradycji, które pragną zachować i przekazać przyszłym pokoleniom. Obejmuje ono także wszystkie aspekty środowiskowe wynikające z interakcji pomiędzy ludźmi i miejscem w czasie. Konwencja definiuje dziedzictwo nie przez jego składniki, ale funkcję dla społeczności.

Wprowadza również pojęcie „wspólne dziedzictwo Europy” przez które należy rozumieć całość dziedzictwa kulturowego Europy, które stanowi zbiór zasobów (wszelkich form dziedzictwa kulturowego), jako wspólne źródło pamięci, tożsamości, spójności i kreatywności. Pojęcie to obejmuje także ideały, zasady i wartości, które wspierają rozwój pokojowego i stabilnego społeczeństwa zbudowanego na poszanowaniu praw człowieka, demokracji oraz państwa prawa.

Ponadto Konwencja obliguje państwa do uznania prawa każdego (człowieka oraz wspólnoty) do korzystania z dziedzictwa kulturowego oraz możliwości jego wzbogacania. Prawo to nie będzie mogło, zgodnie z Konwencją, podlegać innym ograniczeniom niż ograniczenia wynikające z ochrony interesu publicznego oraz praw i wolności innych osób.

Konwencja zobowiązuje państwa do rozwijania poprzez Radę Europy funkcji monitorowania ustawodawstwa polityk i praktyk dotyczących dziedzictwa kulturowego w zgodzie z zasadami przyjętymi w Konwencji. Ponadto zobowiązuje państwa do uwzględniania wymiaru dziedzictwa kulturowego na wszystkich poziomach edukacji, jako bogatego źródła odniesień w nauczaniu różnych przedmiotów oraz do wzmacniania powiązań pomiędzy edukacją o dziedzictwie kulturowym a kształceniem zawodowym. Konwencja obliguje również państwa do wykorzystywania technologii cyfrowych w celu zwiększenia dostępu do dziedzictwa kulturowego oraz korzyści z niego wynikających.

Akademicka Strefa Sztuki Scenicznej w katowickiej Akademii Muzycznej

KATOWICE. Budowa Akademickiej Strefy Sztuki Scenicznej związana jest z intensywnym rozwojem Akademii, w tym m.in. z uruchomieniem nowego kierunku studiów „Taniec”, specjalność „Aktor teatru tańca” i powstała w związku z tym koniecznością zapewnienia infrastruktury dydaktycznej, niezbędnej do prowadzenia zajęć. Ponadto mają tam się również odbywać wykłady, konferencje, a także spektakle dramatyczne i taneczne.

Urban EXPO w Katowicach. Świat w pigułce podczas WUF11

KATOWICE. W towarzyszącej Światowemu Szczytowi Miejskiemu w Katowicach strefie ekspozycyjnej zaprezentuje

się 89 wystawców z całego świata. Są to państwa, miasta, organizacje i firmy, prezentujące swoje pomysły na rozwój i zmiany przestrzeni miejskich, a także ułatwienia dla mieszkańców miast.

Światowe Forum Miejskie (World Urban Forum – WUF) to organizowana co dwa lata pod egidą ONZ najważniejsza i największa konferencja poświęcona tworzeniu i realizacji polityk miejskich na świecie.

Miejscem organizacji 11. edycji WUF pod hasłem „Zmieniamy nasze miasta dla lepszej przyszłości” jest od 26–30 czerwca 2022 r. Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach.

Wystawa Urban Expo to największa atrakcja każdego Światowego Forum Miejskiego. Organizatorem jest UN-Habitat, agenda ONZ ds. urbanizacji i osiedli miejskich. Po stronie polskiej wydarzenie przygotowują Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej oraz Miasto Katowice. W strefie ekspozycyjnej, która towarzyszy imprezie, jest przygotowana w tymczasowych namiotach o łącznej powierzchni 8 tys. m kw. ustawionych na obszernym parkingu katowickiej Strefy Kultury i połączonych z MCK zadaszonym przejściem. Spośród 89 wystawców 21 będzie z Polski. Wystawią się m.in. Polska jako kraj (w pawilonie przygotowanym przez MFIPR), miasto Katowice jako gospodarz wydarzenia, zrzeszająca 41 miast i gmin centralnej części woj. śląskiego Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia, Związek Miast Polskich, a także prywatne przedsiębiorstwa. Prezydent Katowic Marcin Krupa zapowiedział, że miasto to w jednej części swojego pawilonu o powierzchni 200 m kw. będzie pokazywało historię własnych przemian z ośrodka przemysłu w centrum nowoczesnych usług, technologii i kultury. 89 wystawców Urban EXPO wybrano spośród 184 zainteresowanych, zgodnie z restrykcyjnymi kryteriami. Światowe Forum Miejskie to jedno z niewielu wydarzeń ONZ, do których dostęp jest otwarty dla wszystkich zainteresowanych – jedynie na podstawie rejestracji, która trwała do 22 czerwca. Celem WUF jest doskonalenie wiedzy na temat zrównoważonego rozwoju obszarów miejskich poprzez otwartą debatę. Forum jest okazją do wymiany dobrych praktyk oraz dzielenia się doświadczeniami. W efekcie powstają rekomendacje dla polityk miejskich i rozwoju regionalnego dla rządów, regionów i miast. Początkowo dyskusja miała być prowadzona tylko w sześciu obszarach tematycznych: sprawiedliwych miast, zielonej przyszłości miast, innowacji miejskich, budowania odporności miast, finansowania inwestycji, a także planowania i zarządzania miastami. Ze względu na wojnę w Ukrainie pojawił się też temat odbudowy miast po kryzysach spowodowanych wojną czy zagrożeniami naturalnymi.

Nowoczesne usługi biznesowe

KATOWICE. W aglomeracji Śląskiej działa 126 centrów nowoczesnych usług biznesowych, aż 90 proc. z nich mieści się w Katowicach. Obecnie sektor ten zatrudnia już 30 tysięcy osób, a według najnowszych szacunków liczba ta jeszcze znacząco wzrośnie. Tylko w 2023 roku zatrudnienie w sektorze znaleźć ma kolejne 2 tysiące osób. Z raportu Sektor usług biznesowych w Katowicach, który został opracowany przez ABSL – Związek Liderów Sektora Usług Biznesowych – jednoznacznie wynika, że rośnie rola Katowic i GZM w sektorze nowoczesnych usług biznesowych stanowiących jeden z najszybciej rozwijających się obszarów gospodarki w Polsce.

Najwięcej inwestycji należy do firm z USA (25), Niemiec (13) oraz Francji (12). Polscy inwestorzy są obecnie właścicielami 35 centrów. Główną kategorią świadczonych usług pozostają usługi IT – to aż – 59 centrów (43 proc. ogółu za-

trudnionych), następnie SSC/GBS (28,3 proc. zatrudnionych) i BPO (17,9 proc. zatrudnionych). Pozostałe rodzaje usług w tym R&D mają udział w zatrudnieniu na poziomie 10,8 proc.

Trójmiasto, Katowice i GZM oraz Kraków zanotowały największy wzrost zatrudnienia w sektorze nowoczesnych usług biznesowych. W przeciągu ostatnich 5 lat zatrudnienie w centrach usług w Katowicach i GZM wzrosło o 67,6 proc. co dało łącznie 12 tys. nowych miejsc pracy. Prognozowany poziom zatrudnienia w pierwszym kwartale 2023 r. wyniesie ponad 32 000 osób.

Katowice ustaliły standardy dotyczące zieleni w mieście

KATOWICE. Katowice przygotowały standardy kształtowania zieleni w mieście. Zbiór normatyw i zaleceń, które – jak w ramach inwestycji zadbać o zieleni i jak właściwie ją pielęgnować – opracowali architekci krajobrazu na zlecenie urzędu miasta. Adresatem dokumentu są osoby odpowiedzialne za utrzymanie i kształtowanie zieleni na terenach miejskich w Katowicach, w tym: zarządcy terenów, projektanci, wykonawcy prac, osoby nadzoru i urzędnicy.

Standardy mogą być też przydatne zarządcom terenów mieszkaniowych, deweloperom i prywatnym właścicielom.

Obejmują one trzy podstawowe zakresy gospodarowania zielenią miejską: ochronę zieleni w trakcie procesu inwestycyjnego oraz przygotowanie i prowadzenie dokumentacji związanej z ochroną zieleni, projektowanie zieleni i propozycje doboru roślin dla terenów zieleni, a także zakładanie i utrzymanie zieleni oraz pielęgnację wybranych form zieleni.

W opracowaniu znalazły się np. instrukcje pokazujące, jak dbać o zieleni w trakcie przeprowadzania prac inwestycyjnych, modernizacyjnych czy wyburzeniowych czy jak zabezpieczać drzewa i krzewy znajdujące się na terenach inwestycji, które nie zostały przewidziane do usunięcia.

Standardy za konieczne uznają m.in. wprowadzenie pnączy, krzewów i innej roślinności w różnych lokalizacjach jako jeden z ważniejszych sposobów adaptacji przestrzeni do zmian klimatycznych oraz to by parkingi, place manewrowe, place przeciwpożarowe były w miarę możliwości wykonywane z użyciem nawierzchni przepuszczalnych (takich jak np. geo-kraty porośnięte trawą).

W dokumencie znalazł się także wykaz przykładowych gatunków i odmian drzew, krzewów i pnączy proponowanych do nasadzeń w trudnych warunkach miejskich.

W standardach uwzględniono aktualne wytyczne i normatywy branżowe oraz kluczowe dokumenty planistyczne i strategiczne miasta. Dokument trafił już do katowickich radnych, którzy będą nad nim dyskutować.

Standardy opracowali specjaliści Stowarzyszenia Architektury Krajobrazu w konsultacji z przedstawicielami wydziałów urzędu miasta.

Silesian Space Valley

WROCŁAW. Klaster technologii kosmicznych – Silesian Space Valley, któremu przewodniczy Legnicka Specjalna Strefa Ekonomiczna, został powołany w piątek we Wrocławiu. Porozumienie, na mocy którego utworzono klaster, podpisano podczas odbywającego się we Wrocławiu Forum G2. W skład nowej organizacji wchodzi, oprócz Legnickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, firmy z branży kosmicznej i nowych technologii: SatRev, Saule Technologies, Columbus Energy i TUATARA. Klaster ma pomóc firmom z tej branży w rozwoju.

Katowice Europejskim Miastem Nauki 2024

KATOWICE. Stolica województwa śląskiego otrzymała zaszczytny tytuł. EuroScience przyznało Katowicom miano Europejskiego Miasta Nauki 2024!

Wyróżnienie to oznacza, że w 2024 roku Katowice będą najważniejszym miastem promującym naukę w Europie. W stolicy woj. śląskiego swoje siedziby ma m.in. Uniwersytet Śląski, Uniwersytet Ekonomiczny, Akademia Muzyczna, Śląski Uniwersytet Medyczny, Politechnika Śląska. To tu tętni naukowe życie województwa. Kandydaturę miasta na miasto nauki zgłosił Uniwersytet Śląski, a jego starania poparło środowisko akademickie Katowic. Jak wskazują przedstawiciele UŚ, ogromne znaczenie w wyborze Katowic miał sukces Śląskiego Festiwalu Nauki Katowice. Informację dotyczącą otrzymania tytułu Europejskiego Miasta Nauki 2024 Prof. Michaël Matlosz, przewodniczący EuroScience, ogłosił roku podczas konferencji zorganizowanej w Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej. Tytuł ten przyznawany jest od 2004 roku. Wcześniej miano to nosiły takie miasta jak: Lejda (2022), Sztokholm, Monachium, Barcelona, Turyn, Dublin, Kopenhaga, Manchester, Tuluza i Triest. W 2024 roku w stolicy województwa śląskiego zostanie zorganizowane EuroScience Open Forum (Otwarte Forum EuroScience – ESOF). Wydarzenie odbywa się regularnie co dwa lata, a poświęcone jest kluczowym dla przyszłości świata badaniom naukowym i innowacjom. Podpisano umowę konsorcyjną organizatorów EMN 2024, a jej sygnatariuszami są: miasto Katowice, Uniwersytet Śląski, Politechnika Śląska w Gliwicach oraz pozostałe uczelnie zlokalizowane w Katowicach – Śląski Uniwersytet Medyczny, Uniwersytet Ekonomiczny, Akademia Wychowania Fizycznego im. J. Kukuczki, Akademia Sztuk Pięknych oraz Akademia Muzyczna im. K. Szymanowskiego.

Konferencja EuroScience Open Forum 2022 Regional Site w Katowicach

KATOWICE – LEJDA. W ramach obchodów Europejskiego Miasta Nauki 2022, którym jest holenderska Lejda, od 13 do 16 lipca 2022 roku w Lejdzie odbywać się będzie konferencja naukowa Euro Science Open Forum (ESOF) 2022.

Jednocześnie w Katowicach – mieście przygotowującym się do przyjęcia tytułu Europejskiego Miasta Nauki 2024 – 15 lipca 2022 roku zaplanowano konferencję towarzyszącą ESOF 2022 Regional Site. Spotkanie odbędzie się w Międzynarodowym Centrum Kongresowym.

Motywiami przewodnimi konferencji w Katowicach będą:

- przekraczanie granic,
- nauka zaangażowana,
- odporne społeczeństwa.

Wśród zagadnień, jakie zostaną podjęte, są m.in.:

- jak będzie prowadzona nauka w przyszłości i w jaki sposób nauka może poprawić swoją funkcjonalność jako podmiot transformacji, który prowadzi do zmiany społeczeństwa,
- w jaki sposób nauka może być w pełni otwarta i wykraczać poza granice krajów, dyscyplin naukowych i społeczeństw?,
- jakie są przyszłe zachowania, wartości, oczekiwania, postawy i normy społeczności badawczej,
- w jaki sposób można zmienić struktury instytucjonalne, aby wspierać i rozwijać różnorodność, równowagę i integrację,
- jaki będzie wpływ sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego na społeczność naukową oraz praktyki naukowe,
- nauka wobec wojny i jej skutków.

Tematy sesji obejmą takie dziedziny, jak:

- zrównoważone środowisko,
- tożsamość kulturowa i transformacje społeczne,
- przestrzeń dla nauki,

- zdrowe społeczeństwo,
- wolność i odpowiedzialność nauki w stosunku do społeczeństwa,
- edukacja gospodarcza w oparciu o działania,
- zejście z utartej ścieżki: nowe drogi kariery akademickiej.

Program konferencji w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach obejmuje trzynastcie 75-minutowych sesji stacjonarnych, z czego cztery transmitowane będą online do Lejdy. Udział w sesjach wezmą specjaliści z uczelni tworzących katowickie konsorcjum Europejskiego Miasta Nauki 2024, a także zaproszeni przedstawiciele polskich i zagranicznych ośrodków naukowych, eksperci reprezentujący biznes, instytucje kulturalne i media. Katowice są pierwszym miastem Europy Środkowo-Wschodniej z tytułem Europejskiego Miasta Nauki. Wsparcie organizacyjne zadeklarowały władze województwa śląskiego oraz Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia. Instytucją przyznającą tytuł oraz organizującą konferencję ESOF jest EuroScience (European Association for the Advancement of Science and Technology – Europejskie Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Nauki i Technologii). EuroScience to największe ogólnoeuropejskie stowarzyszenie skupiające badaczy i naukowców.

EuroScience Open Forum jest ogólnoeuropejskim hybrydowym wydarzeniem podejmującym dialog na temat nauki, technologii, polityki i społeczeństwa. To platforma wymiany doświadczeń i prezentacji najnowszych osiągnięć naukowych, innowacji i technologicznego rozwoju. Marka ESOF przyciąga do miast pełniących rolę gospodarzy naukowców, polityków, biznesmenów i przedstawicieli mediów z całego świata. Tytuł Europejskiego Miasta Nauki umożliwia zwiększenie zaangażowania mieszkańców regionu i środowiska naukowego w rozwiązywanie problemów lokalnych, wzmacnia również możliwości pozyskania środków do realizacji planów inwestycyjnych w regionalną naukę, zwiększa turystyczną atrakcyjność miasta na arenie międzynarodowej oraz pozwala na zwiększenie oddziaływania lokalnych uczelni na wszystkie sfery życia i zwiększa ich rozpoznawalność na arenie międzynarodowej.

Stypendia w dziedzinie kultury w 2022 roku otrzymało 20 osób

KATOWICE. Marszałek Województwa Śląskiego przyznał stypendia w dziedzinie kultury. Wysokość jednego stypendium wynosi 10 000 złotych brutto i wypłacone będzie w czterech miesięcznych ratach.

Stypendia przyznawane są w celu wykonania dzieła z zakresu twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony dóbr kultury. O stypendium w dziedzinie kultury na wykonanie określonego dzieła – programu stypendialnego mogły ubiegać się osoby zajmujące się twórczością artystyczną, upowszechnianiem kultury i ochroną jej dóbr.

Stypendia w dziedzinie kultury w 2022 roku otrzymało 20 osób:

Dorota Braunsch-Noga na opracowanie materiału dokumentacyjnego – wywiadów, fotografii oraz kwerend prasowych i bibliograficznych do książki reporterskiej o Tykach, o roboczym tytule „Tychy – miasto na warsztacie”,

Mateusz Znaniński na napisanie scenariusza pełnometrażowego filmu fabularnego pt. „ERDGAJST”,

Anna Łęczyńska na realizację projektu pn. „Architektura drewniana w Beskidzie Śląskim” – fotoprojekt,

Maria Tomczok na przygotowanie publikacji eseistyczno-fotograficznej: „Ostatnia tona. Upamiętnianie węgla jako dobra natury i kultury”,

Piotr Trojan na realizację projektu pn. „TG Dream Story”,

Marek Toporowski na opracowanie i nagranie unikalnych transkrypcji na flety (z ewentualnym wykorzystaniem fletu

altowego) i basso continuo „Sonaty c-moll” z „Musikalisches Opfer” Bacha oraz części „Pyrmonter Kurwoche” Georga Philippa Telemanna,

Agata Kielar-Długosz na opracowanie i nagranie utworów wybitnych śląskich kompozytorów trzech generacji, **Zbigniew Zając** na napisanie książki pod roboczym tytułem „Czas przełomu”,

Izabela Brudkiewicz na realizację projektu pn. „MOM POWERA”,

Piotr Desperak na realizację projektu pn. „Obrazy z wnętrza ziemi”,

Justyna Kędzia na przygotowanie publikacji książkowej w formie papierowej, e-booka i audiobooka pt. „Cześć! To ja, pasja”,

Alina Moś-Kerger na nagranie sztuki teatralnej inspirowanej listami z podróży Kazimierza Nowaka „Rowerem i pieszo do kochanej Maryś”,

Wacław Golonka na skomponowanie utworu pt. „Suita śląska – Silesia”,

Ewa Kruszyna na przygotowanie publikacji – materiału edukacyjnego, dydaktycznego w formie cyfrowej pt. „Tajemnice Śląskiego Stroju Ludowego”,

Renata Spinek na napisanie scenariusza teatralnego „Co kto lubi, a ja ucho” na podstawie tekstów ze zbioru Józefa Lompy „Bajki i podania”,

Michał Piotrowski na napisanie scenariusza fabularnego filmu pełnometrażowego o rodzinie Kochmannów,

Dominik Kossakowski na nagranie wybranych utworów na skrzypce solo kompozytorów związanych ze śląskim środowiskiem muzycznym,

Marcin Giba na realizację projektu pn. „Podniebne Obrazy” Marcina Giby,

Łukasz Zimnoch na realizację projektu pn. „Ławkowe myślniki – poezja na parkowych ławkach”,

Brygida Murańska na realizację projektu pn. „gwara ponad casy”.

Rada Programowa Instytutu Myśli Polskiej im. W. Korfantego

KATOWICE. Dokonano zmiany składu Rady Programowej Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego powołanej uchwałą nr 331/313/VI/2022 Zarządu Województwa Śląskiego z dnia 2 marca 2022 r. Aktualny skład dokumentuje poniższa lista:

Rada Programowa
Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego

Zbigniew Przedpełski
Jacek Siebel
Grzegorz Kucharczyk
Zdzisław Krasnodębski
Jan Żaryn
Jan Malicki
Piotr Ornowski
Stanisław Nicieja
Antoni Barciak
Maria Czarnecka

Filharmonia Śląska

KATOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego w dniu 15 czerwca br. podjął uchwałę w sprawie wyrażenia zgody na zatrudnienie Pana Yaroslava Shemeta na stanowisko zastępcy dyrektora – dyrektora artystycznego Filharmonii Śląskiej im. Henryka Mikołaja Góreckiego w Katowicach

MOC

EMOCJI

czyli

LATO Z BIBLIOTEKĄ

1.07 – 31.08.2022

BEZPŁATNA OFERTA LETNICH ATRAKCJI DLA DZIECI W WIEKU 6-15 LAT

Dzieci poniżej 6. roku życia mogą uczestniczyć w zajęciach wyłącznie w towarzystwie opiekuna, JEDNAKŻE Organizator zastrzega, że zajęcia dostosowane będą do poziomu dzieci w wieku 6-15 lat.

SZCZEGÓŁÓW SZUKAJ NA

www.biblioteka.sosnowiec.pl

[mbpsosnowiec](#)

[bibliotekasosnowiec](#)

[mbp_sosnowiec](#)

[mbp_sosnowiec](#)

[mbpsosnowiec](#)





Kamys Kalemba



NFZ

1944-1945

RUC